

KSIĄŻKA AUTORA „TRYBUNAŁU DUSZ”

# WŁADCA CIEMNOŚCI

DONATO CARRISI



ALBATROS

## **Gdy zapadają ciemności, pojawia się strach...**

Gwałtowna burza doprowadza do awarii elektrowni i zmusza władze Rzymu do ogłoszenia dwudziestoczworgodzinnej przerwy w dostawie prądu. A już przed pięciuset laty papież Leon X w tajemniczej bulli ostrzegał, aby chronić Rzym przed pogrążeniem się w ciemnościach...

Nad miasto, w którym zapanowały panika i chaos, nadciąga w milczeniu mroczny cień pozostawiający za sobą szlak pełen trupów i... znaków. Może je odczytać tylko Marcus, łowca cieni przeszkolony w rozpoznawaniu anomalii występujących na miejscach zbrodni. Penitencjariusz utracił jednak swoją najcenniejszą broń – pamięć – co daje mordercy olbrzymią przewagę.

**DONATO CARRISI**

**WŁADCA  
CIEMNOŚCI**

Z włoskiego przełożył  
JAN JACKOWICZ

Wydanie elektroniczne

ALBATROS

## DONATO CARRISI

Włoski pisarz, scenarzysta i dramaturg. Absolwent prawa specjalizujący się w kryminologii. W czasie studiów założył grupę teatralną Vivarte, dla której pisał sztuki. Od 1991 roku współpracuje z telewizją RAI. Jest autorem scenariuszy do kilku bardzo popularnych we Włoszech seriali.

Powieść **Zaklinacz** (2009 r.), debiut literacki Carrisiego, przyniosła mu niesamowity sukces: tłumaczenia na 20 języków, milion sprzedanych egzemplarzy, wysokie i długo utrzymujące się pozycje na listach bestsellerów nie tylko we Włoszech, nagrodę Bancarella, nominację do prestiżowej francuskiej Prix des Lecteurs.

Kolejne powieści – **Trybunał dusz** i **Hipoteza zła** – ugruntowały wysoką pozycję pisarza wśród autorów thrillerów na całym świecie. Na podstawie powieści Carrisiego **Dziewczyna we mgle** nakręcono film z udziałem m.in. Toniego Servillo, Alessio Boniego i Jeana Reno.

*Tego autora*

DZIEWCZYNA WE MGLE

**Paenitentia Apostolica**

TRYBUNAŁ DUSZ  
ŁOWCA CIENI  
WŁADCA CIEMNOŚCI

**Mila Vasquez**

ZAKLINACZ  
HIPOTEZA ZŁA

Tytuł oryginału:  
IL MAESTRO DELLE OMBRE

Copyright © Donato Carrisi 2016  
Wydanie oryginalne © Longanesi & C., Milano 2016  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2019

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: © Sybille Sterk/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-512-7

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim,*

*nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,  
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest  
nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

*Dla mojego syna Antonia.  
Jest dla mnie wszystkim.*



*A.D. 1521. Dziewięć dni przed śmiercią papież Leon X ogłosił bullę zawierającą uroczyste zalecenie.*

*Rzym nie może „nigdy nigdy nigdy” pograć się w ciemności.*

*Ojciec święty nakazuje, aby w godzinach nocnych ulice, kościoły i pałace zawsze były oświetlone. W lampach nie może zabraknąć oliwy i cokolwiek by się działo, zapasy świec w składach nie mogą się wyczerpać.*

*Papieskie rozporządzenie było przestrzegane przez ponad trzysta lat. Lecz pod koniec dziewiętnastego wieku, wraz z pojawieniem się elektryczności, zawarty w bulli nakaz stał się zbyteczny.*

*Przez długi czas historycy i teologowie zadawali sobie pytanie o motywy, które skłoniły Leona X do narzucenia tego rodzaju reguły. Z biegiem stuleci pojawiały się najróżniejsze, czasami najbardziej fantastyczne, teorie. Nigdy jednak nie zdołano podać wiarygodnego wyjaśnienia tej kwestii.*

*Mimo to papieska bulla nigdy nie została odwołana i do dnia dzisiejszego kwestia rzymskich ciemności pozostaje niewyjaśnioną tajemnicą.*

ŚWIT

# 1

Wyłączenie prądu przewidziane było na siódmą czterdzieści jeden rano. Od tej chwili Rzym miał popaść w nowe średniowiecze.

Od prawie siedemdziesięciu dwóch godzin jego ulice były zalewane wyjątkowo obfitymi strumieniami deszczu. Po niebie nieprzerwanie pędziły chmury; miasto chłostały porywy wiatru, który chwilami osiągał prędkość przeszło piętnastu metrów na sekundę.

Uderzenie pioruna uszkodziło jedną z czterech elektrowni zapewniających dopływ energii elektrycznej. I za sprawą efektu domina awaria przeniosła się na trzy pozostałe, gdyż naraziła je na niebezpieczne przeciążenie.

Aby naprawić uszkodzenia, konieczne stało się przerwanie na dwadzieścia cztery godziny dostarczania prądu.

Informacja o tym została podana mieszkańcom poprzedniego wieczoru, z bardzo krótkim wyprzedzeniem. Władze zapewniły, że technicy dołożą starań, aby przywrócić normalne dostawy w obiecany terminie, lecz z powodu braku prądu miały nie działać wszystkie rodzaje połączeń komunikacyjnych, takich jak linie telefoniczne, internet, komórki. Mieszkańcy Rzymu mieli również być pozbawieni dostępu do radia i telewizji.

Innymi słowy, zapowiedziano całkowite wyzerowanie technologiczne. I to w samym środku trudnej sytuacji pogodowej.

O siódmej trzydzieści, gdy do wyłączenia pozostało niewiele minut, Matilde Frai była w kuchni i płukała filiżankę po wypiciu pierwszej kawy tego dnia. Odstawiła ją na półkę i sięgnęła po palącego się papierosa, odłożonego na skraj marmurowego blatu

przy zlewie. Zauważyła żółtawą smużkę w miejscu, w którym go położyła, i wpatrywała się w nią bardzo długo.

W nic nieznaczących rzeczach kryje się nieoczekiwany spokój.

Matilde szukała w nim ucieczki przed własnymi myślami. W zagiętym rogu stronicy czasopisma, w brzegu drobnego rozdarcia, w kropli skondensowanej pary spływającej po ścianie. Ten spokój nigdy jednak nie trwał wystarczająco długo, więc gdy kropla wyschła na oczach Matilde, mieszkający w niej zły duch wracał, by przypomnieć, że ponure piekło, w którym jest uwięziona, nigdy nie pozwoli jej wyrwać się na wolność.

Nie mogę umrzeć. Jeszcze nie teraz, pomyślała. Ale bardzo tego pragnęła.

Wyraz twarzy Matilde stracił łagodność. Uniosła papierosa do ust i mocno się zaciągnęła. Potem odrzuciła głowę do tyłu i wpatrując się w sufit, wydmuchnęła chmurę białego dymu, pozbywając się zarazem całej frustracji. Kiedyś była nawet ładna. Ale – jak ujęłaby jej matka – zapuściła się i w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat stała się kobietą nieodwołalnie samotną. Nikt nie pomyślałby nawet, że kiedyś mogła być młodą dziewczyną. To co oglądali – gdy zdarzało się im na nią popatrzeć – było wciąż jeszcze zbyt młodą staruszką.

Zegar na ścianie wskazywał siódmą trzydzieści dwie.

Matilde odsunęła od stołu krzesło i usiadła na nim, a potem przysunęła do siebie pilota telewizora, paczkę cameli i blaszaną popielniczkę. Wykorzystała niedopałek do przypalenia następnego papierosa.

I spojrzała prosto przed siebie.

– Powinam... – Zamyśliła się. – Powinam zaprowadzić cię do fryzjera, żeby przystrzygł ci włosy – dodała po chwili z poważną miną, wyrzucając to zdanie jednym tchem. – Tak, są za długie po bokach. – Wskazała dokładne miejsce, unosząc na moment rękę. – A ta grzywka przestała mi się już podobać. – Kiwnęła głową, jakby na potwierdzenie, że to właśnie powinna

zrobić. – Tak, pójdziemy tam jutro, po wyjściu z przedszkola. – Zamilkła, ale nie odwróciła wzroku.

Wpatrywała się w drzwi kuchni.

Za progiem nie było nikogo, ale na ścianie, obok drewnianej futryny, znajdowało się około dwudziestu znaków: kreski były w różnych kolorach, jedna pod drugą, a obok każdej z nich data.

Najwyższa miała kolor zielony, a obok niej znajdował się napis: *103 cm – 22 maja*.

Matilde przebudziła się nagle z odrętwienia, jakby uwolniła się spod czarów. Powróciwszy do rzeczywistości, chwyciła pilota i skierowała go w stronę telewizora stojącego na kredensie.

Na ekranie pojawiła się przystojna blondynka w popielato-różowym kostiumie, widoczna od pasa w górę. U dołu ekranu był napis: *Władze Rzymu podjęły nadzwyczajne środki, które zostaną wprowadzone 23 lutego i będą obowiązywać od godziny 7.41 aż do końca przewidywanego wyłączenia prądu*. Prezenterka zrównoważonym i uspokajającym tonem czytała przed kamerą komunikat adresowany do widzów.

„Aby uniknąć nieszczęśliwych wypadków, władze nakazały całkowite wstrzymanie ruchu na ulicach. Nie będzie można jeździć po mieście ani go opuszczać. Przypominamy, że z powodu złych warunków atmosferycznych lotniska i stacje kolejowe nie działają już od wczoraj. Dlatego zaleca się mieszkańcom, żeby nie wychodzili z mieszkań. Powtarzam: dla dobra państwa i waszych bliskich, nie próbujcie wyjeżdżać z miasta”.

Matilde pomyślała, że i tak nie ma już nikogo ani żadnego miejsca, do którego mogłaby się udać.

„W ciągu dnia wychodźcie z domu tylko w sytuacji, gdy znajdzie taka konieczność. W razie potrzeby wywieście białe prześcieradło w oknie, aby mogła do was dotrzeć pierwsza pomoc, której pojazdy będą bezustannie krążyły po ulicach. Przypominamy państwu, że w porze nocnej należy obowiązkowo przestrzegać godziny policyjnej, która rozpocznie się godzinę przed zachodem słońca. Od tej chwili niektóre prawa i swobody obywatelskie ulegają zawieszeniu”.

Spokojny ton i serdeczne zachowanie prezenterki powinny oddziaływać pocieszająco, pomyślała Matilde, osiągały jednak zupełnie odwrotny skutek. Było w tym coś groteskowego i niepokojącego. Niczym uśmiech na twarzy stewardesy w samolocie, który właśnie spada na ziemię.

„Siły policyjne będą kontrolować dzielnice i zostaną wyposażone w szerokie uprawnienia, aby zapewnić porządek publiczny i uniemożliwić działania przestępcze. Funkcjonariusze są upoważnieni do zastosowania aresztu nawet na podstawie podejrzenia. Sprawcy przestępstw popełnionych w godzinach nocnych będą sądzeni w trybie natychmiastowym i karani z wyjątkową surowością. Mimo to władze zalecają państwu dokładne zamknięcie się w miejscu zamieszkania i podjęcie wszelkich środków ostrożności, aby uniemożliwić osobom nieznanym i mającym złe zamiary dostanie się do waszych mieszkań”.

Słyszając to, Matilde Frai nagle poczuła chłód, który spłynął jej po plecach.

Jasnowłosa prezenterka odłożyła na stół kartki, które miała przed sobą, i spojrzała prosto w obiektyw kamery.

„Pewni waszej współpracy, żegnamy państwa do następnego komunikatu, który zostanie nadany za dwadzieścia cztery godziny, po zakończeniu stanu wyjątkowego. Za kilka sekund dźwięk syren ogłosi wyłączenie prądu i zawieszenie dopływu wszelkich informacji. Jednocześnie wejdą w życie nadzwyczajne rozporządzenia i rozpocznie się oficjalnie zaplanowana przerwa w dostawie energii”.

Prezenterka nie pożegnała się z widzami, posłała im tylko kolejny uśmiech skierowany do obiektywu. Potem w jej miejsce na ekranie pojawił się napis: *Koniec programu*.

Dokładnie w tym samym momencie zza okna doszło głośne wycie syren.

Matilde spojrzała w okno. Na zewnątrz był dzień, chociaż deszczowe chmury zasłaniały niebo i wydawało się, że panuje mrok. Lampa w kuchni świeciła się, lecz jej blask nie wystarczał,

by pocieszyć kobietę, która zaczęła się wpatrywać w żarówkę, spodziewając się, że za chwilę zgaśnie. Ale jeszcze się paliła. Bezustannie padał deszcz i sekundy wydłużały się w nieskończoność, nie do wytrzymania. Matilde znowu spojrzała na zegar ścienny. Siódma trzydzieści osiem. Nie, nie mogła już dłużej czekać. Musiała uciszyć te przekłete syreny, które wwiercały się w jej mózg. Zgasła w popielnicze drugiego papierosa, podniosła się od stołu i podeszła do starego, nieużywanego od lat miksera, który w niewytłumaczalny sposób pozostał podłączony do kontaktu. Włączyła go. Następnie przyszła kolej na toster; opuściła w nim obie dźwigienki i włączyła timer. Potem uruchomiła wyciąg nad kuchenką. A także pralkę i zmywarkę do naczyń. Bez konkretnego powodu otworzyła na oścież drzwiczki lodówki. W końcu włączyła radio, które stało obok zlewozmywaka, od zawsze nastawione na stację nadającą muzykę poważną. Przez kakofonię hałasów zaczął się rozpaczliwie przebijać Bach, ale został zagłuszony. Wreszcie, po włączeniu wszystkich domowych urządzeń elektrycznych i zapaleniu wszystkich żarówek, Matilde Frai wróciła na krzesło, żeby przypalić sobie kolejnego papierosa. Znowu wbiła wzrok w zegar ścienny i czekała, aż skończy się odliczanie i zapadnie mrok, a wraz z nim cisza.

Podczas gdy wskazówka odliczała sekundy, odezwał się dzwonek telefonu.

Przestraszona Matilde spojrzała na aparat. Był to jedyny dźwięk, którego sama nie spowodowała. Od lat nie utrzymywała żadnych znajomości i nikt się o nią nie troszczył. Przeciwnie, jeśli dobrze pomyśleć, to urządzenie nie miało nawet prawa znajdować się w mieszkaniu, w którym uwiła sobie gniazdko wymuszonej samotności. W jej odosobnieniu otworzyła się szczelina. Dzwonki telefonu krzyczały do niej w całym tym zgiełku i odnosiła wrażenie, że wołają ją po imieniu. Miała dwie możliwości: zaczekać, aż mająca się wkrótce zacząć przerwa w dostawie energii położy kres jej torturom, albo podnieść się i odebrać połączenie.

Od lat nikt do mnie nie dzwoni. Nikt nie ma mojego numeru.

Tym, co skłoniło ją do podniesienia się z krzesła, nie była zwykła ciekawość, lecz przecucie. Kiedy podniosła słuchawkę starego cyfrowego aparatu, ręka potrzebowała trochę czasu, żeby z niedostrzegalnym drzeniem unieść ją do ucha. Zanim Matilde zdołała coś powiedzieć, usłyszała krótkie wyładowania elektryczne zakłócające połączenie. Potem pośród piskliwych i nieprzyjemnych trzasków dobiegł ją głos.

Głos dziecka.

– Mamo...! – zawołało, napełniając ją lodowatym chłodem. – Mamo! Mamo! Przyjdź i zabierz mnie stąd! – dodało błagalnym, przerażonym tonem.

W pierwszym dniu przedszkola kazała mu nauczyć się na pamięć numeru domowego telefonu. Była pewna, że będzie mu go łatwiej zapamiętać niż numer komórki. Przed oczami stanęła jej teraz tamta scena: siedział przy stole w tej kuchni i właśnie skończył jeść śniadanie – mleko, herbatniki i dżem z winogron. Matilde klęczała przed nim i zawiązywała mu sznurówki w bucikach. A tymczasem jej synek powtarzał po kolei cyfry, a ona robiła to samo, ale szeptem, żeby zbytnio mu nie pomagać. Chciała mieć pewność, że dobrze je zapamięta.

Obraz z przeszłości ulotnił się równie szybko, jak się pojawił. Przerażona Matilde Frai znowu wróciła do terażniejszości i w końcu udało jej się coś powiedzieć.

– Tobi... – Uniosła rękę do drugiego ucha, ponieważ hałasujące wokół domowe urządzenia nie pozwalały jej dobrze słyszeć.

– Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj mnie samego! – Kolejne trzaski i utrudnienia na linii. – Jestem tutaj – odezwał się znów głos po drugiej stronie. – Jestem...

W pierwszej chwili ustały wszystkie hałasy. Jednocześnie pogasły światła w kuchni. Mrok pochłonął sprzęt kuchenny, który nagle znieruchomiał.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że słuchawka też jest bez życia.



Emanowała z niej nienaturalna cisza, tak jakby nigdy nie wydała żadnego dźwięku, a to, co przed chwilą Matilde usłyszała, było tylko wytworem jej wyobraźni... albo szaleństwa.

Zaczęła drżeć, coraz mocniej, i nie była w stanie się uspokoić. Znowu spojrzała na zegar na ścianie.

Wskazywał dokładnie siódmą czterdzieści jeden.

## 2

O siódmej czterdzieści jeden syreny przestały wyć.

Ale dokładny moment początku planowanej przerwy w dostawie prądu miał zostać zapamiętany przez wszystkich nie z powodu jednoczesnego zapadnięcia w letarg wszelkiego rodzaju urządzeń elektrycznych, co oznaczało zmieciecie w jednej chwili dziesiątków lat technologicznego rozwoju, ani nagłego urwania się połączeń telefonicznych i wynikającej z tego klaustrofobicznej izolacji, ale z powodu nierealnej ciszy, jaka zapadła niczym widmo przybyłe z przeszłości. Ciszy, do której nie był przyzwyczajony żaden mieszkaniec Rzymu, tym bardziej nieznośnej, że pogłębił ją jeszcze monotony szum deszczu.

Mimo to właśnie ten zaskakujący spokój przywrócił go do życia.

Wydobył się z głębin pozbawionego oddechu snu, rozpaczliwie pragnąc zaczerpnąć choćby odrobinę powietrza. Potrzebował trzech prób, zanim zdołał wciągnąć trochę tlenu do płuc. Nie był pogrążony w zwykłym śnie, ale stracił przytomność i tonął w samym sobie. Gdy jednak otworzył oczy, powitały go następane ciemności.

Oślepiłem.

Trudności z oddychaniem mogły być wywołane jego pozycją. Stał pochylony, z wykręconymi do tyłu rękami, z nadgarstkami zamkniętymi w chłodnym uścisku. Kajdanki? Mężczyzna wyprostował się, zamierzając uklęknąć i położyć kres torturze bezdechu. Poczul ból w mięśniach i stawach, które z trudem odzyskiwały zdolność ruchu. Było to trudne i męczące.

Jestem nagi. I boli mnie w klatce piersiowej.

Gdy do jego mózgu zaczął docierać tlen, przed oczami mężczyzny zatańczyły błyszczące złośliwe kółeczka. Nie, nie utracił wzroku: to świat wokół niego został połknięty przez nicość.

Gdzie się znajduję? Kim jestem?

Poczuł się zagubiony. Kompletne ciemności otaczały go ze wszystkich stron, ale znalazły też drogę do jego wnętrza.

Kim jestem i gdzie się znajduję?

Jeśli nie liczyć dalekiego pluskania deszczu, jedyny kontakt ze światem zapewniały mu wrażenia węchowe. To miejsce śmierdziało. Zatechłą wodą, ale także czymś innym.

Śmiercią.

Był wychłodzony i zaniósł się kaszlem. Zaskoczył go odgłos echa. Zakasłał znowu i zaczął nasłuchiwać, mierząc czas potrzebny do tego, by dźwięk wrócił do niego z echem. W przypiływie rozpaczy użył głosu jako sonaru, żeby domyślić się rozmiarów pomieszczenia, w którym się znajdował. Powtórzył tę próbę, podpierając się na kolanach i obracając całe ciało. Ale to nie wystarczyło. Szarpnął się więc do przodu biodrami i próbował stanąć w pozycji wyprostowanej. Za pierwszym razem upadł na bok. Powtórzył manewr ostrożniej i udało mu się stanąć na nogach.

Miał wrażenie, że nurza się stopami w lepkiej i wilgotnej mazi, lecz pod nią wyczuwał twardą skałę, z pewnością obrobioną. To, że nie znajdował się w ziemnej jamie, podniosło go trochę na duchu. Ponieważ z ziemnej jamy nie można się wydostać. A z budynku tak. Budynek zawsze ma jakieś wejście, a zatem także wyjście.

Postanowił znaleźć je za wszelką cenę i ruszył w ciemnościach do przodu. Posadzce brakowało spoistości, mimo to był w stanie zachować równowagę. Miał nadzieję, że na drodze nie stanie mu żadna przeszkoda, toteż szedł, nie zachowując zbytnej ostrożności. Spodziewał się, że napotka barierę w postaci ściany. Nie mogąc wyciągnąć przed siebie ręk, musiał się pogodzić z tym, że w nią uderzy.

Uderzył niezbyt wprawdzie mocno, ale to jeszcze bardziej zwiększyło ucisk w klatce piersiowej. Wziął oddech i zaczekał, aż przejdzie.

Przyłożył do ściany lewy policzek. Dotknąwszy jej, natychmiast wyczuł gładzony kamień. Tuf. Postanowił obejść ścianę, ocierając się o nią w poszukiwaniu drzwi albo innego wyjścia. Zrobił pierwszy krok, ale potknął się o wystający ostry kamień i palce stopy przeszły mu ostre ukłucie. Miał ochotę go kopnąć, poczuł wściekłość silniejszą nawet od bólu, lecz powstrzymał się i ruszył dalej, zachowując więcej ostrożności. W miarę mozolnego posuwania się do przodu zdobywał też wiedzę o wnętrzu, do którego trafił. Odkrył, że nie ma tu żadnych występów, które mogłyby stanąć mu na drodze.

Znajdował się w pomieszczeniu o kolistym kształcie.

Materiał użyty do jego budowy – nachodzące na siebie wielkie płyty – podsunął mu myśl o czymś bardzo starym. Z początku nie podejrzewał, że sala okaże się tak duża. Im bardziej jednak posuwał się do przodu, tym lepiej uświadamiał sobie, jak mylne było to wrażenie. Ściana zdawała się nie mieć końca. Gdzie są te przekłute drzwi? Chłód kamienia zaczynał wkradać mu się pod skórę. Wstrząsały nim dreszcze i czuł, że jego oddech skrapla się tuż po opuszczeniu ust. Jeżeli nie wydobędzie się stąd szybko, przyjdzie mu umrzeć z wychłodzenia. Ale porzucił te myśli, gdy wyciągnął nogę, żeby zrobić kolejny krok. Zatrzymał się. Dotknął czegoś znajomego.

Występu, o który potknął się niedawno.

W pierwszej chwili było to tylko przeczucie. Dałby wszystko, żeby chodziło tylko o przeczucie, żeby nie musiał mierzyć się z czymś, co odbierało mu wszelką nadzieję. Lecz prawie natychmiast to „coś” nabrało złowrogiej konsystencji przerażającej pewności, która zmroziła mu krew w żyłach.

Obszedł naokoło całe wnętrze. Nie było w nim żadnych drzwi.

Istny grób, pomyślał. Mój grób. Tylko że to nie trzymało się kupy: jego obecność dowodziła w sposób nieodparty, że istnieje

jakiś sposób, żeby tu wejść. Ta obiecująca konstatacja została jednak prędko zmieciona przez inną, równie doniosłą.

Ktoś go tu zamurował. Zamurował żywcem.

Oparł się bokiem o ścianę i osunął na posadzkę. Poczuł, że rośnie w nim niepokój, który przybrał postać fali gorąca wędrującej wzdłuż całego ciała. A strach to trucizna odbierająca zdolność rozumowania. Próbował go przepędzić i odzyskać panowanie nad sobą. Dręczący niepokój jednak się nasilał. Kim jestem? Gdzie się znajduję? Kim jestem? Gdzie się znajduję? Kim jestem? Gdzie się znajduję...? Poczuł, że coś ciepłego spływa mu z nosa na górną wargę. Gdy kropla pokonała jej brzeg, rozpoznał smak lepkiego płynu. Krwi. Jego krwi.

Krwawienie z nosa.

Nigdy nie wiedział, skąd się to bierze, ani nie potrafił przewidzieć, kiedy mu się przydarzy. Ta przypadłość mogła się pojawić w każdej chwili. Jediną pewną rzeczą było to, że jest ona jego częścią niczym fizyczna cecha układu somatycznego albo charakteru. Specyficzna ułomność, z którą nauczył się żyć. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Stwórca postanowił obdarzyć go tą drobną, ale przykrą niedoskonałością. Teraz, po długim czasie, już to wiedział. Pan Bóg zrobił to, żeby w dniu wielkiej udręki mógł się uchwycić ze wszystkich sił tego szczegółu i użyć go, żeby wydobyć z ciemności swoją pamięć.

– Mam na imię Marcus – mruknął. – I cierpię na krwawienie z nosa.

Reszta szczegółów poszła za tym niczym strumień nie do zatrzymania. Jestem księdzem. Należę do świątobliwego zakonu penitencjariuszy, który odpowiada za Trybunał Dusz. Jestem ostatnim członkiem tego zgromadzenia. Nikt o mnie nie wie, nikt nie zna mojej tożsamości. A potem zaczął powtarzać to, czego go nauczono:

*Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. Jestem strażnikiem pilnującym tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś*

*się przez nią przedostaje... Jestem łowcą cieni. Moim zadaniem jest zagnać to coś z powrotem do świata ciemności.*

Zaczął się uspokajać. Ponieważ najgorszym koszmarem, jaki go prześladował – gorszym niż pogrzebanie żywcem w jakiejś krypcie – było to, że mógłby zapomnieć kim jest... po raz kolejny.

Wiele lat temu dryfował po bezdrożach własnej świadomości, leżąc na szpitalnym łóżku w Pradze po tym, jak otrzymał postrzał w głowę w hotelowym pokoju. Tamta amnezja była czymś w rodzaju płaskiego, nieruchomego oceanu pozbawionego wiatru i prądów. Nie można było po nim żeglować i nigdy nic się nie działo. Trwało się w bezruchu, w wiecznym oczekiwaniu pomocy, która nie miała nigdy nadejść.

Ale potem, pewnej nocy, obok łóżka pojawił się Clemente – jego przewodnik – i zaoferował mu odkrycie prawdy o własnej przeszłości w zamian za uroczyste przyrzeczenie, które miało go obowiązywać przez resztę życia. Przyjął jego propozycję. Nikt nie był w stanie przywrócić mu dawnych wspomnień, ale mógł znaleźć sposób na stworzenie sobie nowych. I tak się stało. Dlatego Marcus nie chciał utracić nawet tych ostatnich, choć głównie przynosiły mu cierpienie.

Clemente już nie żył. A on miał imię – coś dla niego najcenniejszego. Jedynymi śladami życia Marcusa sprzed Pragi były blizna na lewej skroni... i krew ciekąca z nosa – dzięki Bogu.

Bolesne ukłucie w piersi odebrało mu znowu oddech. Instynktownie pochylił się, mając nadzieję, że to mu pomoże. Nie wiedział, z czego bierze się ten ból, nigdy dotąd nie czuł podobnego – przynajmniej w tej części życia, którą pamiętał. Podziałało. Ból zniknął nagle, równie prędko, jak się pojawił.

To jeszcze nie koniec mojego życia, pomyślał Marcus. Nie wystarczyło obudzić się ze snu, który oddawał go łagodnie w ramiona śmierci. Mógł jeszcze umrzeć naprawdę. Głównym problemem było to, że nie widział sposobu, w jaki mógłby uwolnić się od kajdanek. Dlatego uprzedzając strach, który mógł wziąć w nim górę i pozbawić go elementarnego instynktu

przeżycia, zmusił się do odtworzenia tego, co mu się przydarzyło. Na chwilę odsunął na bok dociekanie, gdzie się znajduje, bo w pierwszej kolejności powinien ustalić coś innego.

W jaki sposób się tu znalazł? Dlaczego ma na rękach kajdanki? Ale przede wszystkim, komu to wszystko zawdzięcza?

W jego świadomości tkwiło coś w rodzaju czarnej ściany nie do pokonania. Ostatnim, co pamiętał, było to, że doszło do uszkodzenia sieci elektrycznej Rzymu i prawdopodobnie wystąpiła konieczność czasowego przerwania dostaw energii elektrycznej do miasta. Nie wiedział jednak, ile czasu upłynęło od tamtej pory. Z pewnością nie chodziło o dni ani tygodnie. Dowodem na to było, że ciągle pozostawał przy życiu. Ale wcześniej jeszcze, zanim ciemność zapadła w Rzymie, zawładnęła jego świadomością. Choć tym razem była to raczej krótkotrwała amnezja, która nie odcięła głównej części jego pamięci. Lecz Marcus i tak był tym przerażony.

Co ją wywołało? Może niedotlenienie?

Musiał odtworzyć to, co się wydarzyło. Dokładnie tak jak wtedy, gdy odwiedzał w sekrecie sceny zbrodni i starał się odczytać znaki zła, mając przed sobą zarżnięte, porąbane na kawałki albo spalone ciało. Ponieważ to właśnie potrafił robić, to wychodziło mu najlepiej. Odkrywanie anomalii. Nieostrzegalnych rozdarć w obrazie normalności. Nieprawidłowości w zwykłym biegu rzeczy – takich jak krew ciekąca z jego nosa. Często odsłaniały one coś ukrytego. Pełniły funkcję małych drzwi prowadzących w inny wymiar, niczym tajemne przejście ku jakiejś innej prawdzie.

W tym przypadku jednak nie było leżącego bez ruchu ciała, które można by było przepytac wzrokiem.

Tym razem ofiarą był on sam.

W dodatku nie miał do dyspozycji wszystkich zmysłów, które mógłby wykorzystać w dochodzeniu. Oprócz pamięci obejmującej ostatnie wydarzenia miał również naruszony zmysł dotyku z powodu kajdanek na nadgarstkach. A przede wszystkim brakowało mu wzroku. Próbował odwołać się do słuchu i węchu

i zaczął za ich pomocą przesiewać mrok. Stłumione odgłosy deszczu, które dochodziły z daleka niczym ciche, rytmiczne bębnienie, i ostry zapach wilgoci mówiły mu, że znajduje się pod ziemią. W jakimś zbiorniku, a może podziemnej krypcie. Żadnych innych wniosków nie udało mu się wyciągnąć.

Zdekoncentrowało go nowe ukłucie w piersiach, które odebrało mu dech, i znowu poczuł się tak, jakby ktoś wbijał rozżarzone żelazo między jego żebra. Skąd się bierze ten ból? Wyglądało to tak, jakby w jego wnętrzu tkwiło jakieś trujące ciało i żołądek starał się go pozbyć.

Wyobraził sobie, że złośliwy owad wije sobie gniazdo w jego mostku.

Ukłucie znikło. Anomalie, pomyślał. Ta konstatacja była jedyną nadzieją, że się nie załamie. I wyszedł dokładnie od myśli, że może tu umrzeć. Ktoś, kto zamknął go w tej pieczarze, zabrał mu ubrania i zostawił go w kajdankach. A jednak, pomijając bolesny skurcz o niewiadomym pochodzeniu, który Marcus co jakiś czas odczuwał nad żołądkiem, nie odniósł żadnej rany.

Ten ktoś chce, żebym umarł z głodu.

Pomyślał o kolejnych fazach, które poprzedzą nieuchronny koniec. Po kilku dniach bez jedzenia, po tym, jak organizm spali zapasy węglowodanów i tkankę tłuszczową, zacznie spalać tkankę mięśniową. Praktycznie biorąc, ciało będzie się żywić samym sobą. Organy wewnętrzne podejmą cichą rebelię objawiającą się niewypowiedzianymi cierpieniami, aż do końcowej zapaści prowadzącej do zupełnego wycieńczenia. Ta powolna męka może się ciągnąć nawet kilka tygodni. Z pewnością mógłby się żywić cuchnącą breją z próchniczej ziemi i wody, która pokrywała posadzkę jego więzienia. To spowolniłoby odwodnienie, ale koniec końców służyłoby tylko przedłużeniu agonii. Być może miał szczęście, że ten, kto go tu wtrącił, zabrał mu ubrania i skuł ręce kajdankami. Wymuszona pozycja kończyn górnych i wychłodzenie były wprawdzie źródłem dodatkowych cierpień, ale z pewnością mogły się przyczynić do przyspieszenia zgonu.



Dlaczego wybrał dla mnie taki właśnie rodzaj śmierci?

Jego morderca chciał, żeby zwariował, żeby szarpał zębami własne ciało w beznadziejnej próbie zablokowania skurczów wygłodzonego żołądka. Marcus czytał o zaginionych w trzewiach ziemi speleologach, którzy po jakimś czasie z głodu poddawali się naturalnym skłonnościom do kanibalizmu. Słabsi byli zjadani przez silniejszych. Tego, kto nie zdołał osiągnąć przewagi nad innymi, czekało tylko to, że dostarczy im pożywienia, a tymczasem sam doznawał nieodpartej chęci odgryzania zębami kawałków własnego ciała. Jego żołądek brał górę nad mózgiem, a niezaspokojony głód odsuwał na bok resztki rozsądku.

Co zrobiłem, żeby na to zasłużyć?

Kluczowym słowem było „zasłużyć”.

Pierwsza anomalia: jego morderca nie zamierzał tak po prostu go zabić. Chciał go ukarać. W starożytnym Rzymie głodzenie było często praktykowaną formą torturowania.

– To jest więzienie – powiedział penitencjariusz, rzucając te słowa w ciemność. – Znajduję się w więzieniu.

Zważywszy, że było zbudowane ze skały tufowej, musiało pochodzić sprzed tysięcy lat. Ale w Rzymie były dziesiątki takich budowli.

Nie, doszedł do wniosku. Ten ktoś przyprowadził mnie tu w jakimś celu. Chciał, żebym się przebudził, dlatego nie zabił mnie od razu. Chciał, żebym umierał powoli, ale przede wszystkim, żebym wiedział, że umieram.

To sadysta; chce, bym miał świadomość miejsca, w którym się znajduję. I tego, że nigdy nie wyjdę stąd żywy.

Idąc tym tropem, Marcus zdał sobie sprawę, że musi ustalić, co różni to więzienie od innych. Zagłębił znowu stopy w wilgotnej brei pod nogami.

Druga anomalia: woda.

Była chłodniejsza od zwykłej deszczówki. Nie pochodziła z góry, wypływała z dołu. Z jakiegoś źródła. To musi być *Tullius*, przypomniał sobie łacińską nazwę. Źródło, które tryska w jaskiniach tufowych obok wzgórza kapitońskiego, dokładnie

tam, gdzie znajdowało się Tullianum – Więzienie Mamertyńskie. Tak, musi się znajdować właśnie w Tullianum, w podziemnym pomieszczeniu podzielonym na dwie kondygnacje. Ta górna służyła strażnikom do przesłuchań, torturowania albo doprowadzania więźniów do śmierci. Natomiast do dolnej wtrącani byli więźniowie zaraz po aresztowaniu, żeby czekając, aż przyjdzie ich kolej, mogli słuchać krzyków towarzyszy niedoli i smakować tego, co miało stać się ich losem.

A skoro to było Tullianum, to musiało być wejście do niego.

Istniał tylko jeden sposób, żeby je znaleźć. Marcus oparł się plecami o ścianę i unosząc się na piętach, zdołał stanąć na nogach. Gdy miał już pewność, że utrzyma równowagę, skierował się powoli w kierunku miejsca, w którym, jak sądził, znajduje się środek pomieszczenia. A ponieważ pomieszczenie miało kolisty kształt, powinno wystarczyć pokonanie jego promienia, chociaż w ciemnościach trudno utrzymać dokładny kierunek. Marcus nie wiedział nawet tego, ile kroków musi zrobić, żeby się znaleźć w centralnym punkcie. Gdy jednak wykonał około dziesięciu, wyczuł coś nad głową.

Bardzo lekki prąd powietrza.

Zatrzymał się. Nad nim musiał znajdować się okrągły otwór prowadzący do górnego poziomu. Ale na jakiej wysokości? Nawet gdyby miał wolne ręce i mógł wziąć rozmach, nigdy nie zdołałby podskoczyć tak wysoko. A może jednak? Jeśli morderca założył mu kajdanki, żeby mu to uniemożliwić? Marcus rzucił przekleństwo pod jego adresem. Ale nie wolno mu było dopuścić, żeby górę wzięła złość. To miejsce, kajdanki – wybór obu tych elementów czemuś służył. Co jeszcze powinien wyjaśnić?

Trzecia anomalia: nagość.

Dlaczego zostawił mnie tu bez ubrania?

Odpowiedź brzmiała: żeby mnie upokorzyć. Pozbawił mnie ubrań, ponieważ jestem księdzem, nawet jeśli nie noszę sutanny. Tamtemu jednak nie robi to różnicy. Największe upokorzenie dla sługi bożego to obnażenie go i wyśmianie. Chrystus umarł nagi na krzyżu. Ale dzięki temu, że Marcus należał do ludzi Kościoła,

natychmiast rozpoznał Więzienie Mamertyńskie, bo według legendy właśnie tu przetrzymywano apostołów Piotra i Pawła. Prześladowca przewidział, że Marcus to odkryje.

Piotr i Paweł zdołali opuścić to miejsce... On oferuje mi możliwość uratowania się, pomyślał penitencjariusz, czując, że ożywia go nowa nadzieja. Poddaje mnie tylko próbie.

Dwaj apostołowie odzyskali wolność, nawracając strażników więziennych i chrzcząc ich wodą z Tulliusa.

– Woda... Chrzt... Obmycie grzechów... – zaczął wymieniać Marcus, próbując połączyć te nieliczne elementy w poszukiwaniu ich sensu, a może także związku między nimi. – Woda obmywa duszę. Obmyta dusza wznosi się do nieba, do chwały Bożej. – On też mógłby się wznieść przez otwór nad głową i odzyskać wolność. W tym wszystkim kryły się mocne symboliczne treści. Marcus czuł, że jest blisko rozwiązania zagadki. – Dusza znajduje się w naszym wnętrzu... Dlatego wewnątrz nas kryje się też tajemnica zbawienia.

Wygłosiwszy to ostatnie zdanie, zamilkł i przepędził z głowy wszystkie inne myśli w obawie, że wymknie mu się z rąk kraj prawdy, którego się właśnie uchwycił. To miało sens.

Czwarta anomalia: bóle u dołu klatki piersiowej.

Nie jestem ranny, powtórzył sobie. Jedynym niedomaganiem było to, które poczuł już kilka razy, ale szybko zniknęło. Jaki to był rodzaj bólu? Kłujący. I odbierał mu oddech.

Oddech, pomyślał. Niedotlenienie, które pewnie by go zabiło, gdyby się nie przebudził. Prawdopodobnie wywołało też utratę jasności myśli, a w rezultacie także pamięci. W wyobraźni znów zobaczył złośliwego owada, który wygrzebywał sobie norę w jego wnętrzu.

Ta asfiksja i ból nie są wynikiem schorzenia. Istnieje coś, co je wywołuje. W tym momencie wiedział już, co powinien zrobić.

Uklęknął, zgiął się wpół i zaczął kasłać. Kasłał coraz mocniej, mając nadzieję, że ukłucie wróci i ból przeszyje mu klatkę piersiową i mostek. Nagi i na kolanach niczym pokutujący grzesznik, zaczął przyzywać ten zbawienny ból. Ścisnął

przeponę, żeby pomogła mu wyrzucić to, co miał w żołądku. Poczłł gwałtowny skurcz, potem następny i zaczął wymiotować. Jedzenie, płyny. Za chwilę będzie miał dowód, że się nie mylił.

On mnie zmusił, żebym coś połknął. Jakies obce ciało... owada.

Ale to stworzenie ani myślało się ruszyć, może o coś zaczepiło. Musiał wygnać je z nory. Nadal zmuszał się do wymiotowania. Za każdym razem, gdy mu się to udawało, odczuwał rozdzierający ból. Miał jednak wrażenie, że to coś zaczyna powoli przesuwać się ku górze. Gdy skończyły się pozostałości jedzenia, zaczął wypluwać soki żołądkowe. Rozpoznał na języku ich metaliczny smak, lecz nawet obawa przed wewnętrznym krwotokiem nie skłoniła go do zaprzestania prób. Co jakiś czas wstrzymywał się, żeby odzyskać dech. Ale milimetr za milimetrem nieproszony gość wychodził na zewnątrz.

To musi być diabeł. Przyjął kształt owada i ma mnie w swoim posiadaniu. Zawładnął moją duszą. Boże, pomóż mi. Wszchemogący Boże, udziel mi wsparcia.

Oczy potwornie go piekły, dolna szczęka ledwie trzymała się na zawiasach. Uświadamiał sobie, że nie wytrzyma długo. Gdyby znowu zemdłał, już by się nie obudził. Rozpaczliwym wysiłkiem zdołał sprowokować mocniejsze torsje. W pewnym momencie poczuł, że jego usta razem z krwią wyrzucają jakiś przedmiot. Niczym podczas egzorcyzmów uwolnił się od demona. Ale jeszcze nie był tego pewien.

Dopóki nie usłyszał dźwięcznego odgłosu. Tuż przed nim.

Nie czekał, aż poczuje się lepiej: zagłębił twarz w błotnistej mazi, szukając intruza tymi samymi ustami, które go wyrzuciły. Musnął wargami jakiś metalowy przedmiot. Nie mylił się. Wyrzucił z siebie obce ciało.

Lecz nie owada, tylko mały kluczyk.

Chwycił go zębami i znowu popełnił w kierunku ściany. Wypuścił kluczyk z ust u stóp muru i odwrócił się, żeby chwycić go czubkami palców. Rozpaczliwie chciał się uwolnić z kajdanek, więc postanowił zrobić to od razu. Kosztowało go to jeszcze

dłuższą chwilę, ale w końcu udało mu się wsunąć kluczyk do zamka i sprawić, że odskoczyły.

Mając do dyspozycji obie ręce, wrócił do miejsca, w którym poczuł prąd powietrza. Zaczął od oczyszczenia posadzki z kleistego błota, żeby się nie pośliznął. Potem pochylił się, wziął rozmach i wykonał skok, wyciągając ręce do góry. Nic. Spróbował jeszcze raz. Nic. Trzeba było co najmniej sześciu prób, aby musnąć skałę sklepienia. I kolejnych dziesięciu, by solidnie zakotwiczyć palce na krawędzi okrągłego otworu. Olbrzymim wysiłkiem podciągnął się, oparł łokciami o posadzkę górnego pomieszczenia i poczuł, że obciera sobie naskórek. Nie ustąpił jednak. Zdobywał kolejne centymetry za pomocą wszystkiego, czym dysponował – paznokci, mięśni, kości.

W końcu znalazł się na górze. Ale i tam czekały na niego ciemności.

Rozciągnął się na wznak, żeby odzyskać siły. Odrzucił ręce na boki i zaczął unosić klatkę piersiową niczym tłok, pompując powietrze do płuc. Zrobił znak krzyża, żeby podziękować za to, że przeżył. Potem spróbował uporządkować myśli. Pamiętał, że z górnego pomieszczenia Tullianum odchodzą tunele prowadzące na zewnątrz. Obmacując na ślepo ściany, mógł znaleźć wyjście.

Gdy podnosił się na nogi, potracił coś kolanem. Obmacał posadzkę wokół siebie, żeby ustalić, co to jest, i znalazł wydłużony plastikowy przedmiot. Rozpoznał go – była to latarka. Gdy zapalił ją, smuga jaskrawego światła oświetliła mu twarz, zmuszając go do zamknięcia oczu. Potem skierował ją w stronę otworu prowadzącego do niższego pomieszczenia.

Z czarnej paszczy ziała ciemność.

Oderwał od niej strumień światła i posłużył się nim, żeby rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym przebywał. Po chwili je zobaczył. W kącie leżały jego ubrania. Uderzyło go, że są schludnie ułożone. Poczuł się zziębnięty i podszedł, żeby je zabrać. Były zmoczone deszczem. W takim razie jestem tu od niedawna, pomyślał, bo inaczej zdążyłyby wyschnąć. Mimo to

wciągnął je na siebie, nie miał wyboru. I dokonał następnego odkrycia.

Zamiast swoich zwykłych czarnych butów zobaczył białe tenisówki. Skąd one się tu wzięły?

Kiedy skończył się ubierać, włożył rękę do prawej kieszeni spodni, szukając w niej medalika ze świętym Michałem Archaniołem, opiekunem penitencjariuszy. Razem z nim znalazł kilka razy złożoną kartkę. Umieścił ją na dłoni i dokładnie obejrzał. A potem ją rozłożył.

Była to strona wyrwana z notatnika.

Natychmiast rozpoznał swój charakter pisma. Jedną z reguł łowców cieni było niepozostawianie śladów, które mogłyby ich zdradzić. Dlatego nie robił zapisków, nie nagrywał własnego głosu, unikał kamer i aparatów fotograficznych. Nie miał sprzętu elektronicznego, który mógłby posłużyć komuś do wytropienia go albo zlokalizowania, nawet telefonu komórkowego. Dlatego też kartka wydało mu się jeszcze dziwniejsza niż białe tenisówki. Na kartce znajdował się krótki zapisek.

### *Znajdź Tobiego Frai.*

Polecenie, które skierował do samego siebie. Marcusowi z przeszłości, z okresu poprzedzającego krótką amnezję, która wpędziła go w głąb ciemnej i śmierdzącej dziury, udało się nawiązać kontakt z Marcusem obecnym.

W tych paru słowach krył się nakaz pośpiechu. Ale kim jest ten Tobi Frai? Czy kiedykolwiek go poznał? To nazwisko z imieniem było jedyną wskazówką, która mogła mu pomóc przywrócić pamięć o tym, co wydarzyło się w ostatnich godzinach, w noc poprzedzającą wyłączenie prądu.

Zanim ruszył, by poszukać wyjścia, rzucił jeszcze okiem na otwór do dolnego pomieszczenia. Odniósł wrażenie, że nie jest sam. Jakby tam, na dole, przyczajony w mroku, ciągle był ktoś, kto nie odstępował go na krok. Dwoje bezgłośnych oczu, umiejących widzieć w ciemności.

### 3

#### *Siedem godzin i dwadzieścia cztery minuty do zmierzchu*

Lokale publiczne, sklepy, biura i szkoły miały zostać zamknięte na czas nieokreślony. Wyłączono uliczne latarnie, podobnie jak światła na skrzyżowaniach. Oprócz karetek pogotowia i samochodów służb porządkowych oraz straży pożarnej żaden inny pojazd nie miał prawa poruszać się po ulicach. Metro również było nieczynne.

Można było przemieszczać się z miejsca na miejsce wyłącznie na piechotę.

Miasto powinno być jak wyludnione. Niektórzy jednak w ogóle się nie przejęli nakazami władz. Nie zwracając uwagi na ostrzeżenia i zalecenia, wielu ludzi wyszło na ulice, żeby się osobiście przekonać, jak wygląda Rzym wolny od codziennego natłoku samochodów i turystów. Ogarnęła ich przypominająca zbiorowe szaleństwo dziwna euforia, popychająca do lekkomyślnych zachowań, na przykład do zbierania się na mostach i placach, by na przekór złej pogodzie świętować nadchodzący śmieszny koniec miasta, które wierzyło, że jest „wieczne”.

Marcus szedł między nimi niewidoczny jak zawsze. Trzymał ręce w kieszeniach kurtki, miał podniesiony kołnierz, żeby ukryć twarz, pochylone plecy i dla osłony przed deszczem trzymał się blisko ścian domów, niemal się o nie ocierając.

Był kimś obcym pośród tego zaimprovizowanego karnawału. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci egzorcyzmowaniem strachu, o którym nikt nie miał ochoty

rozmawiać, choć tak naprawdę to z jego powodu wyszli z domu. Dopóki był dzień i w słabym świetle słonecznym mogli spoglądać jeden drugiemu w oczy, wszystko, na co patrzyli, wydawało im się tylko nieoczekiwaną i radosną nowiną. Marcus dobrze znał ten utajony strach.

Nikt nie wiedział, co może się wydarzyć po zapadnięciu zmierzchu.

Mimo zastosowanych środków mających zapobiec anarchii i zapewnień władz zmierzch stanowił nieświadomioną granicę nieznanego. Od tego momentu miasto stanie się obszarem cieni. Teraz jeszcze się chowały na granicy światła, ale wkrótce skorzystają z ciemności, żeby wyjść ze swoich kryjówek i uwolnić najbardziej niebezpieczne instynkty.

Właśnie dlatego Marcus przyspieszył kroku, miał złe przeczucia. W przeciwnym razie instrukcja, którą znalazł w kieszeni spodni, nie miałaby sensu.

*Znajdź Tobiego Frai.*

W normalnej sytuacji na początek wszedłby do kawiarenki internetowej, żeby poszukać wyjaśnień w sieci. Ale wyłączenie prądu wszystko zmieniało. To, co wcześniej było łatwe, teraz stało się, praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe. Dlatego penitencjariusz doszedł do wniosku, że pierwszym etapem powinien być powrót do mieszkania przy via dei Serpenti. Przyszło mu na myśl, żeby włożyć suche ubrania. Zamierzał zrobić to szybko, obawiał się bowiem, że ktoś może mieć na oku budynek, by zdobyć pewność, że on nie przeżył tortury w Tullianum. Marcus nie przypominał sobie niczego, co mogłoby dotyczyć jego wroga, nie był nawet w stanie odtworzyć powodów, dla których ten ktoś wystawił na ryzyko jego życie, musiał więc zaufać przeczuciu, które mówiło mu, żeby zachowywał wielką ostrożność.

Gdy znalazł się blisko domu, przystanął na rogu po drugiej stronie ulicy i zaczął się dyskretnie rozglądać. Po uliczkach dzielnicy Monti kręcili się tylko chłopcy kierujący się do bardziej uczęszczanych miejsc, gdzie trwało to groteskowe świętowanie.



Krzyczeli i śmiali się głośno, a ich żywiołowość odbijała się echem od ścian domów, nieco tylko tłumiona przez padający deszcz.

Odczekał jakieś piętnaście minut, kuląc się z zimna pod daszkiem nad bramą. W końcu uznał, że nic mu nie grozi – nikt na niego nie czekał – i opuścił swoje ukrycie.

Wszedł prędko do bramy i ruszył po schodach starego robotniczego budynku, kierując się na poddasze. W ciągu lat inni lokatorzy nie okazywali zainteresowania zagadkowym mieszkańcem najwyższego piętra. Marcus prawie się nie pokazywał. W dzień zamykał się u siebie i starał się nie hałasować. Wychodził nocą, żeby wypełniać swoje misje, i wracał dopiero o świcie.

Na progu małego mieszkania sięgnął po klucz, który trzymał ukryty w osłoniętym wgłębieniu obok futryny, i otworzył drzwi.

Wszystko wydawało się w porządku, w stanie, w jakim zostawił swoje lokum. Na podłodze otwarta walizka z ubraniami, materac rzucony w jednym z rogów. Na ścianie przy pościeli z prześcieradła i koców, pod drewnianym krucyfiksem, widać było zrobione długopisem notatki z czasów, kiedy złamał zakaz pisania narzucony penitencjariuszom. Później jednak go przestrzegał, do momentu gdy napisał coś na kartce, którą znalazł dziś w kieszeni spodni. Zapiski na ścianie robił po wydarzeniach z Pragi i ciężkiej amnezji, jakiej wówczas doświadczał. Gdy dotarł do Rzymu, w rozpaczliwej próbie przypomnienia sobie przeszłości próbował znaczyć na tej ścianie okruchy wspomnień, które nawiedzały go we śnie – trupy z czasu zapadnięcia się w samym sobie, wyrzucane przez morze ciemności, po jednym naraz. Napisy były wyblakłe, bo oddawały cierpienia, które zniknęły dawno temu. Teraz Marcus nie martwił się już tym, co mu się przydarzyło: obawiał się tylko, że to może się powtórzyć.

Jak tej nocy, pomyślał. Męczyła go myśl, że nie może sobie przypomnieć ostatnich godzin. Czy był to pojedynczy epizod, czy przytrafi mu się znowu?

Zastanawiając się nad tym, przebrał się. Chętnie zdjąłby też zmoczone od deszczu tenisówki, ale oprócz tamtych ciemnych butów, które podziały się nie wiadomo gdzie, nie miał innych. Żeby znowu włożyć białe szmaciaki, usiadł na jedynym krześle w pokoju. I znieruchomiał. Coś zwróciło jego uwagę. Między zwiniętymi kocami na jego legowisku leżało zdjęcie, które dobrze znał.

Nikt o mnie nie wie. Nikt nie zna mojej tożsamości, przypomniał sobie w więzieniu Tullianum. Ale nie była to prawda. Wiedziała o nim jedna osoba. Dowodem na to było to zdjęcie.

Był to ukradziony obraz pewnej kobiety, utrwalony jednorazowym aparatem kupionym w sklepie z pamiątkami przy Trastevere. Pamiętał jeszcze dokładny moment, kiedy je zrobił.

Po ich ostatnim pożegnaniu – i pocałunku, którego miał nigdy nie zapomnieć – śledził ją często z ukrycia. Popychało go do tego nieprzeparte pragnienie zajmowania się nią; chciał wiedzieć, że wszystko u niej w porządku. Wmawiał sobie, że chodzi tylko o to. Ale pewnego dnia zapragnął ją sfotografować. W Rzymie zrywały się podmuchy chłodnego wietrzyku. Krótkie, ale żywe. Marcus znajdował się za jej plecami, polując na odpowiednią chwilę, żeby pstryknąć zdjęcie. Nadleciał silniejszy poryw i ona się odwróciła, tak jakby wiatr zawołał ją po imieniu: „Hej, Sandra!”.

Marcus uchwycił dokładnie ten moment.

To jedyne, drogie jego sercu ujęcie oddawało istotę jej charakteru. Siłę i łagodność. A także melancholię, która kryła się w jej spojrzeniu.

Przechowywał tę fotografię pod poduszką. Myśl, że ona czeka na niego na tym pustym poddaszu, dawała mu iluzję, że wraca do domu. Teraz jednak zdjęcie nie leżało w miejscu, które dla niego wybrał. A wyjaśnienie było tylko jedno.

Miał gościa. Kogoś, kto przed wyjściem chciał zostawić wyraźny ślad swojej wizyty.

Marcus ostrożnie sięgnął po fotografię. Gdy uniósł ją za róg, zobaczył pod nią mały krzyżyk z czarnego obsydianu.

Natychmiast odczytał znaczenie tego znaku.  
Penitencjariusz został wezwany.

## 4

Battista Erriaga stał bez ruchu przed wielkim oknem swej luksusowej nadbudówki pałacu z widokiem na Fori Imperiali.

Ekskluzywny widok był poszarzały od deszczu, ale kardynał nie przejmował się tym. Był pogrążony w myślach i co jakiś czas obracał biskupi pierścień wokół serdecznego palca prawej ręki. Ta czynność, której oddawał się niemal nieświadomie, pomagała mu w rozmyślaniach.

Za jego plecami huczał ogień w wielkim kominku z różowego trawertynu. Płomienie odbijały się od białych kanap i tańczyły na ścianach, zabarwiając buzie efebów z białego marmuru i stapiając się z barwami świątobliwego tryptyku Guercina, który niegdyś, w siedemnastym wieku, należał do prywatnej kolekcji kardynała Ludovisiego. Muskały też bolejące oblicze Madonny Perugina. Tym cudom dawnej sztuki towarzyszyły inne arcydzieła takich mistrzów, jak Ghirlandaio, Antonio del Pollaiuolo, Paolo Uccello czy Filippo Lippi. Trafiły tu prosto ze zbiorów watykańskich, jako że Erriaga, cieszący się mocną pozycją w łonie Kurii, zażyczył sobie, żeby dekorowały jego apartament. Po spędzeniu dzieciństwa i lat młodości w głodzie i nędzy na Filipinach kardynał dbał o to, żeby jego spojrzenie błędziło wyłącznie po rzeczach reprezentujących czyste piękno. W tym momencie jednak nie znajdował w dziełach sztuki żadnego pocieszenia.

Jego dzień rozpoczął się bardzo wcześnie i w najgorszy z możliwych sposobów.

Pomyśleć tylko, że poprzedniego wieczoru po wysłuchaniu prognozy pogody zaplanował, że będzie się cieszył przechodzącą

przez miasto burzą w ciepłe swego mieszkania, zagłębiony w ulubionym fotelu, w towarzystwie Mozarta, pudełka cygar Montecristo No. 2 i butelki whisky Glenfiddich Rare Collection 1937.

Mimo nastroju pewnej surowości, jaki panował od niedawna w Watykanie, Erriaga nie zamierzał rezygnować ze sporej dawki materialnych rozkoszy. Ponadto, w odróżnieniu od swoich kolegów kardynałów, którzy na zewnątrz demonstrowali bardziej umiarkowane zachowania i ubiory, ograniczając korzystanie z luksusów do życia prywatnego, on na to gwizdał. Nadal ubierał się w jedwabne sutanny i przednie wełny kupowane u krawców z via dei Cestari, a na szyi nosił złote krzyże nabijane lazurytami i ametystami. Bywał też w restauracjach, w których zazwyczaj wyższe watykańskie sfery zawierały układy ze światem polityki i życia gospodarczego stolicy, takich jak L'Eau Vive w Panteonie, słynne z ich *Filets de perche à la pékinoise*, albo do Velando na Borgo San Vittorio, gdzie na deser zamawiał semifreddo z kasztanów z kremem nugatowym. Oczywiście popijał te smakołyki najdroższymi winami, jak jego ulubione Chambolle-Musigny czy Brunello di Montalcino. A wszystko to dlatego, że nie chciał mieć równych sobie zarówno dotychczas, jak i w przyszłości.

Adwokat Diabła z Trybunału Dusz miał olbrzymią władzę.

Jako „główny spowiednik” w Rzymie znał najtajniejsze ludzkie grzechy. I wykorzystywał je, żeby zawierać pakt i zjednywać sobie wrogów wewnątrz Kościoła i poza nim. Ktoś mógłby nazwać jego banalne upomnienia „szantażami”, ale Erriaga uwielbiał udzielać rozgrzeszenia własnym postępkiem, myśląc o sobie jak o dobrym ojcu rodziny, który od czasu do czasu ma obowiązek upomnieć swoje dzieci, jeśli zeszyły z drogi uczciwego życia. Utrzymywał, zwłaszcza w odniesieniu do samego siebie, że ma na uwadze „wyższe cele”, które nie wiadomo w jaki sposób zawsze idealnie się zbiegały z zaokrągleniem jego konta.

Już od wielu lat Erriaga trzymał w garści pół Rzymu dzięki sekretom, które zdołał poznać.

Faktem było, że wiele osób, które zbrukały się złym uczynkiem, popełniało fatalny błąd: postanawiało odciążyć sumienie, spowiadając się. Grzechy ciężkie, przy których zwykły ksiądz nie mógł udzielić rozgrzeszenia, trafiały pod osąd Trybunału Dusz, najwyższej instancji katolików. W ten sposób kardynał dowiadywał się o nich. Od początku swej działalności Erriaga był świadom tego, że będą się na to nabierać coraz to nowi grzesznicy. Postępowali zawsze tak: najpierw się poprawiali i robili to szczerze, ale do ponownego zejścia na drogę grzechu wystarczała jedna rzecz.

Przebaczenie. To ono było zawsze najlepszą pożywką dla pokusy.

Erriaga żałował, że minęły czasy Świętej Inkwizycji, kiedy to grzesznikom zasądzano za złe uczynki surowe kary fizyczne. Było rzeczą dowiedzioną, że dzięki temu wielu z nich w końcu wracało na drogę cnoty i nie ulegało więcej diabelskim pokusom.

Grzech wykorzeniano za pomocą bólu.

W dzisiejszych czasach kardynał nie dysponował niestety podobnymi środkami perswazji, toteż nie cierpiał sytuacji, gdy sprawy wymykały mu się spod kontroli.

A od poprzedniego wieczoru niepokoiły go głęboko dwie nowe wieści.

Pierwszą była zapowiedź wyłączenia prądu z powodu nieprzewidzianych skutków burzliwej pogody. Jego myśli natychmiast pobiegły w stronę dokładnie określonego momentu dziejów. Sprawdza się przepowiednia i ostrzeżenie Leona X, pomyślał i ogarnął go dziwny niepokój. Poczul się tak, jakby w jego żyłach zaczęła krążyć lodowata woda.

Druga wiadomość dotarła już po wyłączeniu prądu, gdy był pogrążony w niespokojnym śnie, z którego nie mógł się przebudzić. W pierwszej chwili pobłogosławił głos sekretarza, który uwolnił go od udręki. Potem jednak spojrzął na niego

i uświadomił sobie, że ma przed oczami posłańca żalobnej wieści.

Wewnątrz murów Watykanu doszło do niespodziewanego zgonu.

Mimo że Erriaga nie był człowiekiem przesądnym, zmuszony był zadać sobie pytanie, czy przypadkiem te dwa wydarzenia nie są w jakiś sposób ze sobą powiązane.

*Przepowiednia... Znaki...*

Natychmiast odrzucił ze wstrętem to podejrzenie. Niestety, choć starał się je zignorować, ta myśl zapuściła drobne korzonki w jego umyśle, niczym mały chwast, który wyrasta na nowo za każdym razem, gdy zostaje wyrwany.

Gdyby nie doszło do wyłączenia prądu, mógłby wykręcić znany tylko jemu numer skrzynki głosowej i zostawić w niej wiadomość. W tej sytuacji jednak musiał poradzić sobie inaczej. Zdjął sutannę i włożył jedyne cywilne ubranie, które trzymał w głębi szafy. Używał go, gdy chciał poruszać się ulicami Rzymu tak, by nikt go nie rozpoznał. Narzucił na siebie ciepłą kurtkę, włożył na głowę czapkę z daszkiem i udał się pod pewien adres w dzielnicy Monti. Spędził tam więcej czasu, niż powinien. Potem, znudzony i niespokojny, wrócił do siebie, lecz zostawił lokatorowi wyraźne zaproszenie.

Mały krzyżyk z obsydianu.

Po powrocie do apartamentu zwolnił służbę, bo chciał zostać sam. Wiedział, że ta ostrożność może okazać się niewystarczająca. Tak czy owak, wystawiał się na ryzyko, ale nie miał wyboru.

Nagle usłyszał cichy odgłos za plecami. Otwierających się drzwi i kroków.

\* \* \*

Pozostawiono mu otwarte wejście dla służby, Marcus skorzystał więc z kuchennych schodów, żeby dotrzeć do apartamentu. Zazwyczaj można było wjechać do niego

bezpośrednio windą, lecz teraz oczywiście nie działała. Ale nawet gdyby nie przerwa w dostawie prądu, skorzystanie z niej nie byłoby rozsądne. Penitencjariusz miał świadomość, że jego obecność w tym domu jest ryzykowna. Przed spotkaniami z nim kardynał podejmował zawsze różne środki ostrożności i wybierał na nie dyskretne, ustronne miejsca. Chociaż tożsamość i misja Marcusa otoczone były tajemnicą, nikt nie powinien łączyć ich dwóch ze sobą. A skoro Erriaga podjął trud, żeby udać się aż na jego poddasze i szukać go tam osobiście, a potem wezwał go do swego mieszkania, musiał istnieć po temu poważny powód.

Kardynał odwrócił się i spojrzał na niego. Marcus stał bez ruchu w najciemniejszym kącie pokoju; u jego stóp zebrała się mała kałuża deszczówki, powoli powiększająca się na posadzce z białego marmuru z Carrary.

– Dziś w nocy zmarł pewien człowiek – powiedział Filipińczyk. – Ktoś ważny. Potężny człowiek – uznał za stosowne podkreślić. – Jeden z tych, którzy zwykle myślą, że są nieśmiertelni. A tymczasem umarł w bardzo głupi sposób.

Marcus zauważył, że kardynał stara się ukryć coś pod maską sarkazmu i typowej dla niego pogardy. Czyżby się czegoś bał?

– Znałeś biskupa Gorde? – spytał Filipińczyk.

Ta twarz natychmiast ukazała się Marcusowi przed oczami. Nie można było nie znać Artura Gordy, charyzmatycznego zwierzchnika potężnej kongregacji, która organizowała zgromadzenia duchowe. Na te wspólne modlitwy ściągaly rzesze ludzi. Gorda był człowiekiem nadziei, obrońcą biedaków i nieprzystosowanych. Jak mało kto potrafił rozpalać tłumy jednym słowem, jednym gestem.

Jego zdolności rozpoznano dopiero jakiś czas po tym, jak pojawił się w Watykanie. Uważano go za człowieka niewygodnego, niepasującego do tego otoczenia, nieznanego ustalonych reguł dyplomacji. Został przyjęty do Kurii Rzymskiej dopiero w późnym wieku. Być może dlatego, że nie mógł już pretendować do miejsca na tronie Piotrowym. Papież traktował



jednak Gordę z wielką powagą i chciał go mieć zawsze przy sobie. Kazał zarezerwować dla niego małe mieszkanie w Pałacu Apostolskim, obok swoich apartamentów. Biskup był kimś dużo ważniejszym od zwykłego doradcy. Kiedy mówił, z jego ust słyszało się głos samego papieża.

Różni potentaci zabiegali o spotkanie z nim, lecz Gorda wolał cieszyć się popularnością wśród zwykłych ludzi. Kochano tego człowieka, który mimo przywilejów, do jakich miał prawo, wiódł skromny żywot.

Nie mógł się w tej kwestii bardziej różnić od Battisty Erriagi. I nie było tajemnicą, że ci dwaj się nie lubią. Mimo to śmierć rywala nie ucieszyła kardynała. Przeciwnie, moment śmierci i to, w jaki sposób nastąpiła, pociągały za sobą problemy.

– Gorda był człowiekiem naznaczonym – powiedział Erriaga. – Niektórzy dopatrywali się w nim zalet świętego. Nikt by się nie zgorszył, gdyby po śmierci został wyniesiony na ołtarze. – Wolałby, żeby do tego doszło, i był szczery wobec siebie, gdy o tym myślał. – Ale po tym, co się stało dzisiejszej nocy...

Podszedł do cennego neapolitańskiego sekretarzyka z osiemnastego wieku, przy którym Pius IX napisał własnoręcznie bullę *Ineffabilis Deus*. Marcus dostrzegł na blacie kilka rozrzuconych zdjęć z polaroida. Kardynał kazał je zrobić ludziom z żandarmerii papieskiej natychmiast po znalezieniu ciała. Zebrał je teraz pospiesznie i podał swojemu gościowi szybkim ruchem ręki, jakby chciał się od nich czym prędzej odciąć.

Marcus zaczął je przeglądać.

– Musieli mi wyjaśnić, co to może być, bo inaczej sam bym się tego nie domyślił – powiedział Erriaga. – Nazywają to „obrozą rozkoszy”. Zdaje się, że chodzi tu o oddawanie się onanistycznemu nałogowi. Interesujący przedmiot, nie wydaje ci się?

Na zdjęciach widać było nagiego staruszka rozciągniętego na podłodze. Na głowie miał okulary wirtualnej rzeczywistości,

które zasłaniały mu większą część twarzy. Cienki przewód łączył je ze skórzaną obrozą, która ścisnęła szyję ofiary.

– Wygląda na to, że niektórzy doznają rozkoszy przy duszeniu się – ciągnął kardynał. Marcus przypomniał sobie wrażenie duszenia się, jakiego doświadczył rano w Tullianum. – Podczas gdy przez okulary widać pornograficzne obrazy, wzrasta podniecenie seksualne, co wywołuje stopniowe zaciskanie obroży, a to z kolei pociąga za sobą powolne niedotlenienie, które ponoć wzmacnia odczuwanie rozkoszy.

Marcus był mocno zaskoczony, słuchając słów kardynała, ten jednak nie sprawiał wrażenia zszokowanego i mówił o tych praktykach bez żadnych emocji.

– Nikt nie podejrzewał staruszka o to, że ma zwyczaj zamykać się w swoim gabinecie i oglądać świńskie obrazki, onanizując się z pomocą tego urządzenia.

– Kto mówi, że oglądał pornografię? – spytał Marcus. To wydawało się wprawdzie najbardziej oczywiste, ale nie chciał przyjąć tego do wiadomości. – To mogło być coś innego.

– Masz rację – musiał przyznać Erriaga, nikt nie mógł tego potwierdzić, ponieważ ciało odnaleziono już po wyłączeniu prądu. – Ale w gruncie rzeczy jaką to robi różnicę w odniesieniu do takiego świątobliwego człowieka? Gorda powinien był odejść jako męczennik, a tymczasem zdechł jak pies. – Ostatnią część zdania wymówił posępnym, oskarżycielskim tonem. Dokładnie jak wtedy, gdy w łonie Trybunału Dusz kończył wygłaszanie mowy oskarżycielskiej przeciwko jakiemuś grzesznikowi. Potrafił zasugerować ostateczny osąd tylko za pomocą modulacji głosu.

Marcus nie odpowiedział i o nic więcej nie zapytał. Ta historia była już i tak wystarczająco absurdalna.

Kardynał podszedł do wielkiego kominka i oparł się ręką o jego obramowanie. Na jego twarzy zatańczył blask ognia, kreśląc na niej ponure cienie.

– Gorda już od lat nie wychodził z mieszkania – dodał Erriaga.  
– Miał lęk przestrzeni. Teraz świat będzie chciał poznać prawdę

o tym, jak umarł. – Tylko z tego powodu dziękował niebu za wyłączenie prądu, gdyż uniemożliwiło ono mediom natychmiastowe rozpowszechnienie wiadomości o jego śmierci.

– Ale co my mamy z tym wspólnego? – odezwał się Marcus. – Co ja mam z tym wspólnego?

Gdyby Battista Erriaga miał przed sobą kogoś innego, podobne pytania zirytowałyby go i skarciłby rozmówcę. Jego rozkazy nie podlegały dyskusji, trzeba je było wykonać i koniec. Ale Marcus nie był zwyczajnym podwładnym. Był niebezpiecznym księdzem, przeszkolonym do polowania na zło. Powinien celebrować sakramenty jak zwyczajny kapłan, ale została mu wyznaczona najtrudniejsza misja: poznanie prawdziwej natury człowieka i podjęcie walki z nią. A ponieważ robił to od dawna, coś z tej mrocznej mgły, w której zazwyczaj prowadził swoje dochodzenia, nieuchronnie do niego przyłgnęło. Erriaga wyczuwał to w jego nieruchomym spojrzeniu i w przepastnie głębokich oczach, które nigdy nie przestawały przyglądać się temu, co miały wokół siebie. Celem Marcusa, ostatniego członka zakonu penitencjariuszy, było przywracanie dobra. I często mu się to udawało. Ale jego głód sprawiedliwości mógł krzyć żądzą zemsty. Kardynał nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać zasadności swoich obaw, więc odpowiedział:

– Śmierć Artura Gordy grozi przyćmieniem szlachetności jego osiągnięć. A wtedy cenę za to zapłaciliby biedacy i potrzebujący, i to nie byłoby sprawiedliwe. – Miał nadzieję, że takie wyjaśnienie wystarczy, aby rozwiać podejrzliwość penitencjariusza.

Z pewnością nie mógł mu powiedzieć, że powody są całkiem inne i że tej nocy coś obudziło w nim ponure przeczucia. Proroctwo Leona X, powtórzył sobie w duchu, wpatrując się w ogień w kominku.

– Wszyscy ludzie są grzesznikami – ciągnął. – Każdy grzech jest też pewnym sekretem. I niektóre winy powinny umierać wraz z nami. Ale śmierć okazuje się często bezwstydną i zabawia

się demaskowaniem naszych tajemnic, pozostawiając nieusuwalne plamy w obrazie tego, kim byliśmy za życia.

Marcus miał świadomość, że słowa kardynała odnoszą się także do niego: do księdza, który przechowywał pod poduszką zdjęcie kobiety.

– Czego eminencja ode mnie oczekuje? – spytał.

Erriaga otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał mu w oczy.

– Żebyś tam posprzątał.

## 5

Z komputerów dochodziło ciche mruczenie, podobne do brzęczenia ula wypełnionego pszczołami.

W półmroku odzywały się dzwonki telefonów. Oddzielne stanowiska, z których każde oświetlone było regulowaną lampką LED, przypominały małe oazy światła. Z aparatury klimatyzacyjnej dobywał się niewyraźny zapach amoniaku, a w jednym z rogów sali znajdował się dystrybutor wody nadal utrzymujący jej temperaturę na stałym poziomie, tak że nie była zbyt chłodna.

Wszystkie te drobne wrażenia i obserwacje dodawały Vitalemu otuchy. Nigdy nie zwraca się uwagi na szczegóły, pomyślał. Chyba że całkiem ich zabraknie. Gdy znikają z ogólnego obrazu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pozostawiając nam poczucie przemijania i niepewności. A w tych godzinach ludzie na mieście tracili swoje małe punkty odniesienia. Czuł przedsmak końca świata.

Jak to będzie wyglądać jutro, gdy Rzym obudzi się z koszmaru tego krótkiego technologicznego holokaustu? Nikt tego nie wiedział. Vitalemu wydawało się to nawet dość zabawne.

Sala operacyjna kryzysowej jednostki policyjnej znajdowała się w samym centrum, w bunkrze położonym parę kroków od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Potężne generatory zapewniały mu całkowitą niezależność. W hołdzie dla komisarza Maigreta nadano mu zakodowaną nazwę Mrowisko.

Określenie podobało się Vitalemu, uznał, że pasuje. W tym momencie w Mrowisku pracowało około osiemdziesięciu osób. Mimo ciągłego ruchu, wchodzenia i wychodzenia, nie było w tym

żadnych oznak szaleństwa. Wszystko przebiegało spokojnie. Głośniki były ustawione na umiarkowanym poziomie i każdy z funkcjonariuszy sprawiał wrażenie, że wie dokładnie, co ma robić.

Ubrany w jasnoszary garnitur, brązowe mokasyny i niebieską koszulę Vitali pogładził się trzy razy palcami po węzeł granatowego krawata, żeby sprawdzić, czy jest na miejscu. Potem wypił następny długi łyk chłodnej wody z papierowego kubka, przyglądając się wielkiej ścianie z monitorami, którą miał przed sobą.

Na przeszło stu ekranach ukazywały się na zmianę obrazy z ponad trzech tysięcy kamer rozmieszczonych w mieście.

Przed ścianą z monitorami stała spora grupka funkcjonariuszy z teczkami i słuchawkami; notowali wszystko, co wydawało się podejrzanym, by zarejestrować wszelkiego rodzaju przestępstwa lub zapobiec ich popełnieniu. Ta żmudna praca wymagała ogromnej cierpliwości, ale w tych okolicznościach była bardziej niż konieczna. Jak dotąd doszło do niewielu – niezbyt groźnych – przypadków, w których musiały interweniować patrole. Kłótnia między klientami supermarketu, którzy chcieli zaopatrzyć się w artykuły spożywcze przed wymuszonym zamknięciem, paru narkomanów niepotrafiących oprzeć się pokusie włamania się w biały dzień do apteki.

Prawdziwa horda miała jednak wylec na ulice po tym, jak zapadnie ciemność.

Vitali wiedział o tym: wbrew zapewnieniom władz tej nocy zapanuje chaos. Mając pewność, że nie zostaną zaobserwowani, różnej maści szakale gotowi będą napadać na sklepy i urzędy pozostawione bez ochrony. To samo dotyczyło wandalów, którzy bez przeszkód będą mogli niszczyć cudzą własność. A do tego wszędzie na ulicach dawała się odczuć skłonność do wyrównywania rachunków. Uliczne bandy szykowały się do wojny z rywalizującymi z nimi gangami, a zorganizowane grupy przestępcze skorzystają z okazji do zrewidowania wzajemnych stosunków i przymierzy, a także do zrobienia porządku we

własnych szeregach. Już od świtu Vitali zbierał sygnały zapowiadające to, co miało się wydarzyć w Rzymie pod osłoną mroku.

Dojdzie też z pewnością do całej serii nieprzewidywalnych przestępstw. Szerząca się anarchia może wprawić w szaleństwo wielu ludzi. Niepodejrzewane o nic osoby dojdą do wniosku, że czas dać ujście urazom albo złości, kumulującym się w nich przez długie lata. I celem ataku staną się nielubiani sąsiedzi. Żony, których trzeba się pozbyć. Mężowie, których wreszcie można wyrzucić z domu. Szefowie urzędników, którym można będzie złożyć wizytę w ich domach.

Pomysł z wywieszaniem za okno prześcieradeł, żeby wzywać pomocy, okazał się kolosalną bzdurą. Wszyscy psychopaci w mieście zbroili się już, żeby dokonać prywatnej zemsty lub po prostu uwolnić zagłuszane przez całe lata instynkty.

Nikt nie chciał tego przyznać, ale skuteczne zapanowanie nad tak wielką metropolią jak Rzym było niemożliwe.

Gdyby nawet sprowadzono do miasta oddziały z innych regionów kraju, policja i tak miałaby do patrolowania ulic zbyt mało ludzi w stosunku do liczby osobników żywiących złe zamiary; nie wszyscy mieli też wyposażenie konieczne do przeciwstawienia się zorganizowanym rewoltom czy napadom albo innym przestępstwom popełnianym z użyciem siły. A karabinierzy z pewnością nie radzili sobie lepiej. Plan zabezpieczenia miasta został stworzony pośpiesznie, z wyprzedzeniem paru godzin. Większą część funkcjonariuszy skierowano nie do ochrony ludności, ale raczej ministerstw, ośrodków władzy i ambasad, które mogły stać się celem przypadkowych terrorystów. Politycy i wysocy urzędnicy państwowi wraz z rodzinami zostali w nocy ewakuowani w wielkiej tajemnicy w specjalnych konwojach, którym przyglądali się zwykli mieszkańcy pozbawieni możliwości opuszczenia miasta.

Nikt nie powiedział jednak ludności, pomyślał Vitali, że grożące rozlaniem się szambo w rzeczywistości jest większe

i bardziej śmierzące, niż starano się jej wmówić. Mieszkańcy wkrótce się o tym przekonają. Vitali powtarzał to sobie bez przerwy, myśląc także o tym, ile ofiar nie ujrzy jutrzejszego świtu.

Chociaż ministerstwo już jakiś czas temu przygotowało szczegółowy plan reagowania na tego rodzaju sytuacje, środki techniczne, które miały być zastosowane w wypadku zagrożenia, nie zostały wypróbowane w terenie. Cały system miał mnóstwo słabych punktów, a jednoczesne wystąpienie „katastrofy meteorologicznej i przerwy w dostawie energii” uwydatniało je w sposób dramatyczny. Nikt na przykład nie był w stanie ustalić, ile czasu wytrzymają potężne akumulatory zasilające sieć zainstalowanych zaledwie przed kilkoma miesiącami kamer monitoringu, które kosztowały podatników dziesiątki milionów. Można by powiedzieć: normalka, jak zawsze. Więc jeśli gdzieś miało się rozlać szambo, na pewno się rozleje.

Jeśli już o tym mowa, to dokładnie w tym momencie Vitali odczuwał nawet wdzięczność, i to z wielu powodów.

Był wdzięczny za porządek panujący w tej sali. Za pracowite mrówki, które pilnie wykonywały swoje obowiązki. Za pistolet, który miał pod marynarką, ponieważ jako stróż prawa mógł się nim posłużyć, żeby wymusić respektowanie zasad. Za świeżą wodę w szklance, lekceważony często symbol czystości i porządku. Dwóch wartości, które go inspirowały.

Jak wielu jego kolegów, Vitalego wezwano do pełnienia „służby ciągłej”, co było kurtuazyjnym określeniem nakazu stawienia się w Mrowisku. Ale tak czy owak nie miał akurat nic lepszego do roboty. Niedawno kogoś poznał i oczywiście miałby ochotę zamknąć się w domu z nową wybranką i paroma gramami koki, ale kobieta musiała zostać w domu z dziećmi i mężem. Złą stroną nadciągającej apokalipsy było to, że musiał stanąć wobec niej samotnie.

W każdym razie inspektor Vitali z biura statystycznego zajmującego się przestępczością był do dyspozycji



zwierzchników i nic nie stało na przeszkodzie, żeby zaciągnąć go do służby.

Zaskakujące było tempo, w jakim zmieniały się jego obowiązki. Średnio co sześć miesięcy przenoszono go z jednego miejsca na inne. Był już rzecznikiem publicznym, szefem parku pojazdów, pracował w redakcji wewnętrznego czasopisma policyjnego. Przez pewien czas – Boże święty! – wysyłano go nawet w objazdy po szkołach, żeby wygaszał uczniom prelekcje o straszliwych skutkach popadania w narkomanię. Każdy inny funkcjonariusz wolałby uniknąć tego rodzaju zajęć, ponieważ zazwyczaj przydzielano je przesadnym służbistom, wobec których wszczęto postępowanie dyscyplinarne, gdyż stracili głowę w trakcie pełnienia służby i na przykład wyciągnęli pistolet po przyłapaniu dwóch chłopców, zamierzających ozdobić ścianę graffiti. Ale Vitalemu to odpowiadało. Nie miał nic przeciwko temu, żeby uważano go za fajtłapę albo łajdaka; co więcej – to właśnie było jego celem. I aż do tej chwili stwarzanie fałszywych pozorów wychodziło mu doskonale.

Nikt nie miał prawa wiedzieć, czym w rzeczywistości zajmuje się inspektor Vitali.

Zobaczył małą delegację, która przechodziła przez Mrowisko. Należał do niej komisarz Crespi z wydziału zabójstw, komendant rzymskiej policji, Alberti, i naczelnik we własnej osobie, De Giorgi. Vitali uchwycił spojrzenie tego ostatniego i De Giorgi dał mu porozumiewawczy znak. Po chwili inspektor ruszył za nimi, ale przedtem wypił ostatni łyk wody i rzucił papierowy kubek do kosza podstawionego specjalnie na podlegające recyklingowi śmieci, żeby przynajmniej w Mrowisku ogólny chaos nie zapanował nad wszystkim. Zobaczył kobietę, która towarzyszyła jego zwierzchnikom.

Mimo że nigdy dotąd jej nie widział, natychmiast ją rozpoznał.

\* \* \*

Sandra Vega szła kilka kroków za pozostałymi. Trochę na znak podległości względem wysokich funkcjonariuszy, którzy kroczyli przed nią, a także dlatego, że zadawała sobie pytanie, co właściwie robi w Mrowisku. O świcie w jej mieszkaniu przy Trastevere zjawił się patrol. Dwaj młodzi funkcjonariusze, których nie znała, powiedzieli jej, że przyszli, by zapewnić jej eskortę.

Właśnie skończyła jeść śniadanie i wkładała mundur, bo wkrótce miała iść do pracy. Gdy pojawili się ci dwaj, wydało się jej, że to scena z przeszłości, o której z trudem starała się zapomnieć. Po latach spędzonych w zespole policyjnych fotografów z sekcji technicznej zdołała przenieść się do biura paszportowego. To był świadomy wybór. Nie mogła już znieść wcześniejszego życia. Miała dość zjawiania się jako pierwsza na miejscu zbrodni i dokumentowania za pomocą aparatu fotograficznego miejsc, śladów, dowodów i ciał bez życia; na dłuższą metę to zajęcie okazało się zbyt wyczerpujące.

Po śledztwie w sprawie Potwora z Rzymu doszła do wniosku, że ma tego dość.

Wydawanie paszportów okazało się świetnym zajęciem. Przychodzili tu ludzie zamierzający udać się za granicę – handlowcy, młodzi małżonkowie szykujący się do podróży poślubnej, wakacyjni turyści. A także obcokrajowcy, którzy po latach spędzonych we Włoszech w końcu otrzymali włoskie obywatelstwo dla siebie i swoich dzieci. Przed jej oczami przesuwały się w sposób nieszkodliwy ich życiorysy. Te osoby nie mogły wyrządzić jej krzywdy jak widoki porąbanych czy okaleczonych ciał. Docierały do niej ze zdjęciami paszportowymi, do których zgodnie z przepisami musiały pozować z poważnymi minami. Ale potem przyglądała się im, jak po zakończeniu biurokratycznych procedur wychodzą uśmiechnięci, myśląc już o tym, co ich czeka. O przyszłości. Choć takie stwierdzenie może się wydać głupie, Sandra dobrze wiedziała o tym, że nieżywi nie mają przyszłości. I ta prosta, banalna konstatacja była powodem,

dla którego znajdowała w sobie siłę, żeby wstawać codziennie z łóżka. Nawet tego ranka.

Z powodu wyłączenia prądu została zwolniona ze zwykłych obowiązków i podobnie jak wielu kolegów pracujących w biurze czasowo przydzielona do czynnej służby, ale z pewnością nie wyobrażała sobie, że zasługuje na eskortę w drodze do pracy. Gdy wspomniano jej o Mrowisku, powinna była się zaniepokoić. Co niby miała robić w sali operacyjnej? Przeczucie, że sprawa musi być poważna, zamieniło się w pewność, kiedy powitał ją komisarz Crespi.

Jej dawny zwierzchnik był wzburzony.

– Szef chce z tobą mówić – powiedział, gdy Sandra szła potulnie za delegacją przez salę operacyjną w kierunku wejścia do biura.

Naczelnik De Giorgi zatrzymał się na progu i zaczął, aż wszyscy wejdą do środka, a potem zamknął za sobą drzwi.

– Dobrze – rzucił. – Wydaje mi się, że możemy zaczynać.

Sandra знаła wszystkich obecnych oprócz chudego jak szczapa elegancika w okropnych mokasynach, który bez przerwy, wręcz obsesyjnie, dotykał węzła krawata, żeby sprawdzić, czy znajduje się na swoim miejscu.

Obecni zajęli miejsca na metalowych krzesłach, które należały do wyposażenia pokoju. De Giorgi usiadł za małym biurkiem. Ściany były gołe, a na stole stały tylko dwa aparaty telefoniczne połączone ze skomplikowaną centralką. Naczelnik oparł ręce na blacie, ale po chwili uniósł je, żeby zdmuchnąć jakiś pyłek, który osiadł na jego powierzchni.

– Musiałem porzucić swoje biuro, żeby przyjść do tej dziury, ale najwyraźniej ktoś zapomniał w niej posprzątać.

Sandra przysiadła na najdalszym krześle, tuż przy ścianie; wciąż zadawała sobie pytanie, co właściwie robi na zebraniu tych ważniaków. Najbardziej niepokoiła ją obecność elegancika. Siedział z założonymi nogami. Był starannie ogolony i miał garbaty nos. Na jego jasnoszarym garniturze nie było jednego zagniecenia. Całości dopełniała złota spinka do krawata, a także

okazały pierścień z rubinem na środkowym palcu lewej ręki. Co to za cudak?

– Minister prosił mnie o przekazanie wam pozdrowień – zaczął naczelnik. Wszyscy kiwnęli w podzięcie głowami, tak jakby minister był tutaj osobiście. – Będzie śledził rozwój sytuacji ze swojej willi w Toskanii.

Oni są tak przyzwyczajeni do okazywania czołobitności, że zapominają, jak bardzo w gruncie rzeczy są śmieszni, pomyślała Sandra.

– Niedawno osobiście udzieliłem informacji panu ministrowi – uznał za stosowne wtrącić komendant Alberti. – Ogólnie biorąc, sytuacja jest pod kontrolą. Ludzie są przeszkoleni, pomagają opanowywać panikę i świetnie sobie radzą ze spontanicznymi próbami wykorzystania zaciemnienia do łamania prawa.

– Dobrze, bardzo dobrze – pogratulował mu naczelnik. – Jak na razie wykonujemy świetną robotę. Tak trzymać.

Co za palanty z tych dwóch, pomyślał Vitali. Prawią sobie nawzajem komplementy, podczas gdy na zewnątrz wszystko zaczyna się walić. Zerknął na policjantkę i z jej miny domyślił się, że odczuwa taki sam niesmak. Vitali prosił, żeby na zebraniu obecna była jeszcze jakaś inna kobieta, bo we dwie czułyby się pewniej, ale naczelnik zlekceważył jego sugestię.

Tymczasem komisarz Crespi pochylił się w stronę Sandry.

– Jak się miewasz? – spytał przyciszonym głosem. Poparł ją wtedy, gdy postanowiła rzucić wszystko; był wobec niej zawsze uprzejmy i szanował ją.

– Lepiej – odparła. Gdyby powiedziała mu po prostu, że miewa się dobrze, byłby to tylko okolicznościowy zwrot. I Crespiego by to nie zadowoliło. Warto więc było wybrać kompromis i powiedzieć mu część prawdy. To znaczy, że nie jest jeszcze w pełnej formie, ale nad tym pracuje.

Ta krótka wymiana słów nie uszła uwagi Vitalego. Zebrał informacje na temat Sandry Vegi. Kiedyś uważano ją za doskonałą fotografkę. Ale dwie żałoby być może nieodwołalnie naznaczyły jej wciąż jeszcze młode życie. Lata temu

w tajemniczych okolicznościach zmarł jej mąż, fotoreporter, i przeniosła się z Mediolanu do Rzymu, żeby prowadzić śledztwo dotyczące jego śmierci. W końcu tu została, próbowała rozpocząć nowe życie z innym i poszło jej źle, ponieważ jej nowy towarzysz został w brutalny sposób zamordowany. Po czymś takim można do końca życia walczyć z problemami psychicznymi albo nawet szukać ratunku w lekach psychotropowych.

– Znacie już powód, dla którego was tu wezwałem – powiedział naczelnik, rezygnując ze zbędnych wstępów. – Ale trzeba go przedstawić funkcjonariuszce Vedze – dodał, a potem wskazał Vitalego. – Być może pani Vega nie zna jeszcze inspektora Vitalego. Inspektor kieruje biurem statystycznym zajmującym się przestępczością.

– Nie wiedziałam nawet, że istnieje takie biuro – przyznała Sandra.

Nic dziwnego, pomyślał Vitali, uśmiechając się pod nosem. Zostało stworzone godzinę temu i natychmiast wyznaczono mu zadanie kierowania nim.

– Ludzie inspektora Vitalego zajmują się zapobieganiem popełnianiu przestępstw.

– Powinna pani przyjść na któreś z naszych seminariów – dodał inspektor. – Przekonałaby się pani, że są bardzo pouczające. – Vitali był niezmiernie ubawiony za każdym razem, gdy w podobnych okolicznościach naczelnik starał się usprawiedliwić jakąś jego pozorowaną funkcję.

– Panie inspektorze, zechce pan z łaski swojej przedstawić fakty funkcjonariuszce Vedze?

Vitali podniósł się z krzesła, ruszył w stronę policjantki i stanął naprzeciwko niej.

– Wczoraj wieczorem, mniej więcej o dwudziestej drugiej trzydzieści, pewien taksówkarz czyścił swój samochód po zakończeniu popołudniowej i wieczornej zmiany. Powiedział nam, że robi to zawsze, ponieważ, cytuję, „nigdy nie wiadomo, co kombinują klienci na tylnym siedzeniu, korzystając z tego, że ich

nie widzę”. – Vitali uśmiechnął się, ale chwilę potem uśmiezek ulotnił się z jego twarzy.

Sandra starała się domyślić, dokąd zmierza jego opowieść, ale na razie ograniczyła się do słuchania.

– A więc – ciągnął inspektor – wczoraj wieczorem, gdy odkrył telefon komórkowy zaklinowany między siedzeniami, przyszło mu do głowy, że zgubił go któryś z pasażerów. Więc najpierw go uruchomił, żeby sprawdzić, czy po ostatnich rozmowach da się ustalić właściciela.

Vitali włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął starą nokię, model z pewnością przestarzały w porównaniu z nowoczesnymi smartfonami. Telefon znajdował się w przezroczystej torebce na dowody rzeczowe. Inspektor położył go na stole przed naczelnikiem i dał ręką znak Sandrze, żeby przysunęła się wraz z krzesłem tak, by mogła mu się dobrze przyjrzeć.

– W aparacie nie ma karty SIM. Pamięć jest pusta – powiedział. – Nie pokazuje ani przychodzących, ani wychodzących rozmów.

– I? – spytała niecierpliwie.

Inspektorowi nie spieszyło się jednak.

– Jest to jeden z pierwszych egzemplarzy z kamerą wideo. I dopiero po otwarciu pamięci ze zdjęciami taksówkarz zobaczył nagrany film... odznaczający się niesłychanym okrucieństwem.

Ta krótka pauza przed dokończeniem zdania wprowadziła Sandrę w przerażenie. Mimo to próbowała powstrzymać się od jakiegokolwiek reakcji. Nie cierpiała okazywania, jak słaba się stała w ostatnim okresie, chciała więc dać do zrozumienia, że jest silna.

– Co mam zrobić? – spytała obojętnym tonem, zagryzając wargę.

Komisarz Crespi pochylił się znowu do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Gdy dziś rano naczelnik De Giorgi zapytał mnie, kto jest najlepszym fotografem ze wszystkich, jacy kiedykolwiek u nas

pracowali, pomyślałem od razu o tobie.

Nie odbyło się to dokładnie w taki sposób, pomyślał Vitali. Ale pasowało mu, żeby komisarz trochę poschlebiał tej kobiecie, jeśli tylko miałyby to doprowadzić do celu.

Najwyraźniej upatrzyli mnie sobie, pomyślała.

– Nie należę już do zespołu – przypomniała komisarzowi, tak jakby chciała podkreślić, że ten rozdział jej życia jest już zamknięty. A on powinien wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny. – Ktoś nie żyje, tak? – Spojrzała ostrożnie na leżącą na stole komórkę, jakby ten przedmiot z czarnego plastiku, pozornie bez życia, mógł ją zaatakować. – Dlatego pan też tu jest. Bo inaczej jaki byłby powód, żeby włączano do sprawy wydział zabójstw...

Crespi przytaknął w milczeniu.

– Przez całe lata należała pani do zespołu fotografów z sekcji technicznej – wtrącił się Vitali. – Polowała pani ze swoją lustrzanką na szczegóły w miejscach zbrodni. Potrafi pani lepiej niż my odczytać i zinterpretować dzieło jakiegoś potwora w ludzkiej skórze. Gościa, który znajduje przyjemność w unieśmiertelnianiu na filmie swoich czynów i cierpienia ofiar.

Czy on rzeczywiście użył słowa „dzieło”? Sandra poczuła dreszcz. Nie, absolutnie nie chciała mieć z tym do czynienia.

– Niech pani posłucha – powiedział komendant Alberti. – Wiemy, jak bardzo bolesny byłby dla pani powrót do zajmowania się tego rodzaju sprawami i że mogłoby to otworzyć dawne rany. Ale prosimy panią o ten wysiłek dla wspólnego dobra. Istnieje wielkie zagrożenie i nie możemy zlekceważyć tej sprawy.

Nie mogli jej tego nakazać, ale tak czy owak wzywali ją do podjęcia dawnych obowiązków. Sandra miała to jednak w nosie. Pewnie myśleli o niej, że zaszyła się w biurze paszportowym tylko po to, żeby zachować pensję i prawo do emerytury. Ale nawet jeśli tak było, to czy nie miała do tego prawa? Niektórzy z jej kolegów kończyli karierę, nie naraziwszy się na żadne przykre doświadczenia. Ona natomiast zapłaciła bardzo wysoką cenę za prawo do noszenia munduru, który miała na sobie.

– Przykro mi – powiedziała, podnosząc się z krzesła. – Nie możecie żądać tego ode mnie. Nie mogę – dodała, ruszając do drzwi z zamiarem pozostawienia tej historii za plecami.

– Pani Vega! – zawołał za nią Vitali. – Szanuję pani decyzję, ale niech mi pani pozwoli powiedzieć jeszcze jedną, ostatnią rzecz. – Miał bardzo poważną minę. – Ten telefon nie został „zapomniany” w taksówce. Ktoś zostawił go celowo. Wiedział, że zostanie znaleziony i że trafi tu, do tego pokoju. Ponieważ to, co zawiera, czy nam się to podoba, czy nie, to wiadomość. Prosta wiadomość... Że gdzieś w tym mieście jest człowiek zdolny do wyrządzania bliźnim rzeczy nie do opisania. Chce, żebyśmy wiedzieli, że jest silny, nawet potężny. I że nic go nie powstrzyma... Niech pani nie popełnia błędu, uznając, że chodzi tylko o ostrzeżenie albo o groźbę. On przedstawia nam tutaj swoje zamiary. Chce nam powiedzieć: „To jest dopiero początek”.

Sandra odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Początek czego? – Była przerażona.

– Tego nie wiemy. Ale otwarcie mówiąc, nie spodziewam się niczego dobrego w najbliższych godzinach.

– Macie do dyspozycji wszelkie środki techniczne i kompetencje, żeby go schwytać.

– To prawda, ale brak nam jednej rzeczy... Czasu. – Vitali miał na myśli sytuację meteorologiczną, wyłączenie prądu i ludzkie bestie w mieście, które czekały tylko na nadejście nocy, żeby rozpętać piekło. Musiał przekonać tę kobietę za wszelką cenę. – Biorąc pod uwagę wszystko to, co się dzieje, nie mamy czasu na urządzenie należytego polowania na niego. I on o tym wie.

Sandra zaczęła się wahać. Inspektor zorientował się, że obudził w niej poczucie obowiązku, którego nie zapomniała.

– Proszę panią tylko o to, żeby spojrzała pani na ten film. A potem, jeśli nie poczuje się pani na siłach, żeby przedstawić nam swoją analizę, zrozumiemy i będzie pani mogła o wszystkim zapomnieć.

Zapomnieć? Czy ten sukinsyn nie wie, że te obrazy odżyją w jej najgorszych nocnych koszmarach? Jasne, że wie, ale ma to



w nosie. Zresztą jak wszyscy obecni w tym pokoju. Chcą się nią tylko posłużyć, wykorzystać ją. Sandra przyjrzała się po kolei ich milczącym spojrzeniom i zrozumiała, że ma rację. Poczwała dla nich pogardę. Miała teraz jeden powód więcej, żeby stąd wyjść, póki nie jest jeszcze za późno.

– Ta komórka nie wystarczy, niestety, żeby doprowadzić nas do człowieka, którego szukamy – podjął Vitali, podczas gdy Sandra gotowa była ruszyć znowu do drzwi. – Są na niej tylko odciski palców taksówkarza i mała kropla krwi, która nie może nam posłużyć jako materiał do ustalenia DNA. Tu nie chodzi o zwyczajnego przestępcę. Mamy do czynienia z zupełnie nowym rodzajem kryminalisty, innym niż ci, których znamy. Znacznie bardziej wynaturzonym i niebezpiecznym. Wiemy o nim tylko to, że cierpi na znane tysiącom ludzi schorzenie, ponieważ zdaniem techników krew na aparacie to rezultat krwawienia z nosa.

Sandra stanęła jak wryta. Drżały jej nogi i modliła się, żeby nikt w tym pokoju tego nie zauważył. Przemknęło jej przez głowę coś, co było tylko niedorzecznym przypuszczeniem. Czy to możliwe, żeby Vitali mówił właśnie o nim? A jednak coś mówiło jej, że nie ma już prawa zlekceważyć tej historii.

Marcus... jej Marcus.

Vitali zauważył niedostrzegalną zmianę w wyrazie twarzy Sandry i zanim zdążyła się odezwać, nabrał pewności, że zmieniła zdanie.

– Dobrze – powiedziała, starając się zachować spokój. – Zajmę się tą sprawą, ale tylko tą.

Wszyscy mężczyźni odetchnęli z ulgą. Nie przyszło im do głowy, że coś mogło nagle obudzić w niej osobiste zainteresowanie.

– Muszę dokładnie obejrzeć ten materiał – oświadczyła Sandra.

– Dostanie pani do dyspozycji wszystko, czego będzie pani potrzebować – zapewnił ją naczelnik.

Słuchając go, Sandra przyglądała się leżącej na stole komórce. Widok przedmiotu, z którym nie chciała mieć do czynienia, nie

budził w niej już strachu. Musiała dowiedzieć się wszystkiego.

Vitali miał zadowoloną minę – osiągnął swój cel. W rzeczywistości nie jestem tym, za kogo się podaję, pomyślał. Ale ty, funkcjonariuszko Vega, także masz jakiś sekret. I ja go odkryję.

## 6

Pałac Apostolski w Watykanie został ewakuowany.

Kardynał Erriaga wydał w tej sprawie dokładne polecenia. Cokolwiek by się działo, nikt nie miał prawa wstępu do niego aż do wydania nowych dyspozycji. Wszystko zostało ułatwione dzięki temu, że w ramach zapewnienia bezpieczeństwa w związku z sytuacją pogodową i wyłączeniem prądu poprzedniego wieczoru papież został wywieziony z Rzymu i obecnie przebywał w swej rezydencji w Castel Gandolfo.

Marcus miał godzinę na wykonanie swojej misji. Tym razem nie zlecono mu wszczęcia dochodzenia, Erriaga wyraził się jasno w tej sprawie.

*Czego eminencja ode mnie oczekuje?*

*Żebyś tam posprzątał.*

Po ukradkowej wizycie penitencjariusza żandarmeria miała wziąć to miejsce pod swoją kontrolę i dopiero wtedy rozpocząć oficjalne dochodzenie w sprawie śmierci biskupa Artura Gordy, które zakończy się stwierdzeniem, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Na szczęście dla Erriagi do tragicznego zgonu biskupa doszło wewnątrz murów małego suwerennego państwa. Gdyby nastąpił na terytorium włoskim, kardynał nie mógłby zatuszować wiszącego w powietrzu skandalu.

Oficjalny komunikat Watykanu, w którym po zakończeniu zaciemnienia planowano ogłosić światu śmierć wysokiego prałata, miał zawierać lukrowaną prawdę. Władze postanowiły powołać się na nieokreślone „dolegliwości sercowe”.

Nieźle kłamstwo, pomyślał Marcus, przemierzając w ulewnym deszczu dziedziniec San Damaso. Wszedł po

marmurowych schodach na drugie piętro. Jego samotne kroki odbijały się echem w Loggiach Rafaela, pośród bogactwa barwnych stiuków i zdobnych fryzów rozłożonych harmonijnie w lekkiej architekturze okien i pilastrów. Idąc krążgankami, uniósł głowę, żeby cieszyć się widokiem trzynastu pokrytych freskami sklepień. Rozpoznał historie z Genesis opowiadające o stworzeniu światła i oddzieleniu ziemi od wód. Potem o stworzeniu Ewy i wypędzeniu z ziemskiego raju. Opowieści o Izaaku i Jakubie, Mojżeszu, Salomonie i wreszcie o życiu Chrystusa. Pomyślał o wszystkich szczęśliwcach, którzy w ciągu wieków cieszyli się przywilejem podziwiania tych oszołamiających skarbów, przemierzając tę drogę. Nie było ich wielu, przemknęło mu przez głowę. Tylko ludzie potężni, którzy pozostawili w dziejach swój niezatarty ślad. Niektórzy z nich byli niegodnymi nikczemnikami. Inni – prawdziwymi świętymi.

A teraz on. Człowiek wyznaczony do „posprzątania”.

Dotarł do drzwi apartamentu biskupa Gordy. Zamknięto je zaraz po odkryciu zwłok. Erriaga powierzył Marcusowi jedyny klucz do nich. Penitencjariusz posłużył się nim, wszedł do środka i natychmiast zamknął drzwi za sobą.

Z pierwszego pomieszczenia prowadziły drzwi do pozostałych. Marcus wyjął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek i włożył je, żeby nie zostawić śladów. Z tego samego powodu ściągnął ubłocone tenisówki i ruszył, żeby obejrzeć inne pokoje.

Wysoki dostojnik prowadził prosty tryb życia. Umeblowanie było skromne – ograniczało się do podstawowych sprzętów. Żadnych luksusów, żadnych śladów światowości. Być może jedynym wyjątkiem były dzieła literackie. Oprócz książek wypełniających regały całe ich sterty leżały na podłodze. Prawdopodobnie stanowiły główną rozrywkę Gordy, który z powodu lęku przestrzeni od lat nie wychodził z mieszkania.

Księgi te wytyczały coś w rodzaju wymuszonej trasy do przebycia. Marcus ruszył nią i trafił do pokoju, w którym stało pojedyncze łóżko, a nad nim wisiał drewniany krucyfiks. Małe

ukryte w ścianie drzwi prowadziły do łazienki bez okien. Obok znajdował się gabinet biskupa.

Marcus przeszedł przez próg i znalazł się w obliczu tragedii starego człowieka, którego pozbawione życia ciało leżało skulone na posadzce, jakby się na nią osunęło.

Zobaczył coś, czego nie było widać na zdjęciach, które pokazał mu Erriaga: zwłoki znajdowały się dokładnie naprzeciwko małego ściennego ołtarza. To przed nim Gorda odprawiał swoją codzienną mszę, co było obowiązkiem każdego księdza.

To właśnie bliskość ołtarza sprawiała, że w ułożeniu ciała i jego nagości kryło się coś bluźnierczego. Ale uczyniony Bogu afront drogo kosztował sprawcę.

Okulary, niczym groteskowa maska, zasłaniały mu oczy i otulały czaszkę aż po kark. To technologiczne cacko nie pasowało do otoczenia. W samotni biskupa nie było komputerów ani telewizorów. Gorda zaopatrzył się w ten aparat, żeby zaspokoić swoje sekretne zboczenie.

Pornograficzne obrazki, przypomniał sobie Marcus.

Spod srebrzystych okularów wystawały kosmyki białych włosów. Czarny kabelek łączył urządzenie ze skórzaną obrozą. Penitencjariusz podszedł bliżej i zobaczył, że delikatny naskórek na szyi starca w miejscu, w którym stykał się z wewnętrznym wykończeniem obroży, jest otarty. Biskup próbował uwolnić się od niej rękami, pomyślał. Potwierdzały to ślady krwi pod paznokciami.

Marcus doszedł do wniosku, że doszło tu do mechanicznego uduszenia.

Przez chwilę brakowało mu powietrza. Odezwało się echo panicznego strachu przed uduszeniem się, jaki odczuwał w Tullianum. Gorda doświadczył tego samego, ale z własnego wyboru.

*Zdaje się, że chodzi tu o oddawanie się onanistycznemu nałogowi... Wygląda na to, że niektórzy doznają rozkoszy przy duszeniu się.*

Marcus przypomniał sobie słowa Erriagi i zadał sobie pytanie, w którym momencie Arturo Gorda poczuł, że doznawana przez niego rozkosz zamienia się w cierpienie, a potem uświadomił sobie, że właśnie umiera. Czy miał dość czasu, żeby przynajmniej zmówić pacierz? Czy też, jak stwierdził kardynał, umarł rzeczywiście „jak pies”, złapany w tę pułapkę?

Dyby rozkoszy.

Gorda został odnaleziony w tym stanie przez siostrę zakonną, która przynosiła mu około ósmej filiżankę jęczmiennej kawy. Przerażona zakonnica uciekła i natychmiast zawiadomiła straż papieską. Z powodu tego, co zobaczyła, biedaczka miała otrzymać „nagrodę” w postaci przeniesienia do klasztoru zagubionego gdzieś w Afryce, w którym pozostanie do końca swoich dni. Żandarmi otrzymali odpowiednią rekompensatę i nakaz, któremu towarzyszyły groźby, żeby trzymali język za zębami. Marcus dobrze znał stosowane przez Erriagę metody, mające na celu zapobieżenie przeciekom informacji.

Wokół zwłok nie było śladów pozostawionych przez osoby trzecie. Okoliczność podtrzymywała teorię, że śmierć była wypadkiem. Tym bardziej że niedaleko ciała leżał czarny wykładany aksamitem futerał do przechowywania urządzenia, które zabiło biskupa.

Elegancki i drogi przedmiot, ocenił penitencjariusz. obrońca biedaków wiedział, jak sobie dogadzać.

Marcus nie przyszedł tu jednak, żeby osądzać. Jego obowiązek polegał na usunięciu śladów niechlubnego końca, które mogłyby być kłopotliwe dla Watykanu. Chociaż nie zachwycało go to, co miał zrobić, był przekonany, że jest to najlepsze wyjście. Kościół to instytucja potężna, ale służący mu ludzie okazują się często słabi. On sam nie stanowił wyjątku.

Przepędził te myśli. Nadszedł moment, żeby zabrać się do pracy. Im szybciej się z tym uwinie, tym prędzej będzie mógł wrócić do śledztwa, które musiał przerwać, a które miało dać mu odpowiedź, co mu się przydarzyło ostatniej nocy. Dlaczego znalazł się nagi i w kajdankach w Tullianum? A przede

wszystkim, kto darzy go aż tak wielką nienawiścią, że postanowił zadać mu śmierć w tak okrutny sposób, przez zagłodzenie.

*Znajdź Tobiego Frai.*

Zaczął od odpinania obroży. Skóra pokryta była wewnątrz aksamitną wykładziną, żeby nie zostawiać sińców ani otarć. Mechanizm umożliwiający założenie i zdjęcie pętli był bardzo prosty, ale Gorda i tak nie zdołał się uwolnić. Albo nie miał na to dość czasu. Albo podduszanie wywołało u niego zawał, który w ciągu kilku sekund doprowadził do zgonu. Marcus był świadom tego, że za śmiercią nigdy nie kryje się jeden jedyny powód, często jest ona wynikiem jednoczesnego zaistnienia kilku przyczyn. Jedyną pewną rzeczą było to, że coś się nie udało. Odrzucił błąd w funkcjonowaniu urządzenia – takie gadżety mają zawsze jakiś bezpiecznik. Znacznie bardziej banalne wyjaśnienie było takie, że biskup podjął zbyt wielkie ryzyko jak na swoje lata.

Marcus ułożył nagie ciało na podłodze w pozycji na wznak i kiedy przyjrzał mu się jeszcze raz, zauważył tatuaż na wewnętrznej stronie prawego uda.

Małe niebieskie kółko.

Było na tyle wyblakłe, że pozostało po nim tylko niewyraźne halo, co oznaczało, że tatuaż został wykonany wiele lat temu. Być może to ślad młodzieńczego buntu, pomyślał penitencjariusz. Kto wie, czy w późniejszych latach Gorda tego nie żałował. Prawdopodobnie Marcus jako jedyny obcy poznał ten szczegół, którego biskup mógł się wstydzić. Śmierć ma zawsze tak mało respektu dla wstydliwych ludzkich sekretów. Poza tym to, co zrobiła w przypadku Gordy, było istną masakrą.

Marcus musiał jeszcze zdjąć okulary wirtualnej rzeczywistości. Zostawił to celowo na koniec, ponieważ żywił irracjonalną obawę, że pod tą maską napotka przerażone spojrzenie biskupa. Najpierw otworzył automatyczne zatrzaski, jeden po drugim. Potem powoli zsunął okulary z jego głowy. Gałki oczne niemal wychodziły z orbit, jak to ma miejsce w przypadkach duszenia. Marcus zebrał siły i nacisnął je dwoma

palcami, żeby wróciły do pierwotnego położenia, po czym zamknął powieki starca. Miał już zamiar pomodlić się za duszę tego grzesznika, gdy jego uwagę przyciągnęły leżące na podłodze okulary.

Nawet z pewnej odległości widać było, że ekran jest ciągle włączony.

Sięgnął po nie i podniósł do oczu. Nie zobaczył jednak pornografii. Był tylko zwyczajny napis.

### *Brak sygnału*

Okulary były podłączone do internetu. Biskup korzystał z niego przed wyłączeniem prądu, nic więc dziwnego, że teraz nie było sygnału. Być może tak jest lepiej. Marcus wolał nie poznawać innych szczegółów z życia Gordy. Niech umrą razem z nim, pomyślał.

Skupił się na tym, co pozostało mu do zrobienia. Umieścił aparat z powrotem w futerale wyściełanym aksamitem. Zamierzał zabrać go ze sobą i zniszczyć, tak by ten przedmiot znikł.

Potem zaczął przeglądać mieszkanie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby skompromitować biskupa. Zajrzał do szuflad i opróżnił szafki w łazience. Przekartkował nawet kilka książek. Nie było czasu na dokładne przeszukanie, Erriaga będzie musiał się zadowolić tym, co Marcus zrobił. Pozostała jeszcze tylko jedna czynność, którą musiał wykonać, żeby przywrócić pełny porządek – ubrać zwłoki.

Ruszył w stronę szafy biskupa, żeby znaleźć odpowiedni strój. Otworzył ją i grzebiąc w ubraniach, zauważył, że Gordy przechowywał starą poźółkłą gazetę. Sięgnął po nią.

Był to egzemplarz dziennika „Il Messaggero” sprzed dziewięciu lat, z dwudziestego trzeciego maja.

Być może należało usunąć także to. Żeby się co do tego upewnić, Marcus zaczął kartować gazetę. Nic jednak nie zwróciło jego uwagi. Nic podejrzanego ani kompromitującego. Dopóki nie



dotarł do rubryki poświęconej kronice wydarzeń w Rzymie. Jego wzrok przyciągnął tytuł, który głosił: *W Rzymie zaginął mały Tobi Frai*.

Poczuł się nagle tak, jakby w głowę rąbnął go piorun. Przed oczami stanął mu widok notatki, którą wyjął z kieszeni spodni w Tullianum: *Znajdź Tobiego Frai*.

To nie mógł być tylko zbieg okoliczności.

W gazecie wydrukowano czarno-białe zdjęcie trzyletniego chłopca. Wielkie i czyste oczy, uśmiechnięta twarz upstrzona piegami. Miał na sobie jasny podkoszulek i czapkę z emblematem piłkarskiej drużyny Roma.

Marcus zaczął czytać:

*W dniu wczorajszym około godziny osiemnastej w samym centrum miasta, kilka kroków od Koloseum, zaginął Tobi Frai. Malec był na spacerze z matką, która twierdzi, że na kilka sekund utraciła go z oczu. Niezwłocznie zawiadomiła o tym, co się wydarzyło, przechodzący nieopodal patrol. Policja, która w pierwszej chwili wyraziła przypuszczenie, że chłopiec oddalił się samowolnie i zgubił drogę, obecnie nie wyklucza innych możliwości. Zostaną sprawdzone nagrania kamer monitoringu, które znajdują się w okolicy. Jednocześnie, w celu wyjaśnienia, co mogło się przydarzyć małemu Tobiemu, władze proszą o pomoc turystów i mieszkańców Rzymu, którzy w momencie zaginięcia znajdowali się w tej okolicy. Ktokolwiek fotografował lub filmował Koloseum, proszony jest o przesłanie tych materiałów na adres mailowy komendy policji w Rzymie.*

Trzymał gazetę przed oczami, nie dowierzając im. Kiedy ją opuścił, zauważył, że w głębi szafy znajduje się jeszcze coś. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Anomalia, powiedział sobie w duchu.

Para białych tenisówek. Identycznych jak te, które miał na nogach.

*Pięć godzin i trzydzieści osiem minut do zachodu słońca*

Film odkryty w komórce podrzuconej do taksówki trwał dwieście sześć sekund.

– Ale dla jednego z jego bohaterów będą się one ciągnąć jak wieczność – zauważył Vitali, przyciemniając oświetlenie w technicznym pomieszczeniu Mrowiska.

Crespi usiadł nieco dalej. Wydawało się, że komisarz zrezygnował z jakichkolwiek wyjaśnień i oddał głos młodszemu koledze. Nie uszło to uwagi Sandry. Bo w gruncie rzeczy inspektor Vitali był tylko urzędnikiem przekładającym papiery z miejsca na miejsce. Jak dotąd biuro statystyczne zajmujące się przestępczością nie pokazało, że do czegokolwiek się przydaje. Dlaczego wydział zabójstw pozostawił mu tak dużą swobodę działania? – zastanawiała się, lecz nie mogła się już wycofać. Właśnie zajęła miejsce przed wielkim ekranem plazmowym. Był wyłączony, a mimo to z jego czarnej powierzchni podobnej do łupka emanowała mroczna poświata.

– Mamy tu system Pro Tools ostatniej generacji – wyjaśnił Vitali. – Został przydzielony fotografom zaledwie kilka miesięcy temu. Jego obsługa jest bardzo prosta: wystarczy dotknąć ekranu, żeby zatrzymać lub uruchomić odtwarzanie, przewinąć obrazy do tyłu, powiększyć je bądź zmniejszyć.

Poczuję się tak, jakbym była tam osobiście, pomyślała Sandra. Zazwyczaj zjawiała się po wszystkim, kiedy zło zostało już dokonane. I zawsze mogła ukryć się za lustrzanką i pozwolić, żeby obojętny mechanizm aparatu sam wykonał brudną robotę.

Natomiast tym razem miała uczestniczyć – nawet jeśli nie bezpośrednio – w tym, co się wydarzyło.

– Jest pani gotowa? – spytał inspektor, obawiając się, że Sandra może się rozmyślić.

Odczekała jeszcze kilka sekund i odwróciła się w stronę Crespiego, który siedział z obojętną miną.

– Tak – rzuciła.

Vitali sięgnął po pilota i uruchomił nagranie.

Z początku obraz był niestabilny i nieostry. Przez kilka sekund obiektyw kamery błędził po brudnej podłodze, a potem uniósł się nagle i znieruchomiał na czymś, co przypominało stare szpitalne łóżko. Na ścianie obtłuczone kafelki i ślady wilgoci.

Na poplamionym materacu rozciągnięty był mężczyzna.

Sandra poczuła ulgę, stwierdziwszy, że to nie Marcus. Ale uczucie to trwało krótko. Nieznajomy płakał i miotał się w nienaturalnej pozie. Był skrępowany sznurem owiniętym wokół niego spiralnie od kostek u nóg aż po biodra. Rozłożone ramiona wyciągały się w stronę wezglowia, do którego były przywiązane sznurówkami za nadgarstki. Od pasa w dół był ubrany, ale miał goły tors.

Niczym ofiara jakiegoś rytuału.

„Proszę cię... nie...” – błagał.

Kruczoczarne włosy miał bardzo krótko przystrzyżone. Chudy tak bardzo, że spod pozbawionej owłosienia skóry przeświecały kości. Twarz miał zapadniętą i przekrwioną wskutek wysiłku, z jakim wykręcał cienką szyję i ramiona, próbując się uwolnić. To tylko daremna desperacja, pomyślała Sandra. Nie uda mu się. On też o tym wiedział. A jednak instynktownie próbował przeciwstawić się zamiarom jego oprawcy ze wszystkich sił, jakie mu pozostały.

„Proszę cię, uwolnij mnie...”

Żył na skroniach nabrzmiały tak bardzo, że w każdej chwili zdawały się grozić pęknięciem i zalaniem krwią twarzy. Z nosa wypłynęła na górną wargę struga żółtawego śluzu, która mieszała się ze łzami i śliną z ust.

– I co pani widzi, pani Vego? – spytał Vitali.

– Ma żółtawą cerę i podrapany naskórek. Widać sińce od martwicy. Brakuje mu kilku zębów, a inne są poczerniałe. Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat. Ale w rzeczywistości nie ma ich aż tyle. – Nazywano to postarzeniem z powodu nadużywania substancji odurzających. Trudne życie pozostawia zawsze niedwuznaczne ślady. – Zażywanie narkotyków – ciągnęła. – Ślady drobnych kryminalnych precedensów. Pobyty za kratkami. – Wiele osób oceniłoby to jako odrzucenie norm życia społecznego. Ilu ich już fotografowała, takich właśnie ludzi, kiedy pracowała w sekcji technicznej? Zazwyczaj znajdowano ich zwłoki w rowie koło drogi, w śmieciach, bez pieniędzy i dokumentów, które umożliwiłyby identyfikację. Kostnica wypełniona była ciałami bez imienia. – Czasami takich nieszczęśników pozbywa się gość, który ich zaopatruje w narkotyki, jeśli stają się zbyt natrętni. Ale częściej padają ofiarą kogoś, kto znalazł się w równie rozpaczliwej sytuacji jak oni, i sprawca robi to tylko po to, żeby zabrać im działkę i parę groszy.

Vitali nie potwierdził jej słów ani im nie zaprzeczył, nie odezwał się. Ponieważ na filmie coś się wydarzyło.

Nagrywający, który aż do tej chwili stał bez ruchu, wyciągnął rękę. W kadrze ukazała się dłoń w lateksowej rękawiczce. Mężczyzna trzymał coś w palcach.

Czarną hostię.

Pochylił się nad więźniem, wsunął mu ją między wargi i zamknął mu usta klepieniem dłonią, żeby go zmusić do przełknięcia. Chwilę potem Sandra zauważyła, że spojrzenie ofiary się zmienia. Oczy, które do niedawna rozpaczliwie błagały oprawcę o litość, teraz znieruchomiały, zapatrzone w pustkę. Na twarzy odmalowało się odprężenie. Prześladowca odjął dłoń od jego ust, cofnął się od łóżka i ograniczył się do patrzenia.

Więzień poruszył ustami. Najpierw powoli, a potem coraz prędej. Zaczął wydawać z siebie coś w rodzaju mamrotania. Sylaby pojawiały się szybko i natychmiast znikwały. Bełkotał coś

bez związku. Potem zaczął podnosić głos, ale słowa pozostały niezrozumiałe.

– Jakim językiem on mówi? Niczego nie rozumiem – odezwała się Sandra. – To chyba hebrajski. – Ale nie była pewna.

– To jest aramejski z okresu Machabeuszów – wyjaśnił z poważną miną Vitali. – Był używany w Palestynie za czasów Chrystusa.

Słowa inspektora wprowadziły Sandrę w zdumienie. Skąd jakiś narkoman mógł znać język, którym mówiono dwa tysiące lat temu?

– Mówi: „Idzie ze mną Władca Ciemności. On jest nauczycielem prawdy. Nowym życiem” – przetłumaczył Vitali.

Sandra wlepiała w niego wzrok – inspektor miał najzupełniej poważną minę.

Tymczasem więzień nadal bełkotał te same zdania niczym litanie. O co tu mogło chodzić?

Vitali był świadom tego, co kłębi się w głowie Sandry Vegi. Domyślał się, że policjantka zadaje sobie pytanie, jakim cudem inspektor, który kieruje biurem statystycznym zajmującym się przestępczością, może się interesować takim filmem i skąd wie, co mówi nagrany na nim mężczyzna. Ale Vitali w ogóle się tym nie przejmował. Nadszedł moment, żeby trochę pomieszać karty. Dlatego nie przeszkadzało mu, że Sandra Vega zaczyna żywić wątpliwości co do jego osoby i pełnionej przez niego funkcji.

W tym momencie nagrywający położył telefon z kamerą na wezłowie łóżka. Obraz się przekrzywił, ale można było wystarczająco dobrze dojrzeć cień, który pochylił się nad więźniem i chwycił go ręką za dolną szczękę, żeby ją unieruchomić. A potem, dopełniając bluźnierczej eucharystii, zaczął wlewać mu do otwartych ust zawartość złotego kielicha. Chleb i wino – ciało i krew. Ofiara nie opierała się, piła niczym w transie. Słysząc było bulgotanie płynu spływającego do gardła niczym brudna woda do kuchennego zlewu. Zakończywszy ten akt, cień odstąpił do tyłu, nie odwracając się i nie pokazując

twarży, a potem sięgnął znowu po telefon, żeby kontynuować filmowanie.

Leżący mężczyzna nie odzywał się już. Wytrzeszczył tylko oczy, wpatrując się w sufit nieobecny spojrzeniem. Sandra zastanawiała się, co teraz nastąpi. Co on mu dał do wypicia? Nie było to wino. Nagle ciałem więźnia wstrząsnęły potężne konwulsyjne drgawki. Wydawało się, że sznur i sznurowadła, którymi był przywiązany, nie wytrzymają tej nadludzkiej siły. Z piersi mężczyzny zaczęło się coś unosić. Policjantka odruchowo pochyliła się w stronę ekranu, żeby lepiej widzieć.

Była to para.

W organizmie ofiary zachodziła żrąca reakcja, w wyniku której powstawał gaz wydostający się porami skóry. Ciało zaczęło przybierać brunatnawy odcień, jakby spalało się od środka. Twarz więźnia, mimo potężnych skurczów mięśniowych, ciągle była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Ale widowisko jeszcze się nie skończyło. Na skórze ofiary pojawiły się rany i ropiejące bąble. Zaczął się odsłaniać przełyk i tchawica. Potem przyszła kolej na płuca. Pojawiły się oskrzela przypominające dwa zwęglone strzępy. Rany zaczęły okrywać się prędko wrzodami, a te zapadły się po kolei, pozostawiając po sobie mnóstwo drobnych otworów w żywej tkance. Nie ciekła z nich jednak krew, lecz zaczął się unosić mglisty opar, jak po spaleniu siarki.

Sandra próbowała wyobrazić sobie, jak poczuł się rzymski taksówkarz, który odnalazł telefon z tym nagraniem. Jak ten biedak zareagował, gdy próbując zidentyfikować właściciela na podstawie zawartych w komórce informacji, ujrzał taki horror. Pewnie nie zapomni tego do końca życia.

Konwulsje więźnia nagle ustały. Obiektyw kamery jeszcze przez chwilę błędził po okaleczonym trupie. Z ciszy, jaka nastąpiła, można było wyłowić tylko ciche, niewyraźne skwierczenie.

W tym momencie nagranie się urwało.

Tu nie chodzi o robotę jakiegoś gościa przeżartego przez kokę i kwasy, pomyślała natychmiast Sandra. To jest zbyt metodyczne.

– A więc co może mi pani powiedzieć? – spytał Vitali.

Odwróciła się w jego stronę. W jej spojrzeniu była wrogość.

– Co chce pan wiedzieć?

– Oprócz mordercy jest tu mnóstwo nierozwiązanych zagadek. Począwszy od tożsamości ofiary, aż po miejsce, w którym doszło do zabójstwa. Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Morderstwo rytualne, miała ochotę zawyrokować Sandra, lecz nie zrobiła tego.

– Minuta i dwadzieścia siedem sekund – rzuciła, po czym nie dodając ani słowa, ruchem ręki przewinęła obrazy na ekranie do tyłu. Zwolniła prędkość odtwarzania i zaczęła posuwać się powoli do przodu, póki nie znalazła poszukiwanego kadru. – Niech pan popatrzy...

Inspektor się pochylił. Zobaczył lewe ramię ofiary, która usiłując oswobodzić się od sznurowadła przywiązanego do wezłowania łóżka, wykręcała się w nienaturalny sposób.

Sandra dotknęła ekranu złączonymi palcami, rozdzieliła je i powiększyła obraz.

Na skórze przedramienia znajdował się maleńki tatuaż.

– Niebieskie kółko – powiedział Vitali, potwierdzając, że teraz on również je widzi.

– Może pan przeglądać to nagranie, ile razy się panu podoba, panie inspektorze. Nie znajdzie pan nic innego, co by było godne specjalnej uwagi. – Sandra wypowiedziała te słowa z absolutną pewnością siebie, zerkając przy tym na Crespiego, który przez cały czas nie otwierał ust, a teraz przyglądał się jej z wyraźnym zakłopotaniem.

Vitali zauważył napięcie, jakie wytworzyło się między nimi. Było to dokładnie to, co chciał osiągnąć.

– Dobrze, może pani wziąć sobie wolny dzień.

Sandra posłała mu nieufne spojrzenie.

– A zaciemnienie miasta?

– Obejdziemy się bez pani. – Uśmiechnął się drwiąco.

– Jak pan uważa, panie inspektorze – odparła krótko.

Czarna hostia, aramejski Machabeuszów, Władca Ciemności, rodzaj ofiary, w której poświęcone zostało życie człowieka... Zobaczyła i usłyszała aż za wiele. Sięgnęła po górę od munduru, którą powiesiła na oparciu krzesła, przeszła przed Crespiem i opuściła pokój bez słowa pożegnania.

Niedługo potem podniósł się również komisarz Crespi. Włożył rękę do kieszeni spodni i ruszył do wyjścia. Przedtem jednak odwrócił się jeszcze do inspektora.

– Jest pan absolutnie pewien tego, czym się zajmujemy?

– Nie muszę się przed panem tłumaczyć. – Gdyby był tylko zwykłym inspektorem, Vitali nigdy nie odważyłby się odezwać tym tonem do komisarza. Ale on nie był zwykłym inspektorem. Dlatego usłyszawszy jego odpowiedź, Crespi obrócił się na pięcie i wyszedł niczym obity kijem pies.

Za to Vitali był usatysfakcjonowany. Niebieskie kółko, mruknął pod nosem. Był zadowolony, że Sandra je zauważyła. Potwierdziła się opinia powtarzana przez wszystkich – ta kobieta rzeczywiście знаła się na rzeczy. Być może sama wyobrażała sobie ciągle, że znalazła się tu dlatego, że doceniono jej talenty. Ale Sandra Vega nie wiedziała, że prawdziwym powodem jej obecności tutaj było co innego. Nagranie z pewnością powinno obudzić w niej podejrzenia.

Dobrze, bardzo dobrze. Vitali postanowił, że będzie siedział jej na karku, dopóki nie dowie się, jak bardzo jest powiązana z tą historią.

Bo – o czym Sandra nie wiedziała, a Vitali dobrze się pilnował, żeby jej tego nie wyjawić – oprócz straszliwego filmu w znalezionej przez taksówkarza komórce było jeszcze coś innego.



## 8

Watykan jest niepodległym państwem o powierzchni pół kilometra kwadratowego, położonym w sercu Rzymu. Otacza je wysoki mur, który oprócz Bazyliki Świętego Piotra i pałaców kościelnej hierarchii kryje w sobie wspaniałe, doskonale utrzymane ogrody.

W samym ich środku znajduje się jednak kontrastujący z nimi dziki zagajnik o powierzchni około dwóch hektarów. Z powodu gęstej roślinności jest trudny do przebycia i prawie niedostępny. Na jego skraju stoi mały klasztor z klauzurą. Mieszkające w nim siostry należą do starego zakonu, prawie zupełnie wymarłego.

Wdów po Chrystusie.

Trzydzieści pozostałych w nim jeszcze sióstr przyjęło surową regułę odrzucającą wszelkie przejawy dobrobytu, nawet medycynę. Żywią się wyłącznie płodami z własnego ogródka i składają śluby milczenia. Jedynym wyjątkiem jest modlitwa. Od dwudziestu trzech lat ich najbardziej uciążliwym zadaniem było pilnowanie człowieka, o którego istnieniu świat zewnętrzny nie wiedział.

Straszliwą bestię w ludzkiej skórze. Istotę do głębi zepsutą. Seryjnego zabójcę.

Liczba popełnionych przez niego zbrodni przynosiła wielki wstyd Kościołowi i musiała być za wszelką cenę utrzymana w tajemnicy. Ponieważ, nim został aresztowany i uwięziony w tym klasztorze, Cornelius Van Buren był księdzem misjonarzem.

Szalejąca nad miastem burza zdecydowała się na krótkie zawieszenie broni. Niestety, deszcz tylko osłabł, ale nie przestał

padać. Marcus z trudem przedzierał się przez zagajnik. Wiedział, że jest sam, mimo to wyczuwał czyjąś obecność. Jak w Tullianum, gdy spoglądał w ciemny otwór wjazdu. Spojrzał w górę. Nad jego głową przysiadły na gałęziach drzew setki czarnych ptaków. Wpatrywały się w niego. Penitencjariusz przyspieszył kroku.

Wkrótce odsunął na bok ostatnią gałąź i znalazł się na małym polanie, na której stał klasztor. Gdyby nie dym wydostający się z jednego z kominów, budynek mógłby się wydać niezamieszkały. Penitencjariusz dobrze znał drogę do niego, ostatnimi laty przebył ją wielokrotnie. Odwiedzanie Corneliusa dało mu możliwość odbycia cennej praktyki. Rzadko bowiem spotyka się osobowość zabójcy tak złożoną i wyrafinowaną. Chociaż pogardzał tym człowiekiem z powodu jego czynów popełnionych w okresie, gdy był misjonarzem, przejął od niego najczystsza wiedzę o ludzkiej duszy, niezachwaszczonych kategoriami dobra i zła. Te dwa elementy nie miały dla Van Burena żadnej wartości. Utrzymywał, że stał się potworem nie dlatego, że taką ma naturę, ale ponieważ taka była wola Boża.

Dotarłszy do drewnianych drzwi, zapukał trzy razy, a potem to powtórzył. Był to umówiony znak, który miał mu umożliwić wejście do tego więzienia. Otworzyła mu jedna z sióstr. Miała na sobie typowy strój jej zakonu, którego wyróżniającą cechą był czarny welon całkowicie zasłaniający twarz.

Wdowa po Chrystusie rozpoznała penitencjariusza i wpuściła go do środka. Mimo że był jeszcze dzień, wzięła do ręki świecę i poprowadziła Marcusa na piętro. W tym miejscu wyłączenie prądu było bez znaczenia, ponieważ energia elektryczna ani żadna inna technologiczna zdobycz nie miały tu nigdy dostępu. Wizyty w tym klasztorze przypominały podróż w przeszłość, ale wydawał się on odległy także w przestrzeni. Choć znajdował się kilkadziesiąt metrów od muru oddzielającego Watykan od chaosu panującego na ulicach Rzymu, królował tu spokój.

Zakonnica szła przodem. Materiał długiego habitu muskał kamienną posadzkę, odsłaniając tylko jej buty. Dzięki nim Marcus nauczył się identyfikować siostry; ich obuwie było

jedynym elementem, który odróżniał każdą z wdów po Chrystusie od pozostałych. W tym momencie miał przed sobą parę czarnych, mocno podniszczonych trzewików, zasnurowanych aż po łydki.

Nie był w stanie ustalić nawet wieku zakonnicy. Jediną widoczną częścią jej ciała była dłoń trzymająca świecę. W świetle płomyka skóra na jej dłoni wydawała się gładka jak jedwab. Tak jakby spokój panujący w tym miejscu miał władzę wygładzania jego mieszkańek, a także ich dusz.

Jedynym mieszkańcem, na którego ten spokój nie miał wpływu, był Cornelius.

Powoli weszli na schody, a potem skręcili w ślepy i mroczny korytarz, przy końcu którego znajdowała się cela misjonarza. Marcus zauważył z daleka, że jej lokator już na niego czeka, opierając złożone dłonie na kratkach z żelaza oksydowanego.

Zakonnica w czarnych trzewikach przystanęła w połowie długości korytarza i podała penitencjariuszowi świecę. Od tego miejsca miał iść dalej sam.

Dotarł do okratowania i znalazł się naprzeciwko zmęczonego życiem starca. Cornelius, przygarbiony i z rzadkimi siwymi włosami, miał wybladłą cerę i pożółkłe zęby. Ubrany był w zmechacony i powyciągany długi rozpinany sweter. Zbyt luźne spodnie uwydatniały jego wychudzenie. Mył się rzadko i wydzielał nieprzyjemny zapach. Ale Marcus wiedział doskonale, że nie powinien dać się zwieść tym pozorom.

Bestia wydawała się poskromiona. Ale wciąż była groźna.

Zaledwie trzy lata temu wyrwał się stąd i zabił jedną z sióstr. Wciąż jeszcze nieusatysfakcjonowany, porąbał jej ciało na kawałki i rozrzucił je po zagajniku. Nadal zamieszkiwało w nim okrutne zwierzę. Ktoś, kto by o tym zapomniał, narażał się na śmierć.

– Witaj, pielgrzymie – powiedział na jego widok Cornelius. – Co cię sprowadza do tego Bożego domu? – W celi stały prycza, drewniane krzesło i regał z mniej więcej dwudziestoma książkami. Począwszy od *De continentia* świętego Augustyna i *De*

*libero arbitrio* Erazma z Rotterdamu, poprzez biografie świętego Tomasza i Roscelina z Compiègne, aż po *Boską Komedie*. Od dwudziestu trzech lat te teksty i tematyka religijna stanowiły jedyny kontakt bestii z ludzką cywilizacją. Tytuły wybrał osobiście Adwokat Diabła – Battista Erriaga. Poza tym skazał go na kompletne odizolowanie. Tak więc Cornelius czytał wciąż na nowo te same dzieła, starając się nie dopuścić, żeby nuda zabiła go przed czasem.

Marcus usiadł na ławie przysuniętej do ściany.

– Arturo Gorda – odparł.

Więzień wolał zostać na nogach.

– Biskup... Co mu się przydarzyło?

– Zmarł dziś w nocy.... W sposób niegodny.

– Samobójstwo?

– Uduszenie mechaniczne.

– A to ciekawe. Proszę, opowiedz mi o tym.

Penitencjariusz zaczął opisywać sytuację, jaką zastał w apartamencie biskupa, w tym również urządzenie zwane „obrożą rozkoszy”.

Kiedy skończył, Cornelius uśmiechnął się.

– Domyślam się, ile trudu zadał sobie nasz wspólny przyjaciel Battista Erriaga, żeby zamieść pod dywan to, co spotkało zdeprawowanego świętoszka.

– Wysłał mnie, żebym wyczyścił wszelkie ślady. Wykonałem dobrą robotę, świat nie dowie się o niczym.

– A jednak? – Cornelius Van Buren domyślił się, że jest coś jeszcze.

– Anomalie. Zacznijmy od butów...

– Butów?

Marcus spuścił wzrok na białe tenisówki, które miał na nogach.

– Dziś rano obudziłem się w Tullianum. Byłem nagi i w kajdankach. Ktoś umieścił mnie tam, żebym umarł z głodu. Jedynym jedzeniem, jakim mnie poczęstował, był klucz od kajdanek. Udało mi się uwolnić tylko dlatego, że go

zwymiotowałem. Nie pamiętam niczego z godzin poprzedzających przebudzenie, ani tego, co sam robiłem, ani tego, kto postanowił ukarać mnie w ten sposób. A przede wszystkim nie mam pojęcia, czym zasłużyłem sobie na takie potraktowanie. Tak jakby w mojej świadomości powstała czarna dziura.

– Ale co to ma wspólnego z tenisówkami?

– Te, które mam na nogach, znalazłem obok moich ubrań. Nie wiem, skąd się tam wzięły. A w szafie Gordy zobaczyłem parę identycznych.

– Ilu ludzi ma takie obuwie? Skąd wiesz, że to nie był przypadek?

– To... – Marcus wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki gazetę z wiadomością o zaginięciu małego Tobiego Frai, do którego doszło przed dziewięciu laty, dwudziestego drugiego maja. Podał ją Corneliusowi, a ten się jej przyjrzał. – Nie wiem, dlaczego biskup przechowywał tę starą gazetę. Ale to jest już drugi element związany z tym, co przydarzyło mi się w Tullianum. Bo w kieszeni spodni znalazłem kartkę wyrwaną z jakiegoś notatnika. Było na niej polecenie zapisane moim charakterem pisma: *Znajdź Tobiego Frai*.

Cornelius oddał mu gazetę. Potem założył ręce za plecy i zrobił kilka kroków po celi.

– Dziecko zaginione od dziewięciu lat, białe tenisówki, Tullianum, biskup zmarły w niedwuznacznych okolicznościach, twoja krótka dziura w pamięci. – Dokończywszy wyliczankę, odwrócił się do swego gościa. – Gdybym ci pomógł, co otrzymam w zamian? Jak mi się odwdzięczysz?

Penitencjariusz spodziewał się tego pytania.

– Sam zdecyduj.

Więzień zamilkł, jakby mu odebrało mowę. Był wyraźnie podekscytowany propozycją Marcusa.

– Chciałbym dostać książkę.

– Zgoda.

Cornelius Van Buren nie mógł uwierzyć, że spotkało go takie szczęście.

– Ale nie jakkolwiek. Ta, o którą mi chodzi, znajduje się w Bibliotece Angelica. Jest to inkunabuł. *Historia naturalis* Pliniusza Starszego, a przełożył ją humanista Cristoforo Landino. Została zadedykowana Ferdynandowi Aragońskiemu, królowi Neapolu. Zawiera cudowne miniatury. – Podczas jej opisywania oczy błyszczały mu jak komuś, kto zaspokoił głód wiedzy u źródła wszelkiej mądrości.

– Dostaniesz ją – zapewnił go penitencjariusz.

– A co powie Erriaga?

– Nie obchodzi mnie to – brzmiała krótka odpowiedź. W trakcie poprzednich wizyt Marcus utrzymywał zawsze pewien dystans wobec byłego misjonarza. Ten dystans był mu potrzebny, żeby nie zapomnieć, kogo ma przed sobą, lecz także do zachowania bezstronności w odniesieniu do tematów, jakie poruszali w rozmowach. Istniała między nimi niepisana umowa: żaden nie powinien przekraczać tej granicy i wchodzić na terytorium drugiego. Nie groziło im, że zostaną przyjaciółmi albo że zaczną się sobie zwierzać. Te spotkania z Marcusem przynosiły odmianę w monotonnym codziennym życiu Corneliusa. Penitencjariusz wiedział, że więzień nigdy by z nich nie zrezygnował. Dlatego aż do tej chwili nie trzeba było odwzajemniać mu się niczym w zamian za pomoc. A teraz Cornelius sam upomniał się o rekompensatę. Być może wyczuł, że gra idzie o wysoką stawkę.

– Dobrze, pomogę ci – potwierdził. – Ale pod jednym warunkiem: będziesz musiał powiedzieć mi wszystko. Jeżeli ukryjesz coś przede mną, zorientuję się.

– To odnosi się również do ciebie – odparł Marcus. Układ został zawarty. – Co ci podpowiada ta historia?

Cornelius zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem... Mamy do dyspozycji za dużo elementów, za dużo anomalii. Narazamy się na to, że się w tym wszystkim pogubimy.

– Myślę, że jeśli złożę do kupy strzępy tego, co pozostało mi w pamięci, odkryję, dlaczego zapomniałem całą resztę.

Więzień pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie sądzę, żeby to zadziałało w ten sposób. Musisz najpierw zrobić w tych rzeczach jakiś porządek... Zacznijmy od tego, co w tych godzinach dzieje się w mieście.

Marcus zamilkł; jego rozmówca nie mógł wiedzieć o wyłączeniu prądu.

– Co o tym wiesz? – zapytał po chwili.

– W starożytnym Rzymie augurowie odczytywali zamiary bogów z lotu ptaków... Ja zrobiłem to samo i otrzymałem odpowiedź, że w tej chwili jesteśmy w wielkim zagrożeniu.

– Nie masz nawet okna – zauważył penitencjariusz.

– Ja nie żartuję – zapewnił go rozmówca. – Mam ograniczony widok, ale mój słuch wciąż działa. A dziś o świcie padał deszcz. Słyszałem też szelest ptasich skrzydeł, setek ptaków. Ptaki nie latają w czasie deszczu. Więc musiało je coś przestraszyć.

– Cisza – rzucił Marcus i przyszły mu na myśl czarne ptaki, które widział w zagajniku. – Zdezorientowała je nagła cisza.

Cornelius wydawał się zadowolony ze swoich zdolności dedukcyjnych.

– Tylko jakiś kataklizm albo nagła zaraza są w stanie uciszyć cywilizację.

– Lub wyłączenie prądu na dwadzieścia cztery godziny.

Starzec wydawał się zaskoczony.

– Jak widać, Rzym doświadcza właśnie przez jeden dzień tego, czego ja doświadczam od dwudziestu trzech lat.

– Myślę, że tak. Ale teraz, gdy już o tym wiesz, powiedz mi, czemu może posłużyć ta informacja – uciął Marcus.

Cornelius usiadł na pryczy, żeby dać wypocząć członkom wyczerpanym uciążliwościami życia w niewoli.

– Leon Dziesiąty...

Marcus nie dosłyszał.

– Co takiego? – spytał.

– W roku tysiąc pięćset trzynastym czwarty syn Wawrzyńca Wspaniałego zasiadł na tronie Piotrowym i obrał imię Leona Dziesiątego. Został kardynałem w sekrecie, w wieku zaledwie trzynastu lat.

– Papież, przeciwko któremu wystąpił Luter – przypomniał sobie Marcus. – Papież, który wprowadził sprzedaż odpustów grzesznikom. – Z tego powodu stał się też wrogiem penitencjariuszy i Trybunału Dusz.

– To prawda, ale był też człowiekiem skłonny do kompromisów. Uratował życie Machiavellemu, otaczał się takimi artystami jak Rafael. Miał dwie natury, często skłócone ze sobą, jak u wszystkich ludzi.

– Ale co to ma wspólnego z tym, co dzieje się dzisiaj?

– Leon Dziesiąty ogłosił pewną bullę. Ostrzegł w niej, że Rzym nigdy nie może pograć się w ciemnościach. Żeby podkreślić wagę tego zalecenia, powtórzył trzy razy słowo „nigdy”.

– Dlaczego wydał rozporządzenie tego rodzaju? Co takiego mogło się kryć w rzymskich ciemnościach, że tak bardzo go przeraziło?

– Nikt się tego nigdy nie dowiedział. Ale dziewięć dni później Leon Dziesiąty zmarł, być może otruty.

Marcus wiedział, że nie był to pierwszy papież, którego zamordowano. Często się zdarzało, że wewnątrz Kościoła pewne kwestie związane ze sprawowaniem władzy rozwiązywano za pomocą tak drastycznych środków. A Gorda był bardzo cenionym doradcą obecnego papieża, postacią wybitną.

– Chcesz powiedzieć, że biskup mógł paść ofiarą zabójstwa?

Cornelius uchylił się jednak od odpowiedzi i postawił następne pytanie:

– Powiedz mi, czy dobrze obejrzałeś jego zwłoki? Były na nich jakieś dziwne znaki?

Penitencjariusz przypomniał sobie wyblakły tatuaż na wewnętrznej stronie uda biskupa.

– Niebieskie kółko – odparł, zastanawiając się, czy Van Buren mógł coś o tym wiedzieć. – Spełniłem warunki naszego układu:



wiesz już wszystko, więc teraz twoja kolej, żebyś zaczął mówić.

– Porządek, Marcusie. Nie wystarczy wiedzieć, musisz najpierw zaprowadzić porządek w tym, co wiesz – upomniał go starzec.

– Zmęczyły mnie już te twoje gierki. Dość tego.

Cornelius podniósł się z pryczy i znowu zaczął chodzić po celi.

– Zastanów się – odezwał się po chwili. – Pierwszym elementem układanki jest wyłączenie prądu. A drugim?

Marcus nie zamierzał się godzić na próby zmanipulowania go przez tego sadystę, ale spróbował się uspokoić.

– Moje przebudzenie w Tullianum – odparł.

– Nie, mylisz się. Ciągłe myślisz tylko o tym, co przeżyłeś, ponieważ prześladowa cię myśl o krótkotrwałej amnezji, którą przeszedłeś. Obudziła w tobie obawę, że może ci się znowu przytrafić utrata pamięci na dłużej, jak wiele lat temu w Pradze. Tymczasem musisz wyjść od tego, co stało się potem.

– Od śmierci Gordy.

– A jak on umarł?

– Już ci mówiłem. Z powodu mechanicznego uduszenia. Ta śmierć była wypadkiem.

– „Obroża rozkoszy”. A ty? Od czego miałeś umrzeć?

– Chcieli mnie zagłodzić w tej dziurze.

– W takim razie co ty i biskup macie wspólnego, oprócz tych głupich białych tenisówek? – W głosie Corneliusa pojawiło się rozdrażnienie. – Obroża, zagłodzenie... Czy to nie są przypadkiem techniki torturowania?

– Chcesz mi powiedzieć, że za tymi dwoma wydarzeniami kryje się ta sama ręka?

– Dlaczego pytasz o to mnie? Wiedziałeś o tym już wcześniej, zanim tu przyszedłeś.

– To niemożliwe... Gorda zrobił to sam. Okoliczności jego śmierci absolutnie wyłączają działanie osób trzecich. – Marcus nie był w stanie uwierzyć w inną wersję. Rosła w nim złość, ponieważ był przekonany, że Van Buren ukrywa przed nim coś o podstawowym znaczeniu. – Skąd wiedziałeś o tatuażu?

– Wcale o nim nie wiedziałem. Zapytałem cię tylko, czy na ciele były jakieś znaki, a ty odpowiedziałeś mi, że było niebieskie kółko.

– Nie opowiadaj głupstw! – rzucił penitencjariusz. – Powiedz mi, co wiesz.

Cornelius się uśmiechnął.

– Bulla papieska, zaciemnienie Rzymu... Co ci to nasuwa na myśl?

– Tajemnicę, która utrzymuje się od zbyt wielu stuleci.

– A co odczuwają zwykli ludzie, kiedy stają wobec tajemnicy?

– Strach – brzmiała odpowiedź.

– Otóż to. Wszyscy odczuwamy strach przed nieznanym. A jaka była intencja Leona Dziesiątego, kiedy ogłaszał tę bullę?

– Chciał uchronić miasto, zapobiec jakiemuś nieszczęściu.

– Słusznie! Ponieważ wiedział o czymś, czego nie wiedzieli inni. O czymś, co miało się wydarzyć z nastaniem ciemności.

– Chcesz powiedzieć, że ta bulla zawiera proroctwo? To absurd! Proroctwa nie istnieją.

– Leon Dziesiąty widział w ciemnościach swojego wroga. A w jakiej części doby ciemności są najgęstsze?

– W nocy – odparł gniewnie Marcus.

– A kiedy noc jest ciemniejsza niż inne?

– Nie wiem. – Penitencjariusz miał już dość tych zagadek.

– No, śmiało... – zachęcał go Cornelius Van Buren.

– Gdy nie ma księżyca.

– Nie! – wrzasnął Cornelius. – Najciemniejsza i najstraszliwsza noc nastaje wtedy, gdy księżyc jest... ale nikt nie może go zobaczyć.

Marcus pomyślał znowu o niebieskim kółku.

– Podczas zaćmienia.

Powiedział to cichym głosem, lecz starzec i tak zrozumiał, że jego uczeń pojął lekcję.

– Właśnie. – Oczywiście starego mistrza nie były w stanie ukryć zadowolenia. – A czym jest wyłączenie prądu, jeśli nie technologicznym zaćmieniem? Świat wokół nas przestaje być

taki, jakim go znamy. Podobnie jak nasi przodkowie podczas zaćmienia Księżyca, czujemy się nagle słabi i bezbronni. Wystawieni na cios. Wrażliwi na zranienie.

– Coś się wydarzy po zachodzie słońca. Coś straszliwego – domyślił się penitencjariusz i to olśnienie zbiło go z nóg. Niektórzy pewnie by uwierzyli, że pewien papież wyprorokował to pięćset lat temu. Ale nie Marcus. Dla niego istniało zawsze racjonalne wyjaśnienie wszelkich zagadek. I to przekonało go jeszcze mocniej, że Van Buren coś przed nim ukrywa. – Co mam zrobić, żeby zapobiec temu, co ma się stać? Powiedz mi.

– Trzeba zachować porządek – przypomniał mu rozmówca kategoriycznym tonem. – Wróć tu do mnie dziś w nocy z tym, co odkryjesz, i razem poszukamy odpowiedzi – powiedział i dodał z ponurym uśmiechem: – I bardzo proszę, nie zapomnij przynieść ze sobą tej książki.

Poziom wody w Tybrze przekroczył stan krytyczny.

Była to ostatnia wiadomość przed wyłączeniem prądu. Od kilku godzin rzeka, która groziła wylaniem, była stale monitorowana. Nie sposób było przewidzieć, ile deszczu spadnie jeszcze na Rzym i czy obwałowania zdołają oprzeć się wezbranym wodom.

Personel ochrony cywilnej otrzymał zadanie przeniesienia dzieł sztuki zappełniających muzea i pałace na wyższe piętra budynków. Zabezpieczano monumentalne pomniki, okładając je workami z piaskiem, co upodobniło je do wojskowych okopów. Piazza Navona, Ara Pacis, Koloseum, Panteon i wszystkie kościoły oraz miejsca wykopalisk archeologicznych przypominały pola bitew.

Mimo że od przeszło czterdziestu lat nie notowano powodzi, w pamięci ludzi wciąż żywe były wspomnienia kaprysów tej rzeki, która w przeszłości wielokrotnie wdzieriała się do historycznego centrum. Tyber po raz kolejny przypominał, kto jest prawdziwym władcą Rzymu, kto przez stulecia przydawał mu piękna i dobrobytu, a teraz w ciągu paru minut mógł zabrać to wszystko.

Z tego powodu pomieszczenia archiwum komendy miejskiej policji były puste.

Pracujący w nim ludzie zostali przydzieleni tam, gdzie byli najbardziej potrzebni. Sandra miała nadzieję, że tak właśnie będzie, ponieważ nie miała ochoty wyjaśniać kolegom powodu, dla którego się tam znalazła. Wielka, pokryta freskami sala w starym pałacu, który był siedzibą rzymskiej policji, przywitała

ją niczym niezakłóconą ciszą. Przypominała czytelnię ogromnej biblioteki, lecz na długich drewnianych stołach zamiast liczących wieki tomów stały nowoczesne komputery, które w tym momencie działały dzięki energii dostarczanej przez generatory.

Sandra usiadła przed jednym z terminali i zaczęła wprowadzać dane potrzebne do zdobycia informacji na temat Vitalego.

Zacząła od przebiegu jego służby i stwierdziła, że w ostatnich latach inspektor wielokrotnie zmieniał stanowiska. Przed zatrudnieniem się w biurze statystycznym do spraw przestępczości kierował biurem emerytalnym, potem objął kierownictwo parku pojazdów. Zajmował się łącznie, redagował czasopismo policyjne i tak dalej. Były to wyłącznie skromne miejsca pracy, nieobejmujące żadnych działań operacyjnych i w związku z tym nie wystawiały go na jakiegokolwiek ryzyko.

Jednak rano w Mrowisku, w biurze komendanta, Vitali dał do zrozumienia, że absolutnie panuje nad sytuacją. Opisując zabójcę z nagrania w telefonie komórkowym, wyrażał się jak profiler. *Gdzieś w tym mieście jest człowiek zdolny do wyrządzania bliźnim rzeczy nie do opisania... Niech pani nie popełnia błędu, uznając, że chodzi tylko o ostrzeżenie albo o groźbę. On przedstawia nam tutaj swoje zamiary. Chce nam powiedzieć: „To jest dopiero początek”.*

Coś w postaci inspektora nie pasowało. Sandra była tego pewna. Spróbowała dotrzeć do starszych plików dotyczących Vitalego, żeby zrozumieć, kim ten człowiek jest naprawdę. Natknęła się jednak na blokadę danych nie do pokonania.

*Akta ściśle tajne, poziom czwarty* – informował napis na ekranie monitora.

To nie może być żadne pieprzone biuro statystyczne, pomyślała. Czwarty poziom tajności odnosił się do spraw, w których chodziło o bezpieczeństwo. Dotyczył śledztw na temat komórek terrorystycznych, grup zagrażających państwu, seryjnych zabójców.

Do której z tych kategorii można było zaliczyć to, co utrwalono na filmie? Narkoman mówiący po aramejsku po przyjęciu komunii w postaci czarnej hostii. Płyn – do wypicia którego został zmuszony – palący mu tkanki od wewnątrz. Niebieskie kółko na skórze. Zabójca, który sfilmował wszystko komórką, a później celowo pozostawił ją w taksówce, mając nadzieję, że trafi na policję.

Ale dlaczego na telefonie znajdowała się kropla krwi z nosa? Czyżby Marcus rzeczywiście był zamieszany w tę sprawę, czy też Sandra pozwoliła się tylko zasugerować, bo nie była w stanie usunąć tego człowieka ze swoich myśli?

Przypomniały się jej słowa skazańca wygłoszone przed śmiercią i przetłumaczone przez Vitalego. *Idzie ze mną Władca Ciemności. On jest nauczycielem prawdy. Nowym życiem.*

Była to modlitwa, a to zwiększało prawdopodobieństwo zamieszania w sprawę księdza penitencjariusza. Tylko że ta modlitwa różniła się od innych. Coś tu się nie zgadzało.

Sandra postanowiła więc zgłębić sprawę z pomocą najbardziej religijnego człowieka, jakiego знаła.

\* \* \*

Ognioodporne drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne na trzecim piętrze komendy były odłączone od alarmu pożarowego. Chociaż dbano o to, by aparatura była ciągle sprawna, to po każdej naprawie czujnika mijało kilka dni i psuł się znowu. Żaden z techników nie potrafił wyjaśnić tej zagadki. Tymczasem wystarczyłoby pójść tam około jedenastej przed południem, kiedy komisarz Crespi korzystał z tego wyjścia, żeby zapalić na tarasie jedyne na cały dzień papierosa. Tylko Sandra wiedziała o tym, że to właśnie on wyłącza czujnik, ponieważ chce mieć prywatny kącik dla własnej przyjemności i ani myśli z niego zrezygnować. Choćby nawet narażał w ten sposób bezpieczeństwo kolegów.

Prawdopodobnie jest to jedyny prawdziwy grzech przyzwoitego gościa, jakim jest Crespi, uznała Sandra.

Była przekonana, że nawet ostrzeżenie meteorologiczne i wyłączenie prądu nie przeszkodzą komisarzowi w zapewnieniu sobie tych paru minut błogiej samotności. Kiedy więc postanowiła go odszukać, zastała go dokładnie tam, gdzie się spodziewała.

– Co tu robisz, Vega? Nie zwolnili cię na resztę dnia z obowiązków?

Komisarz dopiero co zapalił papierosa.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– O czym?

– Kto to jest ten inspektor?

Crespi wydmuchnął dym, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

– Co to za pytanie? – rzucił.

– Muszę wiedzieć, kim naprawdę jest Vitali...

– Dlaczego nie wracasz do domu? Słyszałaś, że Tyber może wylać?

W tym momencie jednak Tyber nie miał dla Sandry żadnego znaczenia. Podeszła do komisarza i spojrzała prosto w jego małe zielone oczy.

– Ty, on, komendant i naczelnik urządziliście mi dziś rano śliczne przedstawienie. Co się za tym kryje? Mam prawo to wiedzieć.

– Powiedzieliśmy ci. Co tu można jeszcze dodać?

– Poradzę sobie z tym, że wciągnęliście mnie w tę potworność, ale trudniej mi będzie poradzić sobie z tym, że i ty za tym stoisz.

Crespi milczał o kilka sekund za długo. Wydawał się zawstydzony.

Sandra domyśliła się, że się nie myli.

– Zawsze uważałam, że naprawdę różnisz się od innych, że jesteś lepszy – dodała już łagodniejszym tonem. – I zawsze ci ufałam. Teraz również ci ufam, inaczej bym tu nie przyszła.

Crespi był świetnym gościem. A ona знаła to jego malutkie tajemne miejsce tylko dlatego, że sam ją tu przyprowadził

tamtego dnia, kiedy rozpląkała się z powodu nagromadzenia stresu. Był obecny w trakcie strasznych wyczynów Potwora z Rzymu, po tym jak definitywnie pożegnała się z Marcusem. Crespi nie chciał, żeby inni policjanci zobaczyli ją we łzach, więc zaoferował jej to schronienie i ramię, na którym mogła się wypląkać.

– No, komisarzu, mów, co się dzieje – rzuciła. – Proszę cię.

Wziął głęboki oddech, wypinając przy tym wystający brzuch. Przeciągnął ręką po włosach i podrapał się w kark, jakby szukał pretekstu, żeby jeszcze się nie odezwać. W końcu przerwał milczenie.

– O tej sprawie się nie mówi. Pewne tematy mogą wywoływać nieporozumienia, zakłopotanie... Poza tym podatnikom nie podoba się, że ich pieniądze wydawane są na tego rodzaju historie, zwłaszcza że jest mnóstwo zwykłych przestępców, na których trzeba polować. A prasa jest zawsze niezawodna w podżeganiu opinii publicznej. To dlatego Vitali cieszy się specjalnym statusem i woli, żeby nikt o tym nie wiedział.

Sandra nie była w stanie uchwycić pełnego sensu jego słów. Komisarz kluczył, kręcił, robił wrażenie, jakby mu się coś poprzestawiało w głowie.

– Crespi, ale o czym ty mówisz? O jakich historiach? Nie rozumiem...

Przełknął ślinę i wlepił w nią spojrzenie.

– Chodzi o wydział przestępstw ezoterycznych.

Sandra w jednej chwili pojęła przyczynę tego ociągania się komisarza.

– A konkretnie?

– Prawdę mówiąc, zajmuje się tym wyłącznie Vitali – powiedział cicho komisarz. – Wydział zwalcza przestępstwa mające związek z wierzeniami religijnymi, z kaznodziejami, którzy nachodzą bezbronne dzieci i zamieniają je w niewolników w swoich wspólnotach, z nawiedzonymi fanatykami, którzy zabijają, żeby oczyszczać społeczeństwo z jego grzechów, z sektami satanistów...



Przypomniał jej się film z komórki. Co tak naprawdę oglądała? Wrażenie, że patrzyła na coś w rodzaju ofiary z ludzkiego życia, wciąż nie zniknęło. A teraz Crespi je potwierdzał, dając jej niemal pewność.

– Opowiedz mi o tym Vitalim – poprosiła.

– To jest pieprzony skurwiel, ale tego powinnaś domyślić się sama.

Poczuła się dziwnie, słysząc to określenie z ust kogoś takiego jak Crespi, który zawsze uważał na słowa i nigdy nie pozwalał sobie na wulgarne odzywki. Skoro robił to teraz, to należało brać poważnie jego słowa.

– Mnie też facet się nie podoba.

– Tak, ale zbytnio tego nie rozpowiadaj. Zajmuje się delikatnymi sprawami i jest przyzwyczajony do poruszania się w szarej strefie. Kiedy prowadzi śledztwo, cieszy się szerokimi uprawnieniami i ma wszędzie donosicieli. To człowiek wpływowy, boją się go nawet zwierzchnicy. Chodzą plotki, że ma wiedzę o najróżniejszych sekretach, dzięki czemu zagwarantował sobie coś w rodzaju „służbowego immunitetu”.

– Co masz na myśli?

– Że jest upoważniony do sięgania po metody niekonwencjonalne, które często wykraczają poza granice kodeksu karnego, ale nie gwałcą otwarcie żadnego paragrafu. W sprawach, którymi się zajmuje, bardziej niż wyniki liczy się dyskrecja.

Sandra przyjrzała się uważnie komisarzowi.

– Ty też się go boisz, prawda? – spytała.

Wyrzucił niedopałek papierosa i jakby na przekór narzuconym sobie regułom zapalił następnego. Zaciągnął się głęboko i wycelował palcem w Sandrę.

– Posłuchaj mnie uważnie: trzymaj się z dala od niego, rozumiesz? Nie wtykaj nosa w jego sprawy, daj temu spokój.

– W takim razie wyjaśnij mi, o co chodzi w tym nagraniu...

– Kurwa, widzę, że mnie nie słuchasz. – Crespi przekroczył maksymalną dozę niecenzuralnych słów. – Wracaj do domu

i ciesz się, że masz wolny dzień podarowany przez Vitalego.

– To nagranie – powtórzyła z naciskiem.

Komisarz przyjrzał się jej, paląc papierosa, a potem odezwał się niechętnie:

– Prawdopodobnie zabójca zmusił ofiarę do wypicia mieszaniny na bazie żrącej sody kaustycznej, która została rozrzedzona, żeby spowolnić jej działanie i sprawić, żeby wszystko było dużo bardziej bolesne. Właśnie ból jest bardzo ważnym elementem tej historii.

– Dlaczego? Wytłumacz mi to.

– Ponieważ mamy do czynienia z zabójstwem rytualnym.

Dobrze to oceniła, chociaż w obecności Vitalego nie odezwała się ani słowem.

– Nie wiadomo, kim jest biedak, który zmarł w tak straszliwych cierpieniach – ciągnął Crespi. – Wiemy tylko, że czarna hostia należy do bardzo starego rytuału. Używano jej w Kościele Zaćmienia Księżyca. – Rozejrzał się z zaniepokojoną miną. – Chryste Panie, nie powinienem ci o tym mówić.

Jeśli wezwał nadaremno samego Jezusa, to sprawa była poważna.

– Zanim zostałaś w to wciągnięta, odbyło się inne zebranie z udziałem komendanta i naczelnika. Wczoraj wieczorem, zaraz po odnalezieniu tego nagrania w komórce. I wtedy właśnie Vitali wyjaśnił nam, że ta sekta sięga czasów Leona Dziesiątego. Jej członkowie wykorzystywali noce z zaćmieniem Księżyca, żeby dokonywać w Rzymie zabójstw. Ich ofiarami padali niewinni ludzie.

– Dlaczego to robili?

– Nie wiem, tego akurat Vitali nam nie powiedział. Dodał tylko, że członkowie sekty tatuowali sobie na skórze małe niebieskie kółko.

Sandra zauważyła je na przedramieniu ofiary.

– A ten człowiek na filmie? Skoro był członkiem sekty, to dlaczego został zamordowany?

– Oczekujesz ode mnie zbyt wiele. – Crespi westchnął. – Nie mam pojęcia. Być może wie to tylko Vitali. Sprawia wrażenie, jakby czuł się doskonale w tym szambie. Mówi, że czarna hostia symbolizuje cień Ziemi, który odbija się na Księżycu, a przyjmując ją, członkowie sekty osiągają ekstazę poznania.

– A ty? Co o tym sądzisz?

– Że aż do wczoraj roześmiałbym się z czegoś takiego. Ale potem obejrzałem ten film, który i ty widziałaś... A ten gość mówił po aramejsku... Chryste Panie...

– Nie uważasz, że to wszystko dzieje się z powodu wyłączenia prądu i ostrzeżeń meteorologicznych? Chodzi mi o to, że przeżywamy w tych godzinach coś absolutnie nowego, co może wpływać na naszą ocenę sytuacji.

Crespi zastanawiał się przez chwilę.

– Być może masz rację – przyznał w końcu. – Podobnie jak nasi przodkowie, stoimy w obliczu naturalnego wydarzenia, którego oni nie umieli sobie wytłumaczyć. I strach wpływa na jasność naszych myśli.

Ale Sandra miała jeszcze jedno – ostatnie – pytanie.

– Dlaczego zostałam w to wciągnięta? Dlaczego ja? Tylko nie bierz mnie pod włos i nie wmawiaj mi, że dlatego, że jestem najlepszą fotografką w Rzymie.

Komisarz skapitulował.

– W tej komórce oprócz filmu jest też twoje zdjęcie.

Informacja ta wstrząsnęła Sandrą jeszcze bardziej niż odkrycie, że na telefonie być może znajdowała się kropla krwi Marcusa.

– Vitali nie sądzi, żebyś mogła być w to zamieszana. Wręcz przeciwnie, utrzymuje, że zabójca chciał cię zawiadomić, kto będzie następną ofiarą... Dlatego zwolnił cię na resztę dnia. Ten skurwiel chce cię użyć w charakterze przynęty.

*Dwie godziny i trzydzieści pięć minut do zachodu słońca*

Od czasu, gdy poprzedniego wieczoru podano wiadomość o wyłączeniu prądu, Rufo Karaluch rozpoczął gorączkowe wyczekiwanie. Wpadał w euforię pomieszaną z niecierpliwością.

Zamknięty w garażu, w którym mieszkał, przygotowywał się na to, co się wydarzy, rozmyślając o tym, jak wykorzystać tę niepowtarzalną okazję: dwadzieścia cztery godziny absolutnego zamętu. Będzie mógł bezkarnie robić, na co tylko przyjdzie mu ochota. Z pewnością będzie musiał uważać, ale myśl o zabraniu się do dzieła była tak nęcąca.

Jak wszyscy, Rufo Karaluch czekał, aż zapadnie zmierzch. Mrok stanie się jego współnikiem. Ale najpierw musiał wybrać sobie ofiarę.

Zaczął fantazjować na temat szczęśliwej wybranki, której przypadłby w udziale los ofiary gwałtu. Zazwyczaj decydował się na łatwe zdobycze. Odrzucał narkomanki i bezdomne, ponieważ bał się, że się od nich czymś zarazi. Pozostawały więc tylko wstawione zagraniczne turystki, autostopowiczki, dziewczyny, które uciekły z domu. Pasowały mu też tłuścioszki, które wystawiały się na pokaz w internecie – te sieciowe dzidziury potrafiły poderwać mężczyzn, którzy w realnym życiu nigdy, ale to nigdy nie poleciliby na nie. Aż trudno w to uwierzyć! Rufo brał je jednak pod uwagę, bo w odróżnieniu od innych rzadko składały doniesienie na policji. Po części ze wstydu, a po części dlatego, że w gruncie rzeczy zdawały sobie sprawę, że same tego szukały.

Lecz zaciemnienie zmieniło reguły gry. Dlaczego więc zadowalać się byle czym?

Przez całą noc Rufo Karaluch rozmyślał o czarnulce, którą często widywał w supermarkecie. Duża sportowa torba, niewyraźny, ale przyjemny zapach potu, wielkie cycki i kształtna pupcia. Ale była też blondynka pracująca w sklepie z telefonami... ach! Wystrzałowa. Podobnie jak inne ekspedientki, nosiła koszmary strój firmowy, lecz ponad spodniami biodrówkami wystawały jej zawsze kolorowe majtki. Pochylała się celowo, żeby prowokować, kurewka jedna. Poza tym w grę wchodziła jeszcze właścicielka baru, do którego codziennie rano zaglądał na kawę. Była rozwódką i miała dziecko. Mąż porzucił ją pewnie dlatego, że za bardzo lubiła się pieprzyć z chłopakami w okolicy – tak, właśnie tak. Pozwalała sobie na prostackie żarty z klientami, lubiła, żeby się do niej wszyscy zalecali. Choć Rufo musiał przyznać, że ta świnią nigdy nie zaszczyliła go nawet jednym spojrzeniem. Dla niej i dla innych zwyczajnie nie istniał. Był tylko szczupłym chłopakiem, nieśmiałym i zamkniętym w sobie, który chodził, ocierając się o ściany domów, i krył się po kątach. Właśnie jak karaluch. I to taki, co nie zasługuje nawet na to, żeby go rozdeptać. Gdyby tylko wiedziały, czego on potrafi dokonać za pomocą wibratora i noża... Rufo ograniczał się zresztą zawsze do spoglądania na nie z dystansu. Były zbyt piękne i niedostępne dla takiego chłopaczka jak on. Jeśliby musiał je zdobywać swoim „zwykłym sposobem”, skończyłyby na pewno za kratkami.

A teraz nie będzie musiał się już ograniczać. Mógł zaspokoić swoje ambicje. Wydawało mu się, że jest karaluchem, który trafił do szpitala pełnej słodkości. Pełnej rozkosznych smakołyków!

Po długim zastanawianiu się odrzucił brunetkę z supermarketu, ponieważ nie miał dość czasu na zdobycie informacji na jej temat, a także właścicielkę baru – tę drugą z powodu dziecka, które mogła mieć przy sobie. Pozostawała tylko blondynka od tych telefonów. Nie kosztowało go wiele wysiłku, żeby ustalić, gdzie mieszka.

Pomysł polegał na tym, żeby wejść do mieszkania laluni i zrobić jej niespodziankę.

Nim jednak mógłby wziąć się do dzieła, musiał zapaść zmrok. Odkąd się obudził, zwałił konia przynajmniej cztery razy. Teraz musiał dać sobie z tym spokój, bo inaczej mogłoby zabraknąć mu energii na wieczór i noc. Żeby się rozerwać, zaczął układać oprzyrządowanie i ponownie przeleciał w myśli gotowe plany. Wprowadzono godzinę policyjną i musiał być ostrożny. Gdyby gliny przyłapały go z tymi rzeczami w plecaku, spuściłyby mu wpierdol. Gnojki! Był pewien, że ci sadyści w mundurach nie mogą się doczekać, kiedy położą łapy na jakimś biedaczynie, żeby stłuc mu pałkami czaszkę. Tej nocy w Rzymie miała się rozpętać trzecia wojna światowa. Ale wiadomo, karaluchy nie boją się bomb. W gruncie rzeczy są jedynymi stworzeniami, które przez miliony lat opierały się wszelkiego rodzaju klęskom i nie wyginęły.

Zamknięty w garażu, powtórzył w pamięci trasę, jaką wybrał, żeby uniknąć patroli. Potem jeszcze raz sprawdził małą kamerę GoPro, którą planował umocować sobie na czole. Musiała działać jak należy. Tak naprawdę jedynym problemem były baterie. Nie mógł podładować ich prądem z sieci, ale miał nadzieję, że wytrzymają. Były to prawdziwy żart losu, gdyby wysiadły w najfajniejszym momencie. Wydał niezłą sumkę na tę zabawkę, ale koniec końców dawała godne uwagi rezultaty. Obrazy były ostre, jasność ustawiana automatycznie. Oczywiście później poprawiał często to i owo, żeby nagranie było jak najlepsze.

Niektórzy mogli popełniać błąd, biorąc Rufa Karalucha za zwykłego maniakałnego gwałciciela. Tymczasem był małym rekinkiem na najlepszej drodze do odniesienia sukcesu. Jego niedawno podjęta działalność dawała profity z rozpowszechniania w sieci.

Najtwardszą odmianą pornografii w internecie stało się nagrywanie gwałtów na kobietach.

Prawdę mówiąc, Rufo nie uważał się za zwykłego autora filmów, ale za kogoś w rodzaju artysty. Jego osiągnięcia przeszły

już do legendy wśród miłośników tego gatunku. Ostatnio Karaluch zaczął się zaopatrywać w oprzyrządowanie do streamingu na żywo. Miał mnóstwo pomysłów.

Ileż kasy mogłoby przynieść zgwałcenie tej blondyneczki w trakcie zaciemnienia! Fortunę, był o tym przekonany. Zamierzał sfilmować wszystko, także wejście do mieszkania. Gdy o tym rozmyślał, fala gorąca oblała mu krocze. Poczuł, że twardnieje mu narzędzie pracy. Odruchowo wsunął rękę do spodni i ścisnął penisa. Kurwa, pomyślał, żeby przelecieć tę blondynkę ze dwa razy, będę musiał zażyć tabletkę Cialisu. Odrzucił głowę do tyłu i z zamkniętymi oczami zaczął wyczekiwać orgazmu. Ale zamiast niego poczuł nagle przeszywający ból w dole brzucha.

– Jak się miewasz, Rufo? – spytał Marcus, ściskając mocno palcami jego przyrodzenie. – Do czego się szykujesz tym razem? – Uniósł go parę centymetrów nad ziemię.

Rufo nie był w stanie wykrztusić słowa. W jednej chwili powietrze uszło z jego płuc i zabrakło mu sił, żeby zaczerpnąć świeżego. Facet zaszedł go od tyłu, ale jak dostał się do garażu? Rufo rozpoznał go jednak po głosie. Gość z blizną na lewej skroni, któremu ciągle ciekła krew z nosa. Dał mu przydomek Psuj. Podczas ich poprzedniego – jedyne – spotkania Psuj uniemożliwił mu dokończenie czegoś, co należało do jego najlepszych wyczynów – z dziewczyną z Azji, którą uparcie podrywał przez dłuższy czas. Z tego spotkania Rufo Karaluch miał ciągle wyraźne wspomnienia, ponieważ spędził później w szpitalu prawie dwa miesiące z powodu pękniętego kręgu i zmiążdżenia miednicy.

– Rufo zwany Karaluchem – powiedział Marcus. – Przypomina wstrętne bohatera jakiejś strasznej bajki. – Rozluźnił trochę chwyt, żeby umożliwić tamtemu zaczerpnięcie oddechu. Rozejrzał się. – Widzę, że urządziłeś sobie nową norę. Brawo! Pionierzy nowych trendów w sieci zaczynają zawsze od garażu.

Rufo wymamrotał coś niezrozumiałego. Ale nawet on sam nie był pewien, czy są to słowa.

– Nie rozumiem... – Penitencjariusz przysunął usta do ucha seryjnego gwałciciela. – Co chcesz mi powiedzieć? Złap oddech i wyjaśnij szybko: „obroża rozkoszy”, naprawdę śliczny gadżet, co o nim wiesz? Ten, na który natrafiłem, ma jednak parę dodatkowych opcji: okulary wirtualnej rzeczywistości, czujniki, które reagują na podniecenie i dozują ściskanie szyi, połączenie z pornograficznymi portalami w internecie. Wszystko zamknięte w eleganckim futerale wyłożonym czarnym aksamitem.

– ...bogacz.

Marcus zrozumiał tylko to słowo. Postanowił więc dać Karaluchowi trochę oddechu. Zwolnił chwyt na przyrodzeniu i zobaczył, że Rufo ze zsiniałą twarzą osuwa się na podłogę, a potem zgina w pół, trzymając się rękami za krocze.

– Mógłbyś z łaski swojej powtórzyć to, co powiedziałaś?

Po jakimś czasie Rufo odezwał się cicho:

– Że na pewne rzeczy może sobie pozwolić tylko bogacz...

– To ostatnie słowo mi nie uciekło. A wolałbym usłyszeć raczej coś, o czym nie wiem, bo inaczej jeszcze bardziej zepsuję ci zabawę. Sam zdecyduj.

Rufo Karaluch odwrócił się na plecy i na dłuższą chwilę wlepił wzrok w sufit, starając się poradzić sobie z bólem.

– Chciałem powiedzieć, że taki gadżet musi kosztować mnóstwo forsy, bo prawdopodobnie jest to jedyny egzemplarz, zrobiony na zamówienie.

– Kto produkuje takie rzeczy?

– Wykończenie w skórze i elektronika, tak?

Marcus teraz był już pewny, że wybrał właściwą osobę do zadawania tych pytań.

– Owszem – rzucił.

– A więc w Rzymie jest tylko jeden taki, który się tym zajmuje. Prawdziwy artysta. Jego klienci to ludzie z klasą, a przede wszystkim z forszą. Nie obchodzą ich koszty, chcą tylko zostać obsłużeni na najwyższym poziomie.

– Jak się nazywa?

– Nie ma nazwiska. Nazywają go Zabawkarzem.



Określenie było odpowiednie dla towaru, jaki sprzedawał. Wyrafinowane zabawki dla dorosłych, drobne mechaniczne cacka dla zboczeńców.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Na pewno nie w książce telefonicznej. – Rufo roześmiał się, ale zaraz potem skrzywił się, bo przeszywający ból przypomniał mu, że na razie lepiej się nie ruszać. – Powiedziałem ci przecież, że on nie ma nazwiska, dlatego logiczne jest, że nikt nie wie, gdzie mieszka, nie wydaje ci się?

– Więc jak mam go znaleźć?

Karaluch pomyślał, że dostał szansę uratowania skóry.

– Jeśli zaprowadzę cię do niego, obiecujesz, że nie ukatrupisz mnie potem?

Marcus miał nadzieję, że usłyszy tego rodzaju propozycję.

– Nie wiem, zobaczę.

\* \* \*

Rufo szedł przodem i starał się chronić przed deszczem, chowając się pod balkonami. Marcus kroczył kilka metrów za nim, nie tracąc go ani na moment z oczu i nie zważając na to, że moknie.

Na ulicach było mniej ludzi niż rano, a ci, których mijali, przyspieszali kroku, żeby wrócić do domu przed godziną policyjną. Światło przeświecające zza grubych chmur zaczęło blednąć. Marcus miał świadomość, że muszą się pospieszyć.

Zachód słońca był blisko.

Dzielnica Parioli, jedna z najbardziej eleganckich w mieście, została dobrze obsadzona siłami porządkowymi. Być może z powodu zamożności mieszkańców, pomyślał penitencjariusz. Ogłoszenie godziny policyjnej mogło nie wystarczyć, żeby utrzymać z dala złodziei. Z pewnością zjawią się tu prędko i będzie ich wielu, zgłodniałych i bezwzględnych.

Zabawkarz nie powinien mieć z nimi problemów, ponieważ dawno temu przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności.

Mieszkał w ślicznej małej willi z ogrodem, pochodzącej z lat pięćdziesiątych i otoczonej wysokim ceglany murem zwieńczonym drutem kolczastym. Wszędzie widać było kamery ochrony. Ich czerwono świecące diody upewniły Marcusa, że gospodarz domu posiada generator prądu. Penitencjariusz zobaczył co najmniej trzy zewnętrzne czujniki alarmu. Kto wie, ile kryło się we wnętrzu. Istniała tylko jedna możliwość wejścia. Tak więc gdy tylko znaleźli się przed furtką, Marcus popchnął Rufa w stronę domofonu.

– Cholernie się wkurzy, jak zobaczy, że cię tu przyprowadziłem – uprzedził go Karaluch. – Jeżeli w ogóle nam otworzy.

– Mam nadzieję, że go przekonasz, żeby to zrobił.

Rufo wyciągnął rękę w stronę guzika, ale natychmiast ją cofnął.

– Coś tu, kurwa...

Przyjrzał się furtce, a potem położył na niej rękę. Popchnął i furtka się otworzyła. Spojrzał pytająco na Marcusa, ponieważ nie wiedział, co robić. Penitencjariusz ponaglił go i zmusił do wejścia.

– Hej, przyprowadziłem cię tu, teraz możesz iść dalej sam – zaprotestował Rufo.

Marcus nie słuchał jego protestów. Chwycił go za ramię i popchnął w stronę domu. Gdy dotarli pod portyk, zorientował się, że z willi nie dochodzi żaden dźwięk. I że mimo generatora w środku jest ciemno. Drzwi wejściowe były tylko przymknięte.

– Powiedz coś o tym Zabawkarzu – rzucił penitencjariusz. – Co o nim wiesz?

– Że jest gruby, łysy i szybko się wkurwia.

– Ile ma lat?

– Nie mam pojęcia... chyba około pięćdziesiątki.

– Uzbrojony?

Z miny gwałciciela Marcus wywnioskował, że ten nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Posłuchaj, zaczynam już robić pod siebie – poskarżył się Rufo. – Dlaczego nie chcesz puścić mnie wolno?

Penitencjariusz zignorował jego słowa i popchnął go na drzwi, które się otworzyły. Rufo wpadł do środka.

– Ty skurwielu – syknął półgłosem.

Marcus wszedł do willi, przestąpił nad leżącym na podłodze Karaluchem i rozejrzał się. Wnętrze domu wyglądało dziwnie. W pomalowanych na ciemnoczerwono ścianach widać było małe oszklone wnęki. Podeszedł do jednej z nich. Znajdowała się w niej mała, wspaniale ozdobiona karuzela z blaszanej puszką, z emaliowanymi i lśniącymi konikami. W następnej zobaczył miniaturowy zautomatyzowany cyrk. W kolejnej – pajacyka na sprężynie. Najwyraźniej Zabawkarz lubił tradycyjne zabawki.

– Ładna kolekcja, no nie? – zauważył Rufo. – Jak tu byłem pierwszy raz, to po prostu...

– Zamknij się – przerwał mu Marcus. Na tle szumiącego deszczu usłyszał odgłos, który dochodził z innej części domu. – Ty też to słyszysz?

– Niby co?

Odgłos, przypominający rozpaczliwe zawodzenie, to narastał, to słabł. Ale penitencjariusz nie był pewien, czy rzeczywiście go słyszy. Mogły to być halucynacje, pozostałość niedawnej amnezji, a może nawet szum istniejący tylko w jego uszach. Podniósł Karalucha z podłogi i pociągnął go za sobą w głąb korytarza.

Dotarli do okrągłej sali. Jej okna wychodziły na wewnętrzny ogród. Wyniszczone przez niedawne burze pinie przypominały groteskowe i makabryczne tańczące szkielety.

– To jest pracownia – poinformował Marcusa Rufo Karaluch.

Duże pomieszczenie podzielone było na dwie części. W jednej stał komputer i metalowy stół, na którym rozrzucone były elementy jakiegoś automatu. W drugiej – warsztat do pracy, a na nim narzędzia rzemieślnicze. Ale także skóra, aksamit, jedwab... i jeszcze jakiś rodzaj jasnego materiału, który wydawał się miękki i przyjemny w dotyku.

– Słynna skóra Zabawkarza – wyjaśnił Rufo.

– Co on z niej robi? – spytał Marcus.

Jego towarzysz wybuchnął śmiechem.

– Jak to co? A ty co byś robił? Nie masz ochoty jej dotknąć?

Marcus zorientował się, że Rufo próbuje go nabrać. Stracił zainteresowanie dla materiału i podszedł do komputera.

– Co wiesz o „obroży rozkoszy”? – rzucił.

– Pewnego razu Zabawkarz powiedział mi, że doprowadził ją do perfekcji. Ta, którą mi opisał, była w wersji luksusowej. Jest podłączona do bazy danych, w której znajdują się obrazy, na jakie trudno trafić w oficjalnej sieci. Są tylko w ukrytej. Rzeczy ekstremalne albo utajnione. Można dostać wyrok już za samo ich posiadanie.

Penitencjariusz nie był w stanie zapomnieć o dwóch stronach osobowości Artura Gordy. Jedna z nich przemawiała do większości ludzi, którzy uważali go za świętego. Natomiast tę drugą okazał dziś rano tylko nielicznym widzom, nagi i zdegenerowany.

– Materiały pornograficzne dostarczane są bezpośrednio z internetu, więc ta obroża wyposażona jest być może w jakiś mechanizm umożliwiający kontrolowanie jej na odległość – powiedział Marcus.

– To możliwe – przyznał Rufo. – Ja się na tym nie bardzo znam.

– Jeśli urządzenie może być kontrolowane na odległość – mówił Marcus głośno, tylko do siebie, by nabrać więcej pewności, że jego teoria ma sens – ktoś może bez przeszkód dostać się do programu i ręcznie regulować jego działanie.

– Wprowadzić jakiegoś wirusa. Tak, z pewnością – zgodził się Karaluch.

W takim razie Gordy na pewno został zamordowany, pomyślał Marcus. A jego zabójca mógł działać właśnie stąd. Podczas gdy ta hipoteza przybierała w jego głowie formę absolutnej pewności, uwagę penitencjariusza znowu przykuł lamentujący głos, który usłyszał po wejściu do domu.

Tym razem dosłyszał go także Rufo.

– Kurwa, co to może być? Przypomina płacz małego...

– ...dziecka – dokończył Marcus, już tego pewien.

Obejrżeli się w stronę zamkniętych drzwi, zza których dochodziło zawroźenie. Marcus ruszył w ich kierunku.

– Ej, zaczekaj – próbował powstrzymać go Rufo Karaluch, lecz penitencjariusz ani myślał go słuchać. – Kurwa – zaklął Rufo i ruszył za nim.

Marcus otworzył drzwi i przeszedł przez próg. Musiał odczekać chwilę, aż jego źrenice przyzwyczają się do półmroku. Potem go zobaczył. Nie pomylił się.

Pośrodku pokoju stał mały chłopczyk.

– Mamo! Mamo! Przyjdź i zabierz mnie stąd, mamo! – błagał przerażony. – Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj mnie samego!

Penitencjariusz zrobił krok w jego kierunku. Rozpoznał czapkę z logo Romy.

– Mamo! Mamo! Przyjdź i zabierz mnie stąd, mamo! Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj mnie samego!

Natychmiast rzuciła mu się w oczy anomalia: Tobi Frai powinien mieć już dwanaście lat, a tymczasem wcale nie urósł.

– O kurwa! – wykrzyknął Rufo za jego plecami. – Można zrobić ze strachu w portki.

Chłopiec był zamknięty w szklanej gablotce. Po policzkach spływały mu drobne łzy. Kiedy mówił, jego usta ledwie się poruszały, a twarz pozbawiona była wyrazu.

– Mamo! Mamo! Przyjdź i zabierz mnie stąd, mamo! Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj mnie samego! – powtórzył chłopczyk po raz trzeci.

– Chryste Panie, on wygląda jak żywy – stwierdził całkiem poważnie Rufo.

To ta słynna skóra Zabawkarza, pomyślał Marcus. Ta sama, którą widział w laboratorium. Służyła do fabrykowania doskonałych ludzkich kopii naturalnej wielkości, łudząco podobnych do oryginału.

– Ten gość jest niesamowity! – zachwycił się Karaluch. – Lubisz znęcać się nad kobietami? On robi ci taką, która będzie

cię błagać o litość. Jesteś pedofilem, ale boisz się, że trafisz za kratki? On umożliwi ci zaspokojenie wszelkich zachcianek bez ryzyka, że naruszysz prawo.

Rzeczywiście, zaspokajał najbardziej wstrętne zboczenia. Umożliwiał realizację każdej perwersyjnej fantazji tak, że ludzie mimo to pozostawali aniołami.

– Zaczekaj chwilę. – Rufo podszedł do gablotki. – Wiem, kto to jest! Miałem wtedy dziesięć lat i matka czepiała się mnie i nie pozwalała chodzić samemu po ulicach. Miała na tym punkcie bzika. Powtarzała: „Na ulicach jest pełno ludzi, którzy kradną dzieci, mógłbyś skończyć jak Tobi”. Ten mały gnojek zrujnował mi dzieciństwo. – Roześmiał się. – Nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nim stało, ale myślę, że on już nie żyje.

Marcus nie miał ochoty mu odpowiadać. Przeszkadzało mu, że to dzięki Karaluchowi uświadomił sobie w tym momencie, że Tobi Frai nie został odnaleziony.

Pochylił się, ponieważ obok gablotki z lalką leżał telefon bezprzewodowy, włączony, ale oczywiście linia nie działała. Ktoś dzwonił z niego niedawno, pomyślał penitencjariusz.

– Ej, leci ci z nosa.

Marcus uniósł dłoń do twarzy. Gwałciciel miał rację.

– Jak poprzednim razem – skomentował Rufo Karaluch. – Czy to ja tak na ciebie działałam? – spytał i roześmiał się znowu.

Podczas gdy penitencjariusz oglądał swoje palce zabarwione na czerwono, coś przemknęło mu błyskawicznie przed oczami i usiadło na plamie krwi.

Mała, błyszcząca mucha w metalicznym, ciemnoniebieskim odcieniu.

– Spadaj stąd – rzucił w stronę Rufa. – I więcej nie stawiaj nogi w tym miejscu.

Rufo Karaluch nie wierzył własnym uszom. Czy ten dziwny koleś na pewno nie zamierza go wykończyć? Naprawdę może wrócić do garażu i do swoich planów na tę noc? Wydawało mu się, że ten koleś, który podczas ich pierwszego spotkania zamienił w papkę jego jaja i fiuta, mówi poważnie.

– Tak, jasne – odparł, starając się nie okazywać podniecenia. Po czym nie czekając, aż Psuj zdąży zmienić zdanie, odwrócił się i oddalił w stronę wyjścia. Czekala na niego blondynka ze sklepu z telefonami, choć jeszcze o tym nie wiedziała.

Widząc, że został sam, Marcus pochylił się nad niebieskawą muchą.

– No, ruszaj się, moja mała – powiedział do niej. – Zaprowadź mnie do niego.

Muchy rozgościły się na drugim piętrze. Przeciskały się przez szparę pod zamkniętymi drzwiami i wylatywały na korytarz.

Marcus podszedł do zamkniętego pomieszczenia, ale przed naciśnięciem klamki włożył lateksowe rękawiczki. Gdy drzwi otworzyły się na oścież, stanął przed czarną chmurą. Odpędził ją i dopiero wtedy poczuł odrażający zapach. Cofnął się o krok, jakby odepchnęła go niewidzialna ręka. Osłonił nos i usta rękawem kurtki i zmusił się do pokonania wstrętnej blokady. Udało mu się przewyciężyć barierę cuchnących wyziewów i wszedł do środka.

Mała łazienka. W środku było ciemno, ale okiennice jedyne okna były tylko przymknięte, tak żeby pozostały szpary dla niebieskich much.

Ciało znajdowało się w wannie. Związane nogi i ręce. Nagie. Opis Rufa był dokładny. Zabawkarz był gruby i łysy. Pokrywała go lepka żółtawa substancja, w której gnieździły się tysiące larw. Trupi miodek.

*Calliphora erythrocephala*, lepiej znana jako niebieska mucha.

Już na dole Marcus z miejsca rozpoznał przedstawiciela trupiej fauny, zwabionego zapachem krwi z nosa, której krople miał na dłoni. Potem wystarczyło tylko śledzić lot owada.

Zabawkarzowi przypadła w udziale najgorsza ze starożytnych tortur. Został potraktowany jak lalka z wosku.

Zemsta okrutna, ale w gruncie rzeczy elegancka. Skazańca związano, a następnie polewano słodkim mlekiem. Potem pozostawiano go w pomieszczeniu, w którym znajdowało się uchylone okno. I czekano na pojawienie się owadów.



Niebieska mucha brała woń mleka ogrzanego ciepłem ciała za trupi zapach. I zaczynała znosić na ciele ofiary jajeczka; te po kilku dniach otwierały się i uwalniały larwy, które zaczynały się posilać wciąż jeszcze żywą ofiarą.

Po umieszczeniu Zabawkarza w tej swoistej „kąpieli w muchach” zabójca zszedł na dół, usiadł przed komputerem i czekał, aż Gorda włączy swoją obrozę. Gdy tylko biskup połączył się z siecią, udusił go na odległość.

A w którymś momencie usiłował jeszcze zabić Marcusa, wtrącając go do więzienia Tullianum.

Penitencjariusz nie mógł się oprzeć zadaniu sobie jeszcze raz pytania, co on ma wspólnego z tą historią. Jaką odgrywa w niej rolę? Dlaczego nie może sobie niczego przypomnieć?

*Znajdź Tobiego Frai.*

Na razie odnalazł tylko straszliwą podobiznę chłopca. Ale przestał dręczyć się pytaniami w chwili, gdy dostrzegł na kostce nogi Zabawkarza znany mu już znak.

Podobnie jak biskup, miał wytatuowane niebieskie kółko, symbol zaćmienia Księżyca.

Marcus miał ochotę rozejrzeć się za innymi anomaliami, lecz przez okno sączyło się coraz bledsze światło, które niebawem miało ustąpić miejsca ciemności. Zaczyna się, pomyślał. Zapada zmierzch. Musiał stąd wyjść, nie mógł pozostać uziemiony w tym domu. Powstrzymywało go jednak dziwne przeczucie. Nie zdołał się wprawdzie domyślić, jaki sens mogło mieć umieszczenie telefonu bezprzewodowego koło lalki, ale nie opuszczała go nadzieja, że zabójca zostawił jakiś inny znak. Ta historia nie może się na tym skończyć, nie w taki sposób.

On chce mnie zaprowadzić w jeszcze inne miejsce.

Penitencjariusz przyklęknął przed zwłokami. Jeżeli naprawdę istnieje coś, co powinien znaleźć, musi szukać tego tutaj. Byłoby bez sensu, gdyby morderca umieścił to gdzie indziej. Marcus zebrał się więc na odwagę, zanurzył rękę w wannie i zaczął grzebać na jej dnie, gdzie nagromadziła się lepka warstwa

pozostałości rozkładu. Zdusił w sobie odruch wymiotny i zamknął oczy.

Po jakimś czasie wymacał coś palcami. Nie pomylił się.

Wyłowił kulkę zgniecionego papieru. Przyszło mu do głowy, że nie mogła znajdować się tu od dawna. W przeciwnym razie muchy by ją napoczęły. Rozprostował ją. Jeszcze jedna kartka wydarta z tajemniczego notesu. I znów rozpoznał własny charakter pisma. Ale żadnej wzmianki o Tobim Frai.

Tym razem na kartce wypisane było inne imię.

Battista Erriaga stał bez ruchu, obserwując widok, jaki otwierał się z okien nadbudówki wychodzących na Fori Imperiali.

Niebo nad Rzymem zasłaniały ciężkie czerwone chmury niosące krwisty deszcz. Cienie nad miastem zaczynały się wydłużać, zapowiadając nadejście mroku.

Kardynał bezustannie obracał biskupi pierścień wokół serdecznego palca, zadając sobie pytanie, czy nie jest to słuszna kara za niezmiernie grzechy ludzkości. Także za jego własne.

Parę godzin wcześniej odegrano komedię powtórnego odnalezienia pozbawionego życia ciała biskupa Artura Gordy. Tego „oficjalnego”, już po wyczyszczeniu wnętrza przez Marcusa. Erriaga postanowił, że kiedy ponownie zobaczy się z penitencjariuszem, obsypie go komplementami za wykonanie doskonałej roboty. Ani śladu po „obroży rozkoszy” czy nagości.

Potem wydarzyło się jednak coś innego.

Kardynał przez całe lata otaczał się luksusami i przywilejami. Jego mieszkanie było symbolem władzy zdobytej z trudem, a nieraz bezwzględными metodami. Zabytkowe meble, obrazy Guercina i Ghirlandaia i inne cenne skarby, jakie zdołał zgromadzić, powinny być stać się dla niego schronieniem i dostarczać mu pociechy. W tym momencie jednak przypominały mu tylko, że może to wszystko stracić.

*Przepowiednia Leona X... Znaki...*

Z okien ujrzał czarną chorągiew nad dachem pałacu Kancelarii Apostolskiej. Sekretny, uzgodniony sygnał. Zapowiadał nadzwyczajne posiedzenie Trybunału Dusz.

Erriaga był gotów wyjść z domu i stawić czoło końcowi świata. Mimo że osobisty sekretarz poinformował go o groźbie wylania Tybru.

Kardynała wciąż jednak dręczyły niepokojące pytania. Cóż to za nagła potrzeba zadecydowała o tym, żeby nie odkładać posiedzenia świątobliwego gremium do czasu, aż skończy się zaciemnienie z powodu braku prądu i poprawi się pogoda? Jaki ciężki grzech został wyznany? I dlaczego konieczne było pospieszne podjęcie decyzji o tym, czy udzielić rozgrzeszenia, czy nie? Przyszła mu na myśl tylko jedna odpowiedź.

Jedynym przewinieniem, które nie może czekać, jest ciężki grzech popełniony przez umierającego grzesznika.

*Przepowiednia Leona X... Znaki...*

Nie, Adwokat Diabła nie mógł uchylić się od swego obowiązku.

\* \* \*

Sandra zapaliła wszystkie świece, które miała w domu, bo nie chciała, żeby zaskoczyły ją ciemności. A że nie było prądu zasilającego bojler, wzięła lodowaty prysznic. Musiała pogodzić się z tym, że zabrakło drobnych wygód codziennego życia. Najgorszą stroną zaistniałej sytuacji było jednak to, że wszystko odbyło się tak błyskawicznie, bez możliwości przystosowania się do nowego porządku rzeczy.

Nim uznała się za pokonaną, podjęła pewną decyzję. Jeśli naprawdę nadciąga koniec świata, powinna go przyjąć jak należy.

Dlatego wyjęła z szafy eleganckie ubrania – czarną wieczorową suknię do kolan, do której dobrała buty na dwunastocentymetrowych szpilkach. Koronkową bieliznę – biustonosz balkonkę, pończochy samonośne i stringi. Usiadła przed lustrem toaletki zakupionej na małym targowisku po przyjeździe do Rzymu i zaczęła robić makijaż. Nałożyła na całą twarz podkład, a na policzki róż. Potem zabrała się do oczu –

przyczerniła ołówkiem brwi, zrobiła cienie i podmalowała tuszem bardzo długie rzęsy. Wreszcie przeciągnęła miękkim końcem szminki po mięsistych wargach.

Kończąc bez pośpiechu nakładanie makijażu, przypomniała sobie rozmowę z Crespim na schodach pożarowych komendy.

Ciągle nie mogła uwierzyć, że w odnalezionym w taksówce telefonie komórkowym było jej zdjęcie.

*Vitali nie sądzi, żebyś mogła być w to zamieszana. Wręcz przeciwnie, utrzymuje, że zabójca chciał cię zawiadomić, kto będzie następną ofiarą... Dlatego zwolnił cię na resztę dnia. Ten skurwiol chce cię użyć w charakterze przynęty.*

Zamiast myśleć o zagrożeniu, na jakie się naraża, Sandra poczuła, że powinna przeprowadzić matematyczny rachunek ludzkiej egzystencji. Ile papierosów wypala Crespi? Jednego dziennie. Być może łudził się, że uniknie raka, ale gdyby zliczyć je dzień po dniu, wyszłoby trzysta sześćdziesiąt pięć sztuk tylko w jednym roku. A ile razy ona malowała się przed lustrem? Od czasów młodości średnio raz na tydzień, prawda? Ile par butów miała? Ile sukni wieczorowych? Ile zwłok sfotografowała w trakcie pracy w sekcji technicznej? A ile jej urodzin zostało unieśmiertelnionych na zdjęciu? Ile razy była w kinie? Ile przeczytała książek? Ile zjadła pizz? Ile lodów? Zawsze wydawało ci się, że pewne rzeczy robiłaś rzadko. Ale potem dodawałaś je do siebie i wychodziła liczba, jakiej sobie nie wyobrażałaś.

I ta liczba to jest właśnie twoje życie.

Ile razy wymówiła bezgłośnie imię Marcusa? Ile razy o nim myślała? Ile razy spotkali się w ciągu tych lat? Ile słów wymienili? I ile było pocałunków?

Tylko jeden.

Słońce za zasłoną chmur zniżało się nad widnokretem i Sandra nie mogła zapomnieć o tym, że w chwili, gdy poczuła się zmuszona dokonać bilansu swojego życia, była sama.

Ludzie samotni nie mają nic do stracenia, pomyślała.

Wsunęła do torebki odznakę i pistolet. Poryw wiatru z otwartego okna zgasił świece. Sandra Vega po raz ostatni spojrzała z zadowoleniem na swoje znikające odbicie w lustrze.

Jeśli Vitali chce przynęty, to ona gotowa jest umrzeć.

\* \* \*

Policjanci w Mrowisku obserwowali ekrany.

Stali przed nimi wszyscy, od zwykłych funkcjonariuszy aż po naczelnika policji; łączył ich ten sam stan napięcia. De Giorgi doglądał wszystkiego ze swej wysokiej służbowej pozycji niczym kapitan statku. Obok niego stali komendant rzymskiej policji Alberti i komisarz Crespi z wydziału zabójstw. Im dłużej Vitali przyglądał się trójce zwierzchników, tym bardziej nimi pogardzał.

Ostrzegł ich, ale oni nie chcieli go słuchać.

Żeby zrozumieć, kto spośród nich miał rację, musieli poczekać do szesnastej jedenastej. Po przekroczeniu tej granicy zachód słońca pozbawi Rzym światła i rozpocznie się druga faza tej krytycznej sytuacji.

Godzina policyjna.

Od tej chwili wystawione na próbę będą wszystkie systemy bezpieczeństwa. A wkrótce po tym przekonają się, czy zadziałają wprowadzone przez nich plany zabezpieczenia. Odpowiedź znajdowała się tu, na monitorach, które mieli przed oczami. Trzy tysiące kamer, które niczym małe patrole wartowników obserwowały ulice i place, przestawiły się już na działanie nocne. Obiektywy na podczerwień przekazywały obrazy niezwykłego Rzymu, połkniętego przez ciemności. I pustego.

Miasta widma.

Tylko nieliczne budynki – z wyjątkiem ministerstw, koszar, komisariatów i wielkich hoteli – miały własne generatory prądu. Paliwo ze stacji benzynowych i wszelkie inne źródła energii zostały skonfiskowane, żeby zapewnić funkcjonowanie urzędzeń

działających w szpitalach i centrach antykryzysowych rozsianych po różnych dzielnicach.

Ludność była zupełnie bezbronna.

To jest dyktatura technologii, rozmyślał Vitali. Ludzie doświadczają właśnie skutków tego stanu rzeczy. Technologia ułatwia życie, ale w zamian podporządkowuje. Myślisz, że masz nad nią kontrolę, a w rzeczywistości jesteś jej niewolnikiem. Ludzie właśnie wyswobodzili się z jej pęt. Ale ta wolność ich przeraża. Nie wiedzą, jak postępować w nowej sytuacji, i w ten sposób jedni stają się zagrożeniem dla innych.

Szesnasta jedenaście.

Granica została właśnie przekroczona.

Z tego, co pojawiało się na monitorach, można było wnioskować, że godzina policyjna jest przestrzegana. Polecenie pozostania w domu zostało potraktowane poważnie; na ulice nie wyległa gniewna horda. Nadzwyczajne uprawnienia przyznane policji działały odstraszająco na tych, którzy mogli mieć złe zamiary. Nikt wprawdzie nie wiedział, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami mieszkań i domów, ale i tak był to pewien sukces.

Aby go uczcić, w Mrowisku podniósł się odprężający aplauz.

Naczelnik policji wydawał się podenerwowany, w końcu jednak przyłączył się do pozostałych. Za jego przykładem poszli też komendant rzymskiej policji i Crespi. Vitali pozostał obojętny. W odróżnieniu od zwierzchników wolał zachowywać się tak, jakby chciał odegnać nieszczęście. Wszystkich czekała długa noc, a świt był zbyt daleko. Jeden z funkcjonariuszy dał mu znak. Ktoś chciał się z nim skontaktować przez radiotelefon.

– Panie inspektorze, Vega właśnie wyszła z domu.

Vitali nie był zaskoczony. Wysłał patrol pod jej mieszkanie właśnie dlatego, że się tego spodziewał.

– Dziękuję. Zaraz tam będę.

W momencie, w którym odłożył słuchawkę, zorientował się, że aplauz wokół niego nagle zamiera. Rozejrzał się i zobaczył tylko zdezorientowane twarze.

– Co się dzieje? – odezwał się ktoś i przyłączyli się do niego inni.

Naczelnik nagle sposepniał. Funkcjonariusze nie dowierzali własnym oczom, stali jak sparaliżowani. Gapili się jeszcze na monitory, ale ich miny nie wyrażały takiej radości jak przed chwilą. Vitali odwrócił się do ściany z ekranami.

Gasły jeden po drugim.

– Jak to możliwe? – spytał gniewnie De Giorgi. – Akumulatory zasilające sieć działają, prawda?

Nikt mu nie odpowiedział, ponieważ wszyscy rzucili się natychmiast do sprawdzania na terminalach powodu tej awarii.

Myślą, że to usterka techniczna, pomyślał Vitali. Biedni naiwniacy. Tymczasem w mieście trwało uszkodzanie kamer monitoringu. Tak przedstawiała się prawda, której nie byli w stanie zaakceptować.

– Połączcie mnie natychmiast z jakimś patrolem – rozkazał komendant.

Po chwili usłyszeli z głośników głos jakiegoś funkcjonariusza:

– Tu piazza del Popolo. – Podniecony mężczyzna starał się przekrzyczeć hałasy w tle. – Sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Potrzebujemy wsparcia. – Po czym dodał: – Natychmiast!

Rozległ się głuchy odgłos. Coś się tam wydarzyło i mężczyzna nagle zamilkł.

– Proszę mówić! – zawołał do niego komendant. – Proszę mi odpowiedzieć.

Vitali reagował inaczej niż pozostali i wydawał się rozbawiony. Tego rodzaju widowiska nie zdarzały się codziennie. W mieście usuwano ustanowioną władzę. Nastąpił koniec obowiązujących reguł gry. Cywilizacja kapitulowała.

Z włączonego ciągle radiotelefonu dochodziły ponure, przerażające odgłosy. Przywiodły Vitalemu na myśl końskie podkowy zapowiadające jeźdźców Apokalipsy. Ich źródłem były radosne wrzaski wymieszane z krzykami przerażenia. Dochodził huk dalekich wybuchów, dźwięk tłuczonych szyb i metaliczny



łoskot. Odgłosy strzelaniny i regularnej bitwy. Każdy w tej sali mógł je zapamiętać na zawsze. I nikt nie wiedział, co teraz robić.

Stało się, pomyślał inspektor. Właśnie zaczęła się zagłada Rzymu.

ZMIERZCH

*Czternaście godzin i trzy minuty do świtu*

Wieczór był chłodny. Burza uspokoiła się chwilowo i w powietrzu unosił się przyjemny zapach wilgoci.

Po dniu spędzonym w Mrowisku inspektor Vitali był szczęśliwy, że może odetchnąć świeżym powietrzem. Miał na sobie beżowy płaszcz narzucony na jasnoszary garnitur. Poprawił granatowy krawat tak, żeby zwisał dokładnie nad sprzączką paska od spodni. Potem odetchnął głęboko, zadowolony z chwilowego spokoju.

W tej części miasta nie było zamieszek; te koncentrowały się wokół piazza del Popolo. Panowała cisza. Siły porządkowe pospieszyły do miejsc, w których doszło do starć, więc w tej okolicy nie było widać nikogo.

Vitali wyjął z kieszeni latarkę i ruszył lśniąca od deszczu ulicą przypominającą winylową wstęgę. Jego brązowe mokasyny stukwały rytmicznie w ciszy. Inspektor czuł się niczym bohater *Słodkiego życia* Felliniego. Chętnie udałby się pod fontannę di Trevi, żeby spotkać się tam z uroczą blondynką, która kąpała się w wieczorowej sukni. Ale poinformowano go, że przed chwilą zabytkowa fontanna znalazła się w rękach kilku „artystów” zajętych zamalowywaniem białego trawertynu sprayem.

Poza tym szykował się do innego spotkania.

Podczas gdy kroczył w ciemnościach, zza rogu wyskoczył nagle i stanął przed nim mężczyzna uzbrojony w nóż.

– Dawaj portfel! – rzucił.

Vitali spojrzał na niego i w tej samej chwili domyślił się, kogo ma przed sobą. Widział już to puste, nieobecne spojrzenie. Zaczęło się, pomyślał. Nie do wiary, ale to działo się naprawdę.

Bez wahania wyciągnął spod płaszcza służbową beretę i nacisnął spust. Strzał z małej odległości odrzucił napastnika do tyłu; mężczyzna upadł na ziemię z głuchym odgłosem. Inspektor podszedł, oświetlił go latarką i spojrzał na niego z wyrzutem.

Istotą anarchii jest to, że udziela się też stróżom prawa.

Ominął zwłoki mężczyzny i ruszył dalej. Sandra Vega nie mogła czekać. Śledzący ją funkcjonariusze poinformowali go przez radio o miejscu, w którym kobieta się znajduje. Vitali zobaczył ich na via dei Coronari i dał im sygnał latarką, że są wolni. Potem zgasił ją i zaczął śledzić Vegę, trzymając się jakieś pięćdziesiąt kroków za jej plecami. Na podstawie tego, co mógł dojrzeć po ciemku, stwierdził, że jest ubrana na czarno, a z odgłosu jej kroków wywnioskował, że włożyła szpilki. Zastanawiał się, dokąd zmierza tak wystrojona i z takim spokojem.

W połowie ulicy, przy której mieściły się stare antykwariaty, Sandra Vega skręciła w prawo. Vitali przyspieszył kroku i wyjrzał zza rogu. Był to ślepy zaułek i kobieta zniknęła mu z oczu. Zdążył jednak dostrzec smugę światła w uchylonych małych drzwiach, które natychmiast się zamknęły, i domyślił się, dokąd udała się policjantka. Podszedł bliżej i odczekał chwilę. Potem postanowił zapukać.

Otworzył mu osiłek w marynarce i pod krawatem, który zlustrował go od góry do dołu.

– Słucham?

– Jestem tu z przyjaciółką, weszła przed chwilą – skłamał inspektor.

– Ma pan zaproszenie?

– Właściwie nie mam.

– To jest prywatna impreza, można wejść tylko z zaproszeniem.

Vitali nie miał ochoty ani czasu na dyskusje, ale mimo to postanowił zachować się uprzejmie. A ponieważ był pewien, że w tej sytuacji sama policyjna odznaka zbytnio mu się nie przyda, po jej okazaniu uchylił też połą płaszcza na tyle, żeby dryblas dojrzał broń w kaburze i domyślił się, jak bardzo mu zależy na wejściu do środka.

– Nie przyszedłem tu, żeby sprawić kłopoty – powiedział. – Chcę się tylko trochę rozerwać.

Tamten zastanawiał się przez chwilę, po czym zdecydował się go wpuścić.

Wskazał mu kierunek i inspektor ruszył korytarzem dla obsługi. Szybko rozpoznał znany luksusowy hotel i domyślił się, że tego wieczoru wchodzi się do niego tylnym wejściem. Wkrótce znalazł się w holu recepcyjnym.

Panował tu intymny nastrój. Wszędzie rozstawione były świece, skądś dochodziły dźwięki fortepianu. Poczuł się niezręcznie, ponieważ był jedynym z obecnych tu mężczyzn ubranym w garnitur, a nie w smoking. Panie miały na sobie wieczorowe suknie, prezentowały bez skrępowania cenną biżuterię i były uśmiechnięte. Podczas gdy świat za oknem pogrążał się w chaosie, tu ludzie zachowywali klasę i dobre maniery. Dlaczego tak nie może być zawsze? – zadał sobie w duchu pytanie. Samotne pary rozmawiały, siedząc na kanapach albo przy barze. Popijały koktajle i prowadziły niewinne pogawędki przyciszonymi głosami, żeby nie przeszkadzać innym.

Inspektor dojrzał plecy Sandry; jej długie włosy opadały na ramiona. Stała przy recepcji. Zobaczył, że odbiera dwa klucze i odchodzi w kierunku rogu wielkiego holu. Zatrzymała się obok pustego fotela. Ale zamiast usiąść, dyskretnie położyła coś na małym stoliku. A potem ruszyła w kierunku schodów i zaczęła się po nich wspinać. Vitali wykorzystał tę chwilę, żeby podejść i sprawdzić, co zostawiła z taką nonszalancją.

Jeden z kluczy do pokoju. Domyślił się, że się pomylił: prawdziwa zabawa odbywała się na wyższych piętrach.

\* \* \*

Zacząła to robić w zeszłym roku, bo wdowieństwo w wieku trzydziestu trzech lat stało się dla niej zbyt frustrujące.

Dowiedziała się o tym miejscu przypadkiem. Usłyszała jego nazwę, przysłuchując się rozmowie dwóch kobiet w szatni siłowni. Uznała to za plotkę, w którą nie należy wierzyć. Później jednak zdarzyło się jej poznać kogoś, kto tam chodził. Nie poprosiła o bliższe wyjaśnienia, żeby nie okazać zbytniego zainteresowania, ale perspektywa wydała się jej nęcąca. Po pobieżnym zbadaniu sprawy pewnego wieczoru zdobyła się na odwagę, żeby się tu wybrać i zweryfikować to osobiście.

Wszystko odbywało się dyskretnie i poza wieczorowym strojem dyskrecja była jedynym wymogiem. Spotkania odbywały się raz w miesiącu i z tej okazji hotel zamykał podwoje dla szerokiej publiczności. Goście wchodzili wejściem dla obsługi, a potem mogli robić, na co tylko mieli ochotę. Można było spędzić wieczór przy barze albo w głównym holu, prowadząc przyjazne pogawędki z nieznanymi. Albo ulotnić się z kimś do pokoju na górze.

Sandra wymyśliła dla siebie jeszcze inną rozrywkę.

Prosiła recepcjonistę o dwa klucze do tego samego pokoju, po czym jeden z nich zostawiała gdzie popadło. Na ladzie baru, w toalecie. Następnie wchodziła na górę i rozbierała się. Gasiła światło i czekała.

Czasami drzwi otwierały się i zamykały po upływie krótkiego czasu. Słyszała zbliżające się kroki, a potem czuła, że czyjaś ręka zabiera się do pieszczot. Niektórzy ograniczali się do nich, inni kładli się obok niej i uprawiali seks. Coś mówili albo milczeli. Byli tacy, którzy robili wszystko powoli, ale inni woleli dobierać się do niej szybko. Przychodzili mężczyźni, czasami również kobiety. Zwłaszcza jedna z nich była bardzo słodka; Sandra chciałaby, żeby kiedyś wróciła, ale nie pokazała się więcej. Dla niej ważne było to, by nie oglądać twarzy tych przypadkowych kochanków; nie miała pojęcia, jak wyglądają. Wolała nie uprawiać gierki,

które odbywały się na dole, w holu. Wiele słów, żeby osiągnąć wiadomy cel. Jej wystarczała ta wymiana sekretnych, niewypowiedzianych potrzeb. Gdy było po wszystkim, każde mogło wrócić do swojego świata, nic nie wiedząc o tym drugim.

Ale pewnego dnia wydarzyło się coś innego.

Do pokoju wszedł ktoś, kto nie podszedł do łóżka. Pozostał z dala, oparty plecami o zamknięte drzwi. Sandra czuła jego obecność. Słyszała oddech i wyobrażała sobie oczy, które były w stanie widzieć ją również w ciemności. Po kilku minutach nieznajomy wyszedł.

Nie była to jego jedyna wizyta. Sytuacja się powtórzyła. Za każdym razem tajemniczy gość robił krok dalej w głąb pokoju. Doliczyła się ich sześciu. Ale w końcu nieznajomy zawsze się wycofywał i znikał, nawet jej nie dotknąwszy.

Dzięki niemu dotarło do niej coś, z czego dotąd nie zdawała sobie sprawy – zrozumiała prawdziwe motywy, które stały za jej pojawianiem się w tym hotelu. Nie chodziło o perwersję. To była terapia. Zdarzają się kuracje, które są destrukcyjne, a do tego jeszcze upokarzają. Czasami jednak trzeba usuwać zło złem. A Sandra Vega była zmęczona sobą i widokiem swojego odbicia w lustrze. Dlatego musiała przeciwstawić się regułom, zamienić się w kogoś całkowicie różniącego się od osoby, którą znali wszyscy, a także ona sama. Była ciekawa, co ów nieznajomy w niej dojrzał. Przekonana, że on zna prawdę, też chciała ją poznać.

Wieczór bez prądu doskonale nadawał się na nowe spotkanie. Dlatego Sandra postanowiła spędzić go w tym hotelu. Znalazłszy się w tym samym pokoju co zawsze, przygotowała się jak zwykle do przeżycia kolejnej przypadkowej przygody. Mógł tu wejść morderca, który zabił biednego narkomana na tamtym nagraniu. Zorientowałyby się, że to on, ponieważ dałby jej najpierw czarną hostię. Zapamiętała, w jaki sposób hostia podzielała na ofiarę, która zaczęła mówić po aramejsku. Kto wie, jak zareagowałyby ona.

– Przyjdź i weź mnie – rzuciła w ciemność.

Drzwi otworzyły się i zaraz potem zamknęły. Usłyszała kroki. Wystarczyło jej wsłuchać się w nie, aby rozpoznać tajemniczego milczącego księcia, mężczyznę, który nigdy nawet jej nie musnął. Tym razem zrobił więcej kroków niż sześć i dotarł aż do łóżka. Ciągle jednak nie miał odwagi, żeby jej dotknąć. Sandra poczuła coś nowego, co nie zdarzyło się nigdy dotąd – obleciał ją strach. Postanowiła więc złamać regułę, którą sobie narzuciła, i odezwać się do niego.

– Jesteś w niebezpieczeństwie – powiedziała mu. Dzięki jakimś sekretnym fluidom zawsze domyślała się, kim jest milczący gość.

– Ty też – odszepnął Marcus.



## 2

Poczuli zakłopotanie.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa na temat powodu, dla którego oboje wiedzieli, że się tu odnajdą. Sandra skorzystała z ciemności, by się ubrać.

– Miałam nadzieję, że przyjdiesz.

Marcus nie miał doświadczenia w relacjach międzyludzkich, nie był więc w stanie zgłębić natury tej nadziei. Czy niepokoiła się o niego, czy po prostu chciała się z nim spotkać?

– Musimy jak najprędzej stąd wyjść – powiedziała. – Obawiam się, że ktoś mnie śledzi.

– Kto?

– W najlepszym wypadku pewien nudny policjant. Idąc tu, zauważyłeś kogoś dziwnego?

– Opisz mi go.

– Wysoki, szczupły, z garbatym nosem. Dziś rano miał na sobie jasnoszary garnitur, brązowe mokasyny i granatowy krawat, ale mógł się przebrać.

– Nie, nie widziałem nikogo takiego.

– Nazywa się Vitali. Jest niebezpieczny.

Nadal żadne z nich nie wspomniało o tej szczególnej okoliczności, która pozwoliła im się tu spotkać. Wydawało się rzeczą niemożliwą, żeby jeszcze przed chwilą Sandra mogła być naga i rozciągnięta na łóżku. Nie spytała go nawet, jak się dowiedział, że ona jest w tym hotelu. On nie wspomniał o poprzednich wizytach w tym pokoju. Oboje czuli się skrępowani sytuacją, w jakiej się znaleźli.

– Jesteś pewna, że ten Vitali cię śledzi?

– Wysłał za mną dwóch ludzi, którzy potem zniknęli – odparła, wciągając pończochy. – Myślę, że ich zwolnił i sam za mną ruszył.

– Przy tym wszystkim, co dzieje się w mieście, mógł zmienić swoje plany.

– Nie sędzę. W tym momencie to ja jestem głównym punktem jego planów. Wydaje mi się, że ten człowiek bardzo niechętnie wypuszcza coś z rąk... między innymi dlatego, że jego śledztwa dotyczą szczególnego rodzaju spraw. Przestępstw ezoterycznych.

Marcus uznał tę informację za godną zapamiętania.

– A konkretnie? W jakich sprawach ten Vitali prowadzi dochodzenia?

Sandra zapaliła świecę stojącą na szafce nocnej. W końcu mogli spojrzeć sobie w oczy. Doznała dziwnego wrażenia i przyszło jej na myśl, że on poczuł to samo.

– W tej chwili ty jesteś przedmiotem jego śledztwa – odparła. Wsunęła rękę pod materac i wyjęła pistolet, który ukryła tam dla ostrożności. Sprawdziła magazynek.

– Chyba nie zamierzasz strzelać do policjanta?

– Sama już nie wiem, co zamierzam. Kiedy tu szłam, widziałam dym, który podnosił się w okolicy via del Corso. Dlatego w tym momencie nie ufam nikomu.

Marcus dał jej znak, żeby zamilkła. Usłyszał jakiś cichy odgłos. Dochodził z korytarza. Odruchowo pochylił się w stronę świecy i zgasił ją. Odgłos się powtórzył. Wydawało się, że pod ciężarem czyichś kroków skrzypią deski podłogi.

W korytarzach hotelu zainstalowano lampy na baterie, żeby ułatwić gościom znalezienie pokoi. Przez szparę pod drzwiami dostawało się mdłe światło. Marcus i Sandra wpatrywali się w szczelinę, spodziewając się, że coś rozwieje ich obawy. Zobaczyli przesuwający się powoli cień czyichś butów, który minął pokój. Po chwili zawrócił jednak i zatrzymał się.

Ktoś stał za drzwiami.

Minęła dłuższa chwila w bezruchu.

– Drugi klucz – szepnęła Sandra. – Co z nim zrobiłeś?

– Wszedłem tu bez klucza – przyznał się Marcus.

– Dobry Boże – wyrwało się jej. Miała świadomość, że w każdej chwili intruz może otworzyć drzwi. A oni nie mieli możliwości ucieczki. Na razie jednak nic się nie działo. Cień ciągle stał bez ruchu, jakby na coś czekał. – Dlaczego on nie wchodzi?

– Nie wiem.

– Okno – rzuciła Sandra, mając nadzieję, że być może jest jeszcze czas na ucieczkę. – Są tu schody przeciwpożarowe, możemy z nich skorzystać, żeby się stąd ulotnić.

– Nie.

Zdecydowana odmowa Marcusa zaskoczyła ją.

– Jak to nie?

Penitencjariusz nadal wpatrywał się w szczelinę.

– Wyjdziemy drzwiami.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poczuła, że bierze ją za rękę. Sięgnęła po leżącą na podłodze torbę i szpilki, a potem ruszyła za nim, nie bardzo wiedząc, co właściwie robią.

Otworzył drzwi na oścież i przestąpił buty, które Vitali zostawił przed wejściem, żeby wprowadzić ich w błąd. Pobiegli spiesznie korytarzem, ponieważ zagrożenie mogło się kryć w każdym z sąsiednich pokoi. Za ich plecami dał się słyszeć hałas tłuczonej szyby. To on, wdarł się oknem, pomyślała Sandra. Zaczaił się na nas właśnie tam, na schodach przeciwpożarowych. Marcus przyspieszył kroku. Sandra miała świadomość, że nie mają gdzie się schować, a na opustoszałych ulicach Vitalemu nietrudno byłoby ich odnaleźć.

– Dokąd idziemy? – spytała.

Marcus usłyszał w jej głosie cień strachu.

– W bezpieczne miejsce, zaufaj mi.

\* \* \*

Vitali rzucił przekleństwo, gdy nie zastał nikogo w pokoju. Sztuczka z butami nie udała się, ale nie miał wyboru. O ile

wiedział, Vega mogła być uzbrojona. A on nie zamierzał stać się łatwym celem, stając na progu. Ta kurewka okazała się dużo bardziej przebiegła, niż przypuszczał.

Ona wcale nie będzie następną ofiarą, pomyślał. Jest w to zamieszana. Być może należy do Kościoła Zaćmienia Księżyca.

Przeskoczył jednym susem odłamki potłuczonej szyby, żeby nie zranić sobie gołych stóp, i rzucił się w stronę otwartych drzwi. Znalazłszy się na progu, wycelował najpierw z pistoletu, a potem wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył Vegę oddalającą się biegiem. Był z nią jakiś mężczyzna, który trzymał ją za rękę. Kto to może być? Inspektora kusilo, by otworzyć ogień, ale się powstrzymał. Pospiesznie wsunął na nogi pozostawione na korytarzu mokasyny i rzucił się w pościg za uciekającymi.

Zobaczył, że znikają za rogiem. Mieli nad nim niewielką przewagę, ale był w stanie ich dogonić, lecz na drodze stanęła mu jakaś inna para. Próbując ją wyminąć, potknął się i omal nie przewrócił. Utrzymał jednak równowagę, opierając się o ścianę, i ruszył biegiem. Kiedy skręcił w lewo w korytarz, stwierdził, że Vega i jej towarzysz zniknęli.

Kurwa! Dwa rzędy zamkniętych drzwi. Mogli wejść do któregośkolwiek pokoju.

Odetchnął parę razy, żeby się uspokoić, po czym włożył broń do kabury. Teraz polowanie stało się trudniejsze.

Wrócił do pokoju zajmowanego przez Vegę, mając nadzieję, że natrafi na jakąś wskazówkę. Zapalił latarkę. Ale lustrując pomieszczenie z tym pieprzonym przedmiotem w ręce, poczuł się jak głupek. Jak gliniarze radzili sobie w czasach, gdy nie było jeszcze elektryczności? To musiało być istne piekło. Teraz mieli sekcję techniczną, DNA i komputery, które umożliwiały zestawianie ze sobą tysiący wskazówek. Wobec wszystkich tych naukowych nowinek użycie podczas pościgu za podejrzanymi zwykłej latarki wydawało się czymś prostackim. Jeszcze kilka godzin temu Vitali uznawał coś takiego jak latarkę i wiele innych rzeczy za coś normalnego. Teraz nie mógł już sobie na to pozwolić. Nikt nie mógł.

Oddając się tym rozmyśleniom, zauważył pewien ślad. Gdyby miał do dyspozycji techniczne środki pozwalające go zbadać, podskoczyłby z radości. Ale i tak mógł poczuć zadowolenie.

Na nakryciu łóżka zobaczył ledwie wyschniętą, czerwoną plamkę. Krew, pomyślał. Dobrze. Towarzyszem Sandry Vegi mógł być mężczyzna, który miewa krwotoki z nosa.

### 3

Były to mieszkania, które w razie potrzeby oferowały pewne schronienie. Na przykład w sytuacji, gdy uciekał przed jakimś zagrożeniem albo chciał na jakiś czas zgubić własne ślady.

W Rzymie było ich wiele, ale Marcus znalazł tylko kilka z nich. Należały do chwalebnej przeszłości penitencjariuszy. Po oficjalnym rozwiązaniu zakonu, do którego doszło wiele lat temu z powodów odkrytych przez łowcę cieni dopiero po amnezji w Pradze, nikt nie korzystał z większości tych lokali.

Mimo to w niektórych wciąż można było znaleźć stary analogowy telefon podłączony do bezpiecznej linii, komputer z dostępem do internetu, puszki z jedzeniem czy apteczkę pierwszej pomocy z lekami i wszystkim, co było konieczne, aby na przykład opatrzyć ranę bez potrzeby udawania się do lekarza. Oczywiście były też czyste ubrania i wygodne łóżko.

Marcus korzystał już z mieszkania przy via del Governo Vecchio. Spędził w nim prawie miesiąc, ponieważ żywił podejrzenie, że ktoś zaczął go śledzić. Zachowanie tajemnicy własnej tożsamości miało dla penitencjariuszy znaczenie priorytetowe. Po raz drugi udał się do niego, żeby opatrzyć sobie ranę poniesioną, gdy uchylając się od ciosu nożem, został zadraśnięty w ramię.

Stary budynek był jedną z wielu należących do Kościoła nieruchomości poza murami Watykanu. Marcus prowadził Sandrę, przyświecając jej latarką. Żeby dotrzeć aż tutaj, skorzystali z zasłony ciemności. Czuli się dziwnie, idąc razem przez Rzym. Być może ciemności były dla nich najlepszym wymiarem.

Nad miastem znowu rozszalała się burza, byli więc oboje przemoknięci. Marcus skierował na Sandrę smugę światła z latarki i zauważył, że cała drży.

– Rozpalę ogień.

Sandra została sama. Odłożyła torbę i usiadła koło wygaszonego piecyka, ściskając ramiona i kolana z zimna. Przesunęła ręką po oparciu fotela i zorientowała się, że zebrała się na nim warstwa kurzu. Od jak dawna ten lokal pozostawał niezamieszkały? Marcus wrócił z paroma pękami gałązek i papierem. Włożył je do piecyka i wkrótce pomieszczenie oświetlił płomień. Sandra pochyliła się w kierunku trzaskającego ognia, wyciągając ręce, żeby się ogrzać. Marcus usiadł na podłodze. Dopiero w tym momencie zauważyła wyschniętą krew na jego górnej wardze. Wskazała mu ją ręką, ale się odwrócił.

– Przepraszam, nie chciałam – powiedziała. – Nadal zdarzają ci się krwawienia z nosa?

– Czasami. – Pospiesznie otarł usta grzbietem dłoni. – Jesteś głodna?

– Tak – przyznała.

– Musimy się zadowolić paroma małymi puszkami tuńczyka, ale miejsce jest przynajmniej bezpieczne.

– Wystarczą w zupełności.

– Która może być godzina? – spytał Marcus.

Sandra spojrzała na zegarek; była dopiero szósta wieczór.

– Mój Boże, mam wrażenie, że za oknem jest głęboka noc.

– Dawniej w Rzymie byli zakonnicy, którzy pilnowali, żeby w rozsianych po mieście kapliczkach nigdy nie zabrakło świec i oliwy do lamp. Nazywano ich „oświetlaczami”. Swoje działania podejmowali nie tylko w celach dewocyjnych. Odkryli, że dzięki światłu tych małych płomyczków popełniano mniej przestępstw. Zwykli ludzie czuli się bezpieczniejsi, a ci, którzy mieli złe zamiary, nie cieszyli się osłoną mroku. W ten sposób zrodził się pomysł oświetlenia publicznego.

– Nie miałam o tym pojęcia – przyznała się Sandra. – Ładna historia. – Była szczęśliwa, kiedy Marcus mówił, mogłaby go

słuchać godzinami, siedząc przy ogniu, przy którym stopniowo pozbywała się uczucia chłodu.

Zapadło milczenie i trwało odrobinę za długo; ich spojrzenia, które zwykle tylko się muskały, tym razem nie mogły się nie spotkać.

Marcus przerwał tę zaczarowaną ciszę.

– Pójdę poszukać ci suchego ubrania.

Zanim się oddalił, Sandra chwyciła go za rękę.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– Wiem – odparł, wpatrując się w podłogę.

\* \* \*

Znalazł pudło z ubraniami. Oprócz ciemnej kurtki z kapturem nie było w nim nic więcej, co pasowałoby na Sandrę. Miał nadzieję, że znajdzie też parę butów, żeby zmienić białe tenisówki, które miał na nogach, ale szczęście mu nie dopisało.

Wrócił do Sandry z kurtką i kocem. Przyniósł też puszkę tuńczyka, kilka opakowań krakersów i dwie małe butelki wody mineralnej.

Sandra urządziła mały piknik obok piecyka. Jedli w milczeniu skromny posiłek, ale i tak było to przyjemne.

Marcus odezwał się pierwszy. Zaczął od końca.

– Obok trupa człowieka zwanego Zabawkarzem znalazłem kartkę, na której było wypisane twoje imię.

– Kto je napisał?

– Ja.

Jego odpowiedź zdziwiła Sandrę.

Marcus opowiedział jej o tym, co zdarzyło mu się w Tullianum, o tym, w jaki sposób udało mu się uniknąć tortury głodowej, a także o kartce znalezionej razem z medalikiem Michała Archanioła. *Znajdź Tobiego Frai.*

– Jak tam trafiłeś? – spytała.

– To jest właśnie problem: nie pamiętam. Być może podążałem jakimś śladem i nie doceniłem zagrożenia.



– Przejściowa amnezja...

– Gdybym mógł choćby przypomnieć sobie sprawę, którą się zajmowałem, byłoby mi teraz dużo łatwiej.

– A czy odkryłeś, kto to jest ten Tobi Frai?

– Tak – odparł natychmiast Marcus. – Ale dojdziemy do tego za chwilę...

Postanowił sprzeciwić się poleceniom Battisty Erriagi i ślubom zachowania tajemnicy składanym przez penitencjariuszy. Opowiedział jej o śmierci biskupa Artura Gordy, o „obroży rozkoszy”, za pomocą której został zamordowany na odległość, o białych tenisówkach, takich samych jak te, które miał na nogach, i o Zabawkarzu zjadanym żywcem przez muchy. I dopiero na koniec o lalce, która miała ludzki kształt.

– To była wierna podobizna chłopca zaginionego dziewięć lat temu w pobliżu Koloseum, o którym nie było więcej żadnych wiadomości – dodał. – Nazywał się Tobi Frai. A biskup Gorda miał starą gazetę z wiadomością o jego zaginięciu.

Marcus zachował dla siebie tylko tę część całej historii, w której musiałyby wspomnieć o Corneliusie Van Buren. Obecność na terenie Watykanu uwięzionego tam seryjnego zabójcy była jedyną tajemnicą, której nie chciał zdradzać. Nie wspomniał też o bulli Leona X i jej możliwym związku z tatuażami w postaci niebieskich kółek, które odnalazł na ciałach dwóch ofiar.

– Tenisówki, kartki wydarte z tajemniczego notatnika, techniki tortur stosowane w celu zadawania śmierci, zaginięcie chłopca dziewięć lat temu... – podsumowała Sandra, żeby sprawdzić, czy dobrze wszystko zrozumiała. – Mamy całkiem dużo elementów.

– Mamy? – spytał Marcus. – Nie chcę wciągać cię zbyt głęboko w tę historię.

– Nawet jeśli tego nie pamiętasz, na jednej z tych kartek napisałeś moje imię. Zresztą o tym, żeby mnie w to wciągnąć,

pomyślał już ten potwór, który pozostawia za sobą szlak usiany trupami. Umieścił moje zdjęcie w pamięci pewnej komórki.

– O czym ty mówisz?

– Wczoraj wieczorem... – Zawiesiła na moment głos. – Kurczę, wydaje mi się, że minęła wieczność... W każdym razie wczoraj wieczorem taksówkarz znalazł w swoim samochodzie telefon komórkowy. Było w nim moje zdjęcie. Ale również amatorski film, na którym jakiś facet morduje narkomana, zmuszając go do wypicia sody kaustycznej. Nie przypomina ci to czegoś?

Tortury, pomyślał natychmiast Marcus.

– Zabójca zmusił ofiarę do przełknięcia czarnej hostii, a wtedy ten człowiek zaczął mówić starożytnym językiem aramejskim. Wzywał jakiegoś Władcę Ciemności. I miał na przedramieniu dziwny tatuaż.

– Niebieskie kółko – uprzedził ją odruchowo Marcus.

Sandra wlepiała w niego wzrok.

– Znalazłeś je również na innych ofiarach, prawda?

Wyczytał na jej twarzy wyraz zawodu, że ukrył to przed nią.

– Nie zrozumiałabyś tego – próbował się usprawiedliwić.

– Czego miałabym nie zrozumieć? Historii z papieżem Leonem Dziesiątym? Tego, że członkowie Kościoła Zaćmienia Księżyca podczas nocy, w których Księżyc znika w cieniu rzucanym przez Ziemię, dopełniają tajemniczych rytuałów?

Mogło się wydawać, że Sandra Vega wie więcej niż on.

– W jaki sposób odkryłaś to wszystko?

– Opowiedział mi o tym w tajemnicy zaprzyjaźniony komisarz. – Crespi chciał ją w ten sposób osłonić, powinna mu być dozgonnie wdzięczna. – Poinformował mnie też, że Vitali poszukuje dowodów na te ezoteryczne praktyki. Ma na tym punkcie prawdziwą obsesję.

Marcus nie wiedział, co powiedzieć.

– Ostrzegłaś mnie w hotelu, że coś mi grozi. Dlaczego?

– Ponieważ na tym pieprzonym telefonie z taksówki, oprócz mojego zdjęcia i filmu, była twoja krew. Pochodząca z nosa.

Marcus sięgnął po butelkę wody i podniósł się. Zaczął chodzić po pokoju. Cienie od płomieni w kominku zdawały się chodzić za nim, wciskając mu się bezceremonialnie między nogi.

– Ktoś próbuje nas wrobić – odezwał się po chwili.

– Kto?

– Ten sam człowiek, który zadreńczył na śmierć tego narkomana z nagrania, a potem biskupa i Zabawkarza.

– I próbował wyeliminować ciebie w Tullianum – przypomniała mu Sandra.

– Myślę, że zdobył moją krew po tym, jak straciłem przytomność, a potem umieścił ją na komórcie jako coś w rodzaju zabezpieczenia. W ten sposób policja dostała wskazówkę, żeby polować nie na niego, lecz na mnie.

Sandra słuchała go bez najmniejszego ruchu.

– Ktoś za tym musi stać – rzuciła po chwili.

– Myślę, że tak, i tak mi się wydawało od samego początku. Nie wiem, co ten ktoś zamierza, ale jak dotąd zabił w świadomie brutalny sposób trzech członków Kościoła Zaćmienia Księżyca. Jestem coraz bardziej przekonany, że celowo zostawił mi możliwość przeżycia, ale nie wiem dlaczego. Bo inaczej po co miałby zmuszać mnie do połknięcia kluczyka od kajdanek? Dzięki mnie skierował Vitalego na fałszywy trop.

Sandra doszła do wniosku, że ta teoria ma ręce i nogi.

– Właśnie do tego posłużyła komórka w taksówce. Być może to śledztwo, którego nie pamiętasz, prowadziłeś w tej samej sprawie co inspektor: obaj polowaliście na niego. Otrzymał szansę, żeby się wam wymknąć za pomocą jednego posunięcia, i wykorzystał ją: pokrzyżował plany Vitalemu, a z ciebie zrobił cel jego polowania.

– No i wrobił ciebie, żebyś doprowadziła tego inspektora prosto do mnie.

Sandra zachmurzyła się. Teraz wszystko stało się już jasne. Przypomniała sobie, jak Vitali opisywał zabójcę. *Mamy do czynienia z zupełnie nowym rodzajem kryminalisty, innym niż ci,*

których znamy. Znacznie bardziej wynaturzonym i niebezpiecznym.

Popatrzyła na Marcusa.

– On ma do wykonania jakieś zadanie i nie chce, żeby go aresztowano – powiedziała.

– Tak, ale jakie?

Sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać.

– Wiem, co zrobimy – rzuciła. – Wypiszemy znane nam elementy i przeanalizujemy je jeden po drugim.

– Zapisywanie takich rzeczy jest niebezpieczne.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Nie popadaj w paranoję. Przy tym wszystkim, co tej nocy dzieje się za oknami, mielibyśmy martwić się paroma zapiskami na temat pozbawionego skrupułów zabójcy?

Penitencjariusz ciągle był przekonany, że to nie jest rozsądna decyzja, ale ustąpił.

Sandra znalazła papier i długopis i ponownie podsumowała elementy:

– Trzy ofiary: biskup, Zabawkarz i narkoman, którego tożsamości nie znamy.

Po czym zapisała to, co wiedzieli.

*Sposób zadawania śmierci: dawne sposoby torturowania.*

*Białe tenisówki (Marcus i biskup Gorda).*

*Czarna hostia (narkoman).*

*Wytatuowane niebieskie kółko: Kościół Zaćmienia Księżyca.*

*Poświęcanie niewinnych ofiar.*

*Zaciemnienie miasta – papież Leon X.*

*Tajemniczy notatnik.*

*Tobi Frai.*

Podala wykaz Marcusowi, żeby sprawdził, czy czegoś nie brakuje.

– Moja amnezja – dodał natychmiast.

– Uznałam ją za element przypadkowy. Nie sądzę, żeby mieściła się w planach zabójcy, bo nie mógł jej u ciebie wywołać. Pewne jest jednak to, że w tym miał szczęście, bo nie możesz sobie przypomnieć, jakim tropem podążałeś, zanim znalazłeś się w Tullianum.

– Mimo to chciałbym, żebyś ją dopisała. Ciągle nie wiem, dlaczego napisałem na tych kartkach twoje imię, a także imię i nazwisko zaginionego chłopczyka. To nie pasuje do mojego sposobu postępowania.

– Owszem, to jest anomalia – zgodziła się z nim Sandra. Pamiętała, na czym polega metoda Marcusa, ponieważ widziała go przy pracy i była tym wówczas zszokowana. Dodała u dołu listy:

*Element przypadkowy: przejściowy zanik pamięci u Marcusa.*

– Dobrze, od czego zaczniemy? – zapytała po chwili.

– Od chłopca – odparł penitencjariusz. – Zaginięcie Tobiego to jedyna pewna rzecz, jaką mamy. Musimy się domyślić jego związku z Kościołem Zaćmienia Księżyca.

*Znajdź Tobiego Frai.*

– Chodzi o przypadek niewyjaśniony, ten trop jest już martwy – przypomniała mu Sandra. – Ślady wyparowały, a zeznania świadków uległy przeinaczeniu fałszywymi wspomnieniami.

– W tamtym okresie proszono jednak ludzi, którzy w chwili zaginięcia znajdowali się w pobliżu Koloseum, o przysłanie zdjęć i filmów do komendy. – Marcus przedstawiał to, o czym przeczytał w starej gazecie. – A ponieważ chodzi o miejsce tłumnie uczęszczane i o wiosenne popołudnie, śledczy mieli nadzieję, że odtworzą to, co przydarzyło się chłopcu, dzięki zdjęciom zrobionym w sposób całkowicie przypadkowy przez przechodniów i turystów.

Sandra zastanawiała się chwilę.

– Nie będzie to łatwe – odezwała się w końcu – ale być może wiem, od czego zacząć poszukiwania. Istnieje specjalne

archiwum dla tego rodzaju przypadków... Tylko że jak tam  
dotrzemy przy tym chaosie, który zapanował na ulicach Rzymu?  
Marcus wiedział, jak to zrobić.

## 4

Sandra Vega nie znosiła szcurów.

Od dziecka były jej koszmarem. Pewnego razu w Mediolanie, gdzie się urodziła, zobaczyła olbrzymiego szcúra, który w biały dzień zaatakował biednego gołębia, a potem zaczął go pożerać. Dlatego przemierzając z Marcusem rzymskie kanały ściekowe, żeby dotrzeć do celu, przez cały czas miała się na baczności, bo obawiała się, że w każdej chwili zobaczy całe stado tych gryzoni wyłaniających się z mroku.

Podziemia miasta stanowiły labirynt, na który składały się różnego rodzaju instalacje rurowe, kanały ściekowe i cenne pozostałości dawnych czasów – katakumby, resztki antycznych ruin, a nawet cmentarze. Sandra była przekonana, że Rzym powinien zostać uznany za wielkie, z pietyzmem zachowane muzeum, wolne od wszelkich nowoczesnych ingerencji. A to, że w tym muzeum żyły miliony ludzi, wydawało się jej po prostu absurdem.

Marcus poruszał się w rzymskich podziemiach z dużą swobodą. Wielokrotnie korzystał z nich, żeby przemieszczać się bez przeszkód z jednego miejsca do drugiego. Mógłby nawet zgasić latarkę i iść dalej po ciemku. W pewnej chwili otworzyło się przed nimi duże pomieszczenie. Penitencjariusz oświetlił jego sklepienie i pokazał Sandrze pokrywające je wspaniałe freski.

– Co to za miejsce? – spytała oczarowana biesiadnymi scenami.

– Willa patrycjusza – wyjaśnił, a potem wskazał mężczyznę, któremu towarzyszyła kobieta. – Widzisz tę parę? To są gospodarze tego domu.

Malarz przedstawił scenę, w której dwoje młodych nowożeńców przyjmowało dary ogrodu, żeby przekazać je gościom.

– Nikt nie zna ich imion – dodał. – Ale mimo upływu setek lat oni nadal uśmiechają się do nas i dają nam do zrozumienia, jak bardzo są szczęśliwi.

W tym wyjaśnieniu było coś cudownego. Sandra nie mogła powstrzymać się od porównania tamtej pary z nimi. Nigdy nie przeżyli razem chwili szczęścia. Być może nie było im to przeznaczone. Powodem ich nielicznych spotkań zawsze było jakieś złowrogie zagrożenie.

– Musimy iść dalej – ponaglił ją Marcus; opuścił latarkę i zdobiące sklepienie freski znowu pograżyły się w trwających od wieków ciemnościach.

Podjęli marsz i w pewnej chwili natrafili na mur uniemożliwiający dalszą wędrówkę.

– I co teraz? – spytała Sandra.

– Teraz musimy wyjść na powierzchnię.

Wdrapali się po metalowej drabince i wyszli na via San Vitale, kilkadziesiąt metrów od pałacu komendy policji. W drzwiach garaży panował ciągły ruch wyjeżdżających i powracających patroli z włączonymi syrenami. Sandra pociągnęła Marcusa za kurtkę i schowali się za rogiem. Gdy tylko zapanował chwilowy spokój, nasunęła sobie na głowę kaptur i przebiegli przez jezdnię, kierując się do położonego naprzeciwko budynku – siedziby archiwów sekcji technicznej. Mimo prośby o przeniesienie z jednostki technicznej Sandra zachowała klucze do wejścia. Modliła się tylko, żeby w międzyczasie nie zmienili zamka. Kiedy klucz obrócił się w zamku, westchnęła z ulgą.

Budynek był pusty również dlatego, że w samym środku tej pograżonej w chaosie nocy nikt nie mógł pozwolić sobie na marnowanie czasu przy tych teczkach.

– To co nas interesuje, jest na dole – powiedziała Sandra.

\* \* \*



W tym miejscu przechowywano akta niewyjaśnionych śledztw.

W zagrzybionych podziemiach znajdował się istny labirynt wysokich regałów. Według makabrycznej legendy powtarzanej przez policjantów można tu było usłyszeć głosy zmarłych, którzy nie doczekali się sprawiedliwości i wykrzykiwali w ciszy imiona swoich katów.

Sandra nawet nie próbowała sprawdzić, czy generatory komendy dostarczają prąd do budynku. Chociaż znajdowali się w podziemiu, zapalenie światła nie byłoby rozropne.

– Tobi Frai nie został odnaleziony, więc teczki z jego sprawą muszą znajdować się gdzieś tutaj – wyjaśniła, zabierając się do szukania.

Podczas gdy z latarką w ręce sprawdzała po kolei regały, Marcus przyglądał się jej z boku.

– Są – rzuciła w końcu.

Tomów z napisem *Tobi* było aż osiem. Sandra zdjęła z półki jeden z dużych zakurzonych skoroszytów i położyła go na stole. Na okładce znajdował się spis treści. Raporty, zestawienia danych, setki plików przechowywanych na starych płytach DVD.

– Najpewniejszy sposób zablokowania śledztwa to pogrzebanie go pod górą papierów – powiedziała ze zmartwioną miną.

W materiałach były zdjęcia. Tysiące fotografii zrobionych przez turystów i przechodniów.

Na oczach Marcusa Sandra otworzyła segregator i natychmiast natknęła się na dokument, który syntetyzował śledztwo.

– Mówi się tu tylko, że Tobi Frai zniknął i nigdy więcej się nie pokazał... Takie ple, ple, ple. Żadnego śladu, żadnej poszlaki... Dziewięć długich lat i absolutna cisza. – Wydawało się to niemożliwe. Również dlatego, że chłopiec zaginął w miejscu obleganym przez turystów. – Z pewnością w pobliżu Koloseum przebywały setki osób, zwłaszcza że było to popołudnie pod koniec maja. Jak to możliwe, że nikt niczego nie zauważył?

Do przeglądania zdjęć i filmów przysłanych spontanicznie do komendy zatrudniono dziesiątki funkcjonariuszy, ale nie znaleziono niczego. Na fotografiach Tobi był zawsze w towarzystwie matki, dwudziestosześcioletniej kobiety o imieniu Matilde.

Zakłopotany Marcus milczał, podczas gdy Sandra nie była w stanie ukryć frustracji.

– Nawet jeśli w tych materiałach znajduje się coś interesującego, nigdy do tego nie dotrzemy. Trzeba by na to miesięcy, może lat. – Odwróciła stronicę i delikatny podmuch powietrza sprawił, że na podłogę sfrunął jakiś papier. Pochyliła się, żeby go podnieść.

Była to notatka złożona z wypisanych ręcznie liczb. 2844. 3910. 4455. Kartka została wyrwana z notesu.

Po raz trzeci w ciągu niewielu godzin Marcus rozpoznał własne pismo. Podniósł wzrok i rozejrzał się.

– Byłem tu – mruknął cicho. Ale nie mógł sobie tego przypomnieć.

– Jak to możliwe? – Sandra nie mogła w to uwierzyć. – Jak się tu dostałeś?

– Nie wiem – musiał przyznać skonsternowany. – To ja wypisałem te liczby, nie mam wątpliwości.

– A więc jak myślisz, co one oznaczają?

Ta koszmarna amnezja wróciła znowu, żeby go dręczyć, a tymczasem on nie mógł pozwolić sobie na dekoncentrację, nie w tym momencie.

– Dobrze, spróbujmy się nad tym zastanowić. – Anomalie, pomyślał. – Zostawiłem tu tę kartkę, żeby podsunąć jakąś informację, więc jeśli moim zamiarem było zakomunikowanie czegoś, wyjaśnienie tej zagadki nie powinno być trudne.

– Fotografie – powiedziała Sandra. – Jedyłą odpowiedzią, jaka przychodzi mi na myśl, jest to, że chodzi o numery zdjęć znajdujących się w teczkach.

Zdjęli z półki pozostałe siedem skoroszytów i zaczęli je kartkować. Każde zdjęcie opatrzone było kolejnym numerem.

W końcu znaleźli trzy fotografie z numerami wskazanymi na kartce.

Położyli je jedną obok drugiej. Na pierwszej była pani w średnim wieku w kwiecistych szortach, sportowej koszulce i żółtej czapce z przezroczystym daszkiem. Uśmiechała się do obiektywu, pozując obok mężczyzny przebranego w kostium rzymskiego centuriona. W tle widać było Łuk Konstantyna i grupę wycieczkowiczów. Właśnie wśród nich zaczęli szukać chłopca w czapce z emblematem Romy. Ale Tobiego nie było.

Tym razem anomalię dostrzegła Sandra. Odnosiła się do człowieka, który kręcił się samotnie wśród turystów.

– Już gdzieś go widziałam – powiedziała, wskazując go Marcusowi.

– Znasz go?

Nie osobiście, miała ochotę powiedzieć.

– To narkoman z nagrania w komórce, ten, który został zamordowany. – Być może należałoby powiedzieć, że wymierzano mu sprawiedliwość.

– Od chwili zrobienia tego zdjęcia minęło wiele lat. Jesteś pewna, że to właśnie on?

Czarna hostia. Zdania w języku aramejskim. Władca Ciemności. Mężczyzna na zdjęciu był oczywiście młodszy i jeszcze nie całkiem zeszepecony przez swój nałóg, ale Sandra nie miała wątpliwości.

– Tak – potwierdziła.

Drugie zdjęcie przedstawiało grupę ludzi. Pielgrzymi na wycieczce wraz z proboszczem, z pewnością zadowoleni, że do programu wizyt w świętych miejscach włączono także Koloseum. Mężczyzna z poprzedniej fotografii stał obok kiosku z pamiątkami, plecami do obiektywu.

Jednak dopiero trzecie zdjęcie naprawdę ich zszokowało. Panoramiczne ujęcie znanego pomnika przeszłości obejmujące przystanek metra, a przede wszystkim toalety publiczne. Mężczyzna stał dokładnie przed nimi.

I trzymał za rękę małą dziewczynkę.

– Co to...? – Sandra nie mogła się w tym połapać.

Marcus od razu domyślił się prawdy, ale to odkrycie wcale go nie ucieszyło.

– Natychmiast po porwaniu chłopca zaprowadził go do toalety i zmienił mu ubranie. – Musnął palcem białą sukieneczkę na zdjęciu.

Jego delikatny gest nie uszedł uwagi Sandry – podkreślał, jak łatwo było sprawić, że Tobie rozpułynał się w nicości. Przez tak długi czas szukali na zdjęciach chłopczyka. Mylili się. Niewielu ludzi jest w stanie określić płeć trzyletniego dziecka. Policjanci, ale także zwykli ludzie obecni w tym miejscu tamtego wiosennego popołudnia, dali się oszukać swoim przyzwyczajeniom. Doświadczenie nauczyło ich, że dziecko ubrane jak dziewczynka jest dziewczynką.

– Kościół Zaćmienia Księżyca porywa Tobiego... Ale w jakim celu? – zapytała głośno Sandra.

Oboje obawiali się odpowiedzi.

– Być może będziemy musieli postawić sobie pytanie, dlaczego porwano właśnie Tobiego – zauważył Marcus.

– Co masz na myśli?

– Ile dzieci było tego dnia koło Koloseum? Czy porywacz wybrał przypadkową ofiarę?

– Uprowadził niepilnowaną zdobycz, wykorzystując chwilę nieuwagi matki – powiedziała Sandra.

– Skąd mamy wiedzieć, że potoczyło się to właśnie tak?

– Jeśli dobrze się zastanowić, okolica idealnie nadawała się do porwania. Bo gdzie łatwiej jest porwać małego niż w miejscu, przez które ustawicznie przewija się tłum ludzi?

Marcus nie był o tym przekonany.

– Jednak z tego samego powodu istnieje też ryzyko, że się nie uda – argumentował. – Dlaczego na uprowadzenie dziecka nie wybrać miejsca mniej strzeżonego?

– Chcesz powiedzieć, że wybór tego miejsca wydaje ci się zbyt przypadkowy? – spytała Sandra.

– Tego nie wiem, ale można też przyjąć, że był w tym jakiś ukryty cel. Że Tobi Frai nie był takim samym dzieckiem jak inne. Że był dla nich ważny.

– W takim razie co teraz?

– Musimy się dowiedzieć, dlaczego tak mogło być.

## 5

### *Jedenaście godzin i dwadzieścia trzy minuty do świtu*

Blondynka ze sklepu z telefonami miała na imię Caterina i bardzo się bała.

Rufo Karaluch mógł to wyczytać z jej twarzy, gdy przyglądał się dziewczynie w ulewnym deszczu. Stał na balkonie przed jej oknem. Wdrapał się aż na piąte piętro, korzystając z wyposażenia do wspinaczki, które miał w plecaku. Był doskonale widoczny przez szybę, ale Caterina nawet nie spojrzała w jego kierunku. Mały mózdzek mówił jej, że przecież zagrożenie nie może przyjść z tej strony. Siedziała na podłodze, opierając się plecami o ścianę, wpatrzona z niepokojem w drzwi wejściowe. Trzymała w ręce zgaszoną latarkę, ale otoczyła się zapalonymi świecami. Otuliła się puchową kołdrą i miała pod ręką wszystko, co mogło się jej przydać w trakcie długiej bezsennej nocy – książkę, której miała nawet nie otworzyć, butelki z wodą, której nie było jej pisane się napić, pudełko czekoladowych ciastek, których miała nie skosztować. Pomyślała nawet o tym, żeby położyć koło siebie wielki kuchenny nóż.

Jesteś sama, biedna Caty. A samotność to nieszczęście dla takich ślicznotek jak ty. Przez to, że oglądałaś się za wszystkimi, teraz nie masz narzeczonego, który by cię obronił.

Rufo Karaluch przytwierdził mocno kamerę GoPro do kasku. Nadszedł moment realizacji planów.

Gdy szyba rozleciała się na tysiąc odłamków, Caterina zdążyła się tylko odwrócić w zdumieniu. Nie zdołała zrobić nic innego. Chwycić za nóż czy krzyknąć. Nie była wystarczająco bystra, by

się domyślić, że napastnik, który wskoczył przez okno i teraz podchodził do niej wielkimi krokami, stanowi zagrożenie, na które w gruncie rzeczy czekała aż do tej chwili. Karaluch miał dość czasu, żeby stanąć przed nią i pozbawić ją przytomności ciosem prosto w twarz. Dokładnie tak: nieśmiały i grzeczny chłopak, któremu pewnego razu demonstrowała telefon komórkowy, okazał się wystarczająco silny i zdecydowany, żeby potraktować ją w taki sposób. Rufo zaatakował ją z nieosłoniętą twarzą, ponieważ był pewien, że dziewczyna nigdy nie połączy go z tym, co zdarzyło się kilka miesięcy wcześniej, bo – jak wszystkie inne – natychmiast o nim zapomniała.

Zemdlała. Chwycił ją za nogi i rozciągnął na podłodze. Potem dobył zza paska własny nóż – jedynego przyjaciela, który nigdy go nie zawiódł – i użył go, żeby zerwać z niej tę śmieszoną pluszową piżamę. Kiedy ściągnął z niej bluzkę, ukazały mu się dwie ogromne piersi, różowe i jędrne. Na ich widok Rufo nie mógł powstrzymać się od zachwyty. Pochylił się nad nią, żeby ją powąchać, pewien, że dziewczyna rozsiewa słodkie i ciepłe zapachy – szkoda, że kamera nie rejestruje również tego. Zamknął oczy i zrobił głęboki wdech. Potem włożył jej rękę między nogi i wyczuł wilgoć. Posikała się, pomyślał. Co oznaczało, że naprawdę musiał napędzić jej strachu. To dobrze, łatwiej będzie w nią wejść. Penis już mu stwardniał. Poczuł przelotne ukłucie w dole brzucha, pamiętkę po spotkaniu parę godzin temu z tym pieprzonym Psujem. Przeklął go pod nosem. Po powrocie do garażu obłożył jądra lodem i miał wrażenie, że tam na dole wszystko funkcjonuje już jak należy. Spuścił spodnie, zsunął spodenki i pochylił głowę z umocowaną do czoła kamerą GoPro, żeby nagrać godne tego zbliżenie. Potem jedną ręką pociągnął do dołu piżamę dziewczyny razem z różowymi majteczkami. Dotknął członkiem miękkiego jasnego owłosienia i w tym momencie – po raz drugi tego dnia – poczuł, że coś ścisną żelaznym chwytem jego przyrodzenie.

– Ty skurwysynu – szepnął mu do ucha obcy głos, wydzierając z niego piskliwy, rozdzierający krzyk bólu.

Rufo utracił kontakt ze wszystkim, co go otaczało. Oczy zaszyły mu mgłą i przeraził się, że zemdleje. Nie był w stanie pojąć, co się dzieje. Ktoś wyrywał mu z korzeniami jaja, a jednocześnie silnym szarpnięciem zerwał mu z głowy kamerę, tak że nie wiadomo, gdzie wylądowała. Chwilę potem napastnik, który właśnie dokonał gwałtu na gwałtciele, odezwał się do niego po imieniu:

– Rufo, mój przyjacielu.

Karaluch nie był pewien, czy go zna. Na pewno jednak nie był to ten stary Psuj, który już raz zepsuł mu zabawę. To był ktoś nowy, a bardziej z tonu jego głosu niż z siły, z jaką nieznajomy ścisnął mu jądra, Karaluch domyślił się, że tym razem będzie mu naprawdę trudno ująć z tego z życiem. Zaczął robić w pamięci przegląd tych, którzy mogli mu źle życzyć. Musiała nasłać go na mnie matka, doszedł do wniosku. Ale zaczynał już majaczyć.

Nieznajomy pociągnął go do góry i z dziwną delikatnością postawił plecami do ściany. Karaluch chwycił się mocno rękami za krocze, przymknął oczy i przez łzy, które niepowstrzymanym strumieniem zalewały mu pole widzenia, zobaczył jakiegoś gościa w beżowym płaszczu, który wygładzał sobie granatowy krawat włożony do jasnoszarego garnituru. Na nogach miał obrzydliwe brązowe mokasyny.

– Czego chcesz ode mnie? Znamy się? – spytał Karaluch resztkami tchu.

– Niekoniecznie – przyznał Vitali. – W zasadzie dopiero niedawno odkryłem, coś ty za jeden. Być może będzie lepiej, jeżeli najpierw przedstawimy się sobie, nie uważasz? – Po czym rąbnął go pięścią w brzuch.

Karaluch zgiął się z bólu wpół.

– Jesteś gliną – stwierdził pewnym siebie głosem. – Tylko wy tak bijecie.

– Bystry chłoptaş z ciebie, Rufo. Zaskakujesz mnie. Nie podejrzewałem nawet, że możesz być inteligentny.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał łamiącym się głosem Karaluch.

– Niedawno złożyłem wizytę w twoim garażu i miałem okazję podziwiać twój mały biznes. Gratuluję... Ale następnym razem



staraj się nie zostawiać śladów po tym, co właśnie kombinujesz.

Rufo Karaluch był w stanie znieść wszystko oprócz krytyki. Przyprawiała go o szaleństwo.

– Czego chcesz ode mnie? Forsy? Mam dość na boku, musisz tylko poczekać do jutra rana, a dostaniesz tyle, ile będziesz chciał.

Vitali pokręcił głową.

– Wydaje ci się, że można mnie kupić?

– Nie wiem, sam mi to powiedz. – Chłopak poczuł dreszcz na plecach i to wrażenie mocno mu się nie spodobało.

– Słuchaj no, Karaluch, potrzebuję tylko twojej pomocy. – Inspektor ugiął się w kolanach, żeby lepiej go widzieć. – Jakiś czas temu spędziłeś dwa miesiące w szpitalu z powodu uszkodzonego kręgu i zmiędzonych jaj. Okazałeś się strasznym idiotą, składając skargę, bo to dzięki temu cię znalazłem.

Tak, to była prawda: okazał się skończonym idiotą, zwracając się do policji, ale był tak wkurzony, że chciał się zemścić na gościu, przez którego znalazł się w tak żalonym stanie.

– Zeznałeś, że zostałeś napadnięty przez faceta, który chciał cię obrabować. Opisałeś go całkiem dokładnie: około czterdziestki, ciemne oczy i włosy oraz blizna na lewej skroni. Zgadza się?

Rufo Karaluch przytaknął.

– Potem dodałeś szczegół, który mnie uderzył. Powiedziałeś, że w pewnym momencie, chociaż nawet go nie dotknąłeś, facet zaczął krwawić z nosa.

On nie poluje na mnie. Szuka Psuja, pomyślał Rufo. Być może nie muszę rozstawać się z nadzieją, że wyjdę z tego cało.

– W sumie, biorąc pod uwagę działalność, jakiej się poświęcasz, pomyślałem, że być może historia tamtego napadu była kolosalną bujną i że prawdopodobnie swoim doniesieniem chciałeś się tylko zemścić na gościu, który wygarbował ci skórę.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie znam go – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Ale masz fart, bo był dzisiaj u mnie. – Zauważył w oczach gliniarza nagły błysk. Tak, może z tego wyjdę, wystarczy dobrze zagrać

kartami, jakie mam w ręku. – Chciał, żebym go zaprowadził do domu jednego gościa, który mieszka w dzielnicy Parioli... nazywają go Zabawkarzem.

– I co się stało potem?

– Nic, ponieważ gościa nie było w domu. Ale w jednym z pokoi znaleźliśmy coś dziwnego... Była tam taka lalka, naturalnej wielkości podobizna chłopca, który zaginął dziewięć lat temu. Wiedziałem nawet, jak on się nazywał, bo kiedy byłem dzieckiem, gazety i telewizja mówiły tylko o nim.

– Kto to był?

– Miał na imię Tobi, ale nazwiska nie pamiętam.

Nie szkodzi, pomyślał Vitali. Sam się tego dowiem.

W tym momencie dziewczyna skulona na puchowej kołdrze ocknęła się. Widząc dwóch obcych w swoim mieszkaniu, zaczęła wrzeszczeć.

– Jestem policjantem! – krzyknął do niej Vitali, pokazując odznakę. – Bądź dzielna.

Dziewczyna umilkła i zaszyła się w kącie pokoju.

Inspektor odwrócił się znowu do Rufa.

– Giovanni Rufoletti... Zaspokój moją ciekawość i powiedz mi, dlaczego wolisz, żeby zwracali się do ciebie per Rufo?

– Tak jest fajniej.

– Masz rację, sam powinienem się tego domyślić. Przepraszam.

Vitali wyprostował się, wyjął spod marynarki pistolet i strzelił, celując w prawe kolano chłopaka.

Wrzask Karalucha był niemal głośniejszy niż huk wystrzału. Przerażona dziewczyna zakryła sobie uszy.

Jedyną osobą w pokoju, która zachowała spokój, był Vitali.

– Nazwisko gościa, który ma te krwawienia z nosa – rzucił rozkazująco.

– Nie znam go – odparł Karaluch przez łyżę. – Ja nazywam go Psujem, bo już raz zepsuł mi dobrą zabawę.

Drugi pocisk trafił go w lewe kolano. Następne wrzaski.

– Jego nazwisko – powtórzył policjant i nie czekając na odpowiedź, wycelował w udo i znowu nacisnął spust.

Kompletnie zdesperowany chłopak nie odzywał się już.

– Reguły gry wyglądają tak: będę strzelał, dopóki nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć – zagroził Vitali. – Jeżeli wcześniej umrzesz, będzie to oznaczało, że naprawdę nie znasz tego nazwiska.

Strzelił znowu. Raz, drugi, trzeci. Już nawet nie celował, robił to na chybił trafił. Karaluch podskakiwał niczym lalka z gałganków. Kiedy Vitali doszedł do wniosku, że wystarczy, dobił go śmiertelnym strzałem w środek czoła. Ręce chłopaka opadły wzdłuż boków. Zwalił się z wytrzeszczonymi oczami i sflaczałym fiutem, który wystawał mu ze spuszczonej spodni.

Vitali odwrócił się do jasnowłosej dziewczyny.

– Wszystko dobrze?

Przerażona blondynka poczołgała się w jego kierunku, szukając schronienia. Przywarła do jego nóg. Trzęsła się. Potem uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Dzięki – powiedziała głosem pełnym wdzięczności. – Uratował mi pan życie.

Vitali wsunął pistolet do kabury i pogłaskał ją po głowie.

– Nie ma za co, moja mała. Nie ma za co. – Potem sięgnął ręką do spodni i pociągnął za suwak zamka błyskawicznego.

## 6

Kiedy zapukali do drzwi jej mieszkania w dzielnicy Esquilino, nie spodziewali się, że Matilde Frai otworzy dwojgu nieznajomym. Ale zrobiła to.

– Jesteśmy z policji – powiedziała Sandra, mając nadzieję, że wystarczy okazać jej legitymację. Wyciągnęła rękę, żeby oświetliło ją światło świecy w ręce kobiety.

Marcus trzymał się o krok za jej plecami, prawie niewidoczny na mrocznym podeście schodów.

– Czego sobie życzycie? – spytała Matilde. Ale w jej głosie nie było niedowierzania ani nawet podejrzliwości. Po prostu tak szorstko odnosiła się do ludzi.

– Chcielibyśmy porozmawiać o Tobim.

Słowa Sandry powinny wywołać u niej wstrząs, ale wyglądało na to, że Matilde spodziewała się ich.

– Proszę – rzuciła, usuwając się na bok, żeby ich wpuścić do środka.

Poprowadziła swych gości wąskim korytarzem, przyświecając sobie świecą. W mieszkaniu panował ziąb z powodu braku ogrzewania. Było małe i utrzymane w porządku, ale przenikał je silny zapach nikotyny. Matilde zaprowadziła ich do kuchni. Marcus zauważył, że nie podjęła specjalnych kroków zalecanych przez władze na czas przerwy w dostawie prądu. Nie zabarykadowała się, nie miała przy sobie broni czy czegoś, czym mogłaby zagrozić ewentualnemu włamywaczowi. Nie miała nawet latarki i prowadziła ich ze świecą, którą zapaliła przed chwilą. Był pewien, że przed ich wizytą siedziała po ciemku. Od stołu odsunięte było krzesło, a obok stojącej na blacie

popielniczki leżały dwie paczki cameli i zapalniczka. Matilde ani na chwilę się stąd nie oddaliła. Spędziła dzień na paleniu papierosów.

– Zaparzyłabym kawę, ale kuchenka nie działa.

Przerwano dostarczanie do domów gazu, pomyślała Sandra. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby uniknąć pożarów, których nikt nie byłby w stanie ugasić.

– Nic nie szkodzi, niech się pani tym nie kłopotuje.

Matilde Frai usiadła na swoim miejscu i nie pytając, czy nie będzie im to przeszkadzało, przypaliła następnego papierosa.

– Nie zabawimy długo – obiecała Sandra. – Tylko parę pytań i zaraz się wynosimy.

Marcus nadal się nie odzywał, uzgodnili, że będzie mówić przede wszystkim ona.

– Sama nie wiem, skąd się wzięło we mnie tyle zaufania, że wpuściłam was do środka – odparła kobieta i roześmiała się nerwowo. – Podczas takiej nocy jak dzisiejsza nikt nie powinien być sam, nie uważacie państwo?

Penitencjariusz zorientował się, że mimo ostentacyjnego okazywania spokoju w rzeczywistości kobieta stara się ukryć zdenerwowanie. Być może chciała poznać prawdziwy powód, dla którego tu przyszli, ale zabrakło jej odwagi, żeby o to zapytać.

– Wiem, że to może być bardzo bolesne – zastrzegła Sandra. – Ale chcielibyśmy, żeby odtworzyła nam pani tamto majowe popołudnie sprzed dziewięciu lat.

Matilde zaciągnęła się głęboko dymem, potem wydmuchnęła go powoli.

– A gdybym odmówiła?

Ona udaje, Marcus był tego pewien. W przeciwnym razie dlaczego natychmiast ich nie wyprosiła? Ta kobieta chce tylko, żeby ją proszono, ale wyłącznie dlatego, że cały stan jej posiadania ogranicza się do tej tragicznej historii. Domyślił się tego zaraz po wejściu do mieszkania i rozejrzeniu się po nim: Matilde Frai nie miała już nic, czym mogłaby się podzielić ze światem zewnętrznym.

– Niech pani tego nie robi – powiedział.

Kobieta odkaszlnęła.

– Tobi poprosił mnie, żebym zaprowadziła go do Koloseum. Podobają mu się ci przebierańcy w strojach gladiatorów. – Mówiąc o synku, użyła czasu terażniejszego. – Nie jesteśmy bogaci. Mam dyplom z literatury starożytnej i filologii i to pozwala mi udzielać co jakiś czas lekcji łaciny, ale wiąże koniec z końcem tylko dzięki sprzątnięciu. Więc kiedy Tobi prosi mnie o coś, co nie kosztuje drogo, zaspokajam jego życzenia. Przejazdka metrem, porcja lodów, to prośby łatwe do spełnienia, prawda? Kilka dni wcześniej kupiłam mu czapkę z emblematem Romy. Znalazłam ją na straganie za pięć euro. Pamiętam ciągle jego minę, kiedy mu ją wręczyłam. Nie mógł w to uwierzyć. Nigdy jej nie zdejmuje. – Uśmiechnęła się, ale ze smutkiem. – Tamtego popołudnia poszliśmy na spacer i pokazywał mi różne rzeczy, zadając pytania. Na przykład: „Mamo, po co jest ten łuk?”, „Mamo, dlaczego gladiatorzy mają na hełmie szczołkę?”. Znacnie tę fazę, jaką przechodzą dzieci, kiedy mają mniej więcej trzy lata... – Zaciągnęła się znowu papierosem. – To był śliczny dzień, słoneczny. Nie pamiętam dokładnie, jak to się odbyło. Wiem tylko, że na chwilę wypuściłam z dłoni jego rączkę, potem odwróciłam się do niego, ale jego już nie było.

Sandra wyczuła, że kobieta wkłada pewien wysiłek w przedstawienie tego momentu.

– Zaczęłam go szukać, myślałam, że może tylko gdzieś pobiegł. Ale nie chciałam oddalać się zbyt od tego miejsca, bo wtedy on mógłby stracić mnie z oczu. Zatrzymałam kilka osób i zapytałam, czy zauważyli może chłopca w czapce z logo Romy. Kręcili tylko głową i szli dalej, jakby nie chcieli, żebym wciągnęła ich do tej koszarnej sprawy. Dopiero gdy zaczęłam głośno wykrzykiwać imię Tobiego, parę osób rzeczywiście się mną zainteresowało. Przechodził właśnie patrol policji, zatrzymałam ich i poprosiłam o pomoc. Potem ktoś powiedział, że zbyt późno zawiadomiłam policję i być może tak było. Tak naprawdę nie

wiem, ile minęło czasu, wtedy wiedziałam tylko, że mój synek zniknął. – Zaciągnęła się jeszcze raz i rozgniotła niedopałek kciukiem w popielniczce. – To wszystko. – Zawiesiła na chwilę głos, a potem dodała: – Ludzie wyobrażają sobie, że takim tragediom towarzyszą zawsze jakieś wyjątkowe okoliczności. Tymczasem najgorsze rzeczy dzieją się właśnie tak, zwyczajnie. – Utkwiła wzrok w jakimś niesprecyzowanym miejscu przed sobą.

Marcus zauważył, że spogląda w stronę drzwi. Zobaczył kreski na ścianie, było ich około dwudziestu. Szły od dołu ku górze. Każda była w innym kolorze i towarzyszyła jej inna data. Ostatnia na samej górze była zielona, a obok widniał napis: *103 cm – 22 maja*. Po dziewięciu latach te znaki należały do nielicznych śladów, jakie pozostawił po sobie na świecie Tobi. Dziecko, które nie mogło już rosnąć, które teraz powinno mieć dwanaście lat, ale na zawsze pozostało przy trzech. Przypomniawsobie lalkę naturalnej wielkości, którą widział w domu Zabawkarza, i przeszedł go dreszcz.

– I co się wydarzyło potem? – spytała Sandra.

– Sprawą zainteresowały się gazety i telewizja. Na początku ludzie byli solidarni ze mną. Ale wszystko się zmieniło, kiedy pojawiły się zdjęcia i filmy. Podejrzenia obudziło to, że mój synek był na nich zawsze przy mnie. Najpierw zabrali głos zwykli ludzie... jak to się zawsze dzieje. Nie potrafili wybaczyć mi tego, że jestem samotną matką, że nie mam męża, towarzysza życia, mężczyzny, przy którym Tobi mógłby się wychowywać. Uznali, że zasłużyłam na tę karę, i stąd wzięła się nieufność w ich głowach. Ale w gruncie rzeczy ich rozumiem... Trudno jest pogodzić się z czymś tak nieprawdopodobnym jak myśl o „zgubieniu” kogoś, kogo się kocha. Ludzie osądzają takie przypadki, ponieważ są przekonani, że im się to nigdy nie przytrafi. – Matilde pokręciła głową. – Dziennikarze byli tego samego zdania. Nie musieli nawet pisać tego w swoich artykułach, zadowalali się samym insynuowaniem. Nikt nie chciał mi już wierzyć. Policjanci nie mówili tego otwarcie, ale wyczuwałam, że ich stosunek do mnie się zmienił. Zwątpili we

mnie i w moje opowieści. Uważali, że być może zrobiłam coś swojemu dziecku... oczywiście, coś złego. Nie mieli na to dowodów, wiedziałam jednak w duchu, że przestali szukać porywacza, licząc na to, że znajdą dowody przeciwko mnie. Pozostawało kwestią czasu, aż pewnego dnia zadzwonią do moich drzwi i wyprowadzą mnie w kajdankach... Chcecie coś wiedzieć? Miałam to w nosie. – Przypaliła następnego papierosa. – W tym momencie przestało mnie obchodzić, że mogą mnie aresztować i wydać wyrok skazujący. Skoro i tak miałam spędzić resztę życia bez Tobiego, nie liczyło się, gdzie je spędzę. W więzieniu czy w tym mieszkaniu, nie widziałam różnicy. Kara była taka sama. Ponieważ wszyscy mieli rację w jednym punkcie: jedyną osobą, która tamtego popołudnia mogła zapobiec zniknięciu Tobiego, byłam ja.

Sandra spojrzała na Marcusa. Oboje czuli się winni, że obudzili w tej kobiecie na nowo tamte bolesne przeżycia. Tym razem odezwał się penitencjariusz.

– Pani Frai...

– Proszę mi mówić Matilde.

– Dobrze, Matilde... Pewnie zada sobie pani pytanie, dlaczego przyszliśmy tu właśnie tej nocy. Przyjęła nas pani, ponieważ być może wyobraża sobie pani, że mamy do zakomunikowania jakąś nowinę.

– Nie jestem zaskoczona tym, że przyszliście – odparła prędko kobieta. – Przeciwnie, czekałam na was. Nie na was dwoje, oczywiście, ale miałam nadzieję, że ktoś się zjawi, żeby mi pomóc.

Marcus i Sandra znowu wymienili spojrzenia. Żadne z nich nie rozumiało, co ta kobieta ma na myśli.

– Pomóc pani? – spytała policjantka.

Matilde próbowała znaleźć właściwe słowa, żeby nie wyjść na wariatkę. W końcu postanowiła opowiedzieć po prostu, co się jej przydarzyło w ostatnich godzinach.

– O siódmej czterdzieści rano, kiedy brakowało tylko minuty do planowego wyłączenia prądu, zadzwonił telefon. Podniosłam



słuchawkę, ale usłyszałam tylko trzaski i zakłócenia. Potem w słuchawce odezwał się głos Tobiego.

Informacja zszokowała oboje gości. Ale nie zareagowali, ponieważ chcieli usłyszeć, co było dalej.

Matilde prędko wysondowała ich reakcję, żeby podjąć decyzję, czy powinna ciągnąć swoją opowieść.

– Trwało to tylko parę sekund – dodała – ponieważ po wyłączeniu prądu połączenie się urwało.

– Co pani dokładnie usłyszała? – spytał Marcus.

– „Mamo, mamo, przyjdź i zabierz mnie stąd, mamo”. Dziwna rzecz, ale pomyślałam o tym dopiero później. Odniosłam wrażenie, jakby nie był to głos dwunastoletniego chłopca, ale trzyletniego. Uświadomiłam sobie wtedy, że to przecież niemożliwe, że musiałam się przesłyszeć, że to była halucynacja.

Marcus słyszał ten sztucznie wytworzony głos i te same słowa wychodzące z ust lalki Zabawkarza, pamiętał też o ciągle działającym telefonie bezprzewodowym, który widział na podłodze. Kobieta nie wymyśliła sobie tego i nie był to produkt jej wyobraźni. Wszystko było zgodne z prawdą. Połączenie musiało wyjść z domu w dzielnicy Parioli. Ale w jakim celu ktoś miałby dręczyć tę biedną kobietę?

W samym środku ciemnej i burzliwej nocy, przy świetle jedynej świeczki palącej się w tej skromnej kuchni, zajmowali się właśnie wywoływaniem ducha niewinnej istoty. Żadne z nich nie wiedziało, co może się jeszcze zdarzyć.

– Wierzę pani – powiedział penitencjariusz, wprawiając w zdumienie Sandrę.

Matilde wydawała się zaskoczona. Być może nie spodziewała się, że spotka się z tak wielkim zrozumieniem.

– Myśli pan, że to naprawdę był mój synek? – Zadała to pytanie ze łzami w oczach.

– Nie, ponieważ jest niemożliwe, żeby ciągle miał taki sam głos jak wtedy, gdy zaginął – odparł Marcus. – Ale przyszliśmy do pani, ponieważ szukamy odpowiedzi na różne pytania.

Obawiamy się, że Tobie został przez kogoś porwany, i pomogłoby nam ustalenie, czy został wybrany przypadkiem, czy też nie.

Kobieta wydawała się poruszona jego słowami.

– Modliłam się zawsze, żeby się okazało, że mojego synka porwała kobieta, która nie mogła mieć dzieci. Byłoby to lepsze niż jakiś psychopata czy pedofil, prawda?... Bo któż inny mógł zainteresować się dzieckiem biednej dziewczyny, która została matką?

– Nie wiemy tego – skłamała Sandra, która uzgodniła z Marcusem, że nie wspomną o Kościele Zaćmienia Księżyca. – Ale byłoby nam łatwiej, gdybyśmy mogli poznać tożsamość jego ojca.

Matilde nie odpowiedziała. Podniosła się, sięgnęła po popielniczkę i choć były w niej tylko dwa niedopałki, poszła wypróżnić ją do kubła na śmieci.

– Gdybym wam powiedziała, że nie wiem, uwierzylibyście mi? – Nie zaczekała na odpowiedź. – Pamiętam, że byłam na jakimś przyjęciu i poczułam się źle. Miesiąc później odkryłam, że jestem w ciąży. Jesteście w stanie wyobrazić sobie, jakim to było dla mnie wstrząsem? Miałam zaledwie dwadzieścia dwa lata, nie wiedziałam nic o życiu ani o tym, jak się wychowuje dziecko. Aż do tego czasu żyłam poza światem.

Sandra zadała sobie pytanie, co matka Tobiego chce przez to powiedzieć, postanowiła jednak nie zgłębiać tej kwestii od razu, żeby jej nie przerywać.

– W pierwszej chwili pomyślałam, żeby się go pozbyć, bo się wstydziłam. Moja rodzina nie byłaby w stanie zrozumieć czegoś takiego. Już i tak przysporzyłam im wiele bólu, nie zasługiwali na kolejne cierpienia...

– Chwileczkę – przerwała jej w tym momencie Sandra. – O jakim bólu pani mówi? Co takiego się stało, zanim zaszła pani w ciążę?

– Jak to? Nie ma tego w waszych raportach? Myślałam, że policja wie o mnie wszystko. – Matilde wpatrywała się w nich. – Krótko po ukończeniu dwudziestego drugiego roku życia

porzuciłam śluby zakonne... Przed wydaniem na świat Ciebie  
byłam zakonnicą.

Ulice w dzielnicy Esquilino były zalane wodą. Wrócił rześisty deszcz.

Marcus uniósł ciężką kratę i przytrzymał ją, wskazując Sandrze drabinkę, po której zamierzali zejść pod ziemię. Sandra miała ciągle na nogach zawrotnie wysokie szpilki, a schodzenie utrudniał jej dodatkowo strach przed szczurami. Przyszła jej do głowy pewna myśl i wyjęła z torebki smartfona. Ponieważ linie telefoniczne nie działały z powodu wyłączenia prądu, niemal zapomniała, że ma ten telefon. Pomyśleć tylko, że podobnie jak wiele innych osób jeszcze kilka godzin temu była od niego prawie całkowicie uzależniona. Teraz mogła go wykorzystać tylko w jeden sposób, jako źródło światła. Przed rozpoczęciem schodzenia uruchomiła światło mikrokamery i skierowała je w głąb czarnej studni u swoich stóp. Gdy jednak od celu dzieliło ją tylko kilka szczebli, komórka wysliznęła się jej z ręki i spadła z głuchym odgłosem na dno. Dotknęła stopą ziemi i w tym momencie migające światełko zaczęło błyskać jak oszalałe. Sandra nie zmartwiła się tym zbyt. Miała nadzieję, że te rozbłyski przegonią czyhające na nią gryzonie.

Niedługo potem oboje znaleźli się znowu w podziemnym tunelu.

Marcus ruszył przodem z latarką w dłoni, Sandra starała się dotrzymać mu kroku. Od chwili, gdy opuścili mieszkanie Matilde Frai, nie zamienili jeszcze ani słowa.

Zakonnica. Ta kobieta rzeczywiście była siostrą zakonną. Sandra bezskutecznie starała się usunąć tę informację z pamięci.

– Myślisz, że on nie żyje, prawda? – odezwała się.

– Tak – odparł Marcus. – Minęło dziewięć lat. – Nie miał co do tego wątpliwości.

Sandra wyczuwała gniew penitencjariusza. W tym człowieku było poczucie sprawiedliwości, które nie miało nic wspólnego ze sprawami ziemskimi. I często zapominał, że jest księdzem. Miała ochotę zapytać go, skąd ta pewność, że Kościół Zaćmienia Księżyca zamordował chłopca, ale zadała mu inne pytanie:

– Możemy zatrzymać się na chwilę?

Zwolnił kroku i odwrócił się. Sandra oparła się o jakąś rurę i rozcierała sobie kostki u nóg.

– Dobrze – powiedział. – Tak czy owak, nasze tropy kończą się na tym. Nie mamy nic więcej do odkrycia.

– Jeżeli naprawdę myślisz, że Tobi nie żyje, to czy nie chciałbyś znaleźć ludzi odpowiedzialnych za jego śmierć? Nie chcesz spojrzeć im w oczy i zapytać, dlaczego zamordowali niewinne dziecko?

– Jest ktoś, kto zabija ich po kolei w sposób coraz bardziej wymyślny i straszliwy. Dlaczego miałbym mu to utrudniać?

Sandra zdawała sobie sprawę, że nie mówi poważnie i prawdopodobnie przemawia przez niego gniew. A ponieważ sądziła, że zna go dobrze, była mimo to pewna, że chciałby się dowiedzieć, co mu się przydarzyło, zanim stracił pamięć, i dlaczego został uwięziony w Tullianum. Musiała go tylko trochę uspokoić.

Marcus usiadł na ziemi, natomiast ona oparła się o kamienną ścianę. Chociaż było jej niewygodnie, wolała to niż zabrudzone podłoże. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę. Sandra sprawdziła, czy smartfon przetrzymał upadek. Działał, ale w trakcie serii błysków, które zaobserwowała, zrobił automatycznie trochę zdjęć. Widoki tunelu, który zostawili za plecami, oglądane pod różnymi kątami. Sandra zaczęła usuwać je po kolei z pamięci. Zatrzymała się jednak przy piątym.

Na utrzymanym w półcieniu zdjęciu widać było wyraźnie czyjeś nogi.

\* \* \*

Marcus zobaczył, że jego towarzyszka prostuje się nagle i gorączkowo szuka czegoś w torebce. Wyjęła pistolet i wycelowała z niego w ciemność, z której właśnie wyszli. Nie musiał czekać, aż mu to powie – i domyślił się, że nie są sami.

Podniósł się i podszedł do niej z latarką. Skierował snop światła w głąb tunelu i ukazały się w nim trzy postacie. Młodzi wykolejeńcy, być może nawet bezdomni. Byli uzbrojeni. Dwaj mieli w rękach ciężkie metalowe sztaby, a trzeci trzymał pistolet. Mogło to być tylko wrażenie, ale Sandra rozpoznała w ich oczach nieobecne spojrzenie, niemal jak w transie, takie, jakie zaobserwowała u narkomana na filmie z komórki, tego, którego zmuszono do połknięcia czarnej hostii i wypicia sody kaustycznej.

– Czego chcecie?! – zawołała.

Żaden z trójki nie odpowiedział.

– Jestem z policji, nie prowokujcie mnie. – Było to zgodne z prawdą, ale ile razy strzelała od czasu, gdy poprosiła o przeniesienie do biura paszportowego? Owszem, uczestniczyła w comiesięcznych obowiązkowych sesjach na strzelnicy, ale nie była pewna, czy potrafi jeszcze obchodzić się z bronią.

Marcus zauważył, że drżą jej dłonie. Bywał już w trudnych sytuacjach, lecz ta wydała mu się wyjątkowo groźna.

Tamtych trzech zaczęło się zbliżać.

– Chcemy tylko zamienić parę słów – odezwał się jeden z nich, starając się mówić przyjaznym tonem. – Wypalimy sobie trawkę i pogadamy, jak podzielić między siebie tę lalunię.

Dwaj pozostali wybuchli śmiechem.

– Chyba nie zamierzasz zatrzymać jej dla siebie? – spytał któryś z tej dwójki.

Penitencjariusz musiał szybko coś wymyślić. Mogliby uciec, on poruszał się tu na dole bez trudu. Ale co by się stało, gdyby przypadkiem zgubił Sandrę? Mimo wszystko musieli zaryzykować i dać nura w ciemność.

Ujął ją za rękę i pociągnął o krok do tyłu. Sandra domyśliła się, że Marcus ma jakiś plan, i kiwnęła głową, żeby dać mu do zrozumienia, że ruszy za nim.

Zgasił latarkę i odwrócił się, gotów do ucieczki.

Jakby w reakcji na niewidoczny znak, trzech osobnicy rzucili się nagle w ich kierunku. Marcus i Sandra słyszeli ich kroki i zdawali sobie sprawę, że są coraz bliżej. Sandra nawet ich sobie wyobrażała – przypominali jej nocne drapieżniki. W pewnym momencie poczuła, że coś muska jej głowę... Czyjaś ręka? Przeszedł ją dreszcz odrazy i strachu. Wyobraziła sobie, że jedna z tych nocnych bestii chwyta ją za włosy, a ona traci kontakt z Marcusem i pada na plecy. Któryś z nich ciągnie ją do swojej nory. I tam pada ofiarą ich najbardziej prymitywnych instynktów.

– Nie damy rady – rzuciła.

– Biegnij – ponaglił ją Marcus.

Nie miała pojęcia, dokąd się kierują, poczuła tylko, że tunel zaciska się wokół nich. Nagle za ich plecami błysnęło mocne światło. Niemal w tej samej chwili rozległ się huk trzech strzałów, jeden po drugim. Usłyszeli głuchoe odgłosy trzech padających ciał.

Napastnicy zwalili się na ziemię, nie wydając z siebie nawet oddechu.

\* \* \*

Marcus i Sandra odwrócili się i zobaczyli zbliżające się światło latarki. Penitencjariusz zareagował błyskawicznie; wyrwał pistolet z ręki Sandry i wycelował w człowieka, który dopiero co oddał trzy strzały.

– Stój – rzucił rozkazująco.

Nieznajomy mężczyzna posłuchał i zatrzymał się koło trzech trupów, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie żyją. Potem skierował światło na siebie, żeby mogli stwierdzić, z kim mają do

czynienia. Sandra rozpoznała inspektora Vitalego, który ścisnął w ręce wierną beretkę.

– Dobry wieczór, przyjaciele. – Inspektor ucieszył się widokiem ich zaskoczonych min. Dobrze się stało, że postanowił rozejrzeć się za nimi pod domem Matilde Frai. A o to, że ich tam szukał, tych dwoje mogło mieć pretensje tylko do Rufa Karalucha, ponieważ to on podał mu imię zaginionego malca, Tobiego. Odpoczywaj w pokoju, Karaluchu.

– Ty sukinsynu – syknęła Sandra.

– Jak to? – Inspektor udał, że jest oburzony. – Tak ma wyglądać podziękowanie za to, że uratowałem wam skórę?

– Mam wątpliwości, czy teraz jesteśmy bezpieczni.

Bardziej niż przed chwilą, pomyślał Vitali. Czyżby ta Vega nie widziała, co się kryło w oczach tamtych trzech?

– Możesz poprosić swojego przyjaciela, żeby opuścił broń. A potem mogłabyś mi ją oddać, nie wydaje ci się?

Sandra odwróciła się do Marcusa.

– Nie słuchaj go – rzuciła.

– Co za nieufność! – Inspektor poprawił pozycję, żeby ułatwić sobie celowanie. – Wolałbym porozmawiać z wami w sposób kulturalny, ale jak sobie życzycie. Chciałbym ci jednak przypomnieć, Vega, że dopiero co pokazałem, jak się uśmierca trzech biegnących ludzi, nie marnując na to więcej niż trzech pocisków.

Zdawała sobie sprawę, że w ewentualnej wymianie ognia Vitali mógł się okazać tylko lepszy.

– Proponuję układ – powiedziała.

– Słucham.

– Wymianę informacji.

Vitali zastanawiał się chwilę.

– Mogę spróbować, ale najpierw wy... Ten twój kumpel... Co to za jeden?

– Nie mogę ci tego zdradzić – odparła Sandra.

Inspektor z poirytowaniem pokręcił głową.

– Rozpoczynamy nie najlepiej – zauważył.



– To nie jest zabójca z filmu w komórce – zapewniła go Sandra.

– A krew na telefonie? Chcesz mi powiedzieć, że twój przyjaciel nie cierpi na krwawienie z nosa?

Marcus zadał sobie pytanie, skąd on się o tym dowiedział.

– Nie patrz tak na mnie. – Vitali się roześmiał. – Szepnął mi to do ucha pewien karaluzek.

Rufo, pomyślał penitencjariusz. Jeśli ten inspektorek wykorzystał go, żeby dotrzeć do mnie, to znaczy, że jest naprawdę cwany.

– Nie rozumiesz tego? – natarła na Vitalego Sandra. – Ktoś chce nas dopaść, dokładnie w miejscu, w którym się znajdujemy. Wmieszał w to jego, żeby cię wpuścić w maliny, a dzięki zdjęciu w komórce użył mnie jako przynęty, żebym cię do niego doprowadziła. Wykorzystuje nas wszystkich.

– Tylko kto to może być, ten ktoś?

– Tego nie wiemy.

– I dlaczego to robi?

– Żeby bez przeszkód zabijać członków Kościoła Zaćmienia Księżyca.

Wydawało się, że jej słowa zszokowały Vitalego.

– Co wiesz o tym Kościele?

– Dziewięć lat temu jego wyznawcy porwali Tobiego Frai, prawdopodobnie po to, żeby go zabić.

Na twarzy Vitalego pojawił się wyraz niedowierzania.

– Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

Sandra nigdy by mu nie wyjawiała, że wszystko to wie od komisarza Crespiego.

– Daj spokój, inspektorze – prychnęła. – Doskonale wiesz, o czym mówię. Kościół Zaćmienia wchodzi w zakres twoich śledztw, które mają klauzulę czwartego stopnia poufności.

– Nie wiem, kto może być dla ciebie źródłem informacji, ale zastanów się chwilę. Jeśli moje śledztwa mają stempel czwartego stopnia... to twoim zdaniem naprawdę mógłbym zacząć je omawiać z każdym, kto mi się nawinie?

Poczuła się skołowana. Przyszło jej na myśl, że to kolejny blef Vitalego.

Inspektor dostrzegł wahanie w jej oczach i zaatakował jeszcze mocniej.

– Pomyśl tylko, Vega, ile osób w policji może mieć naprawdę dostęp do akt czwartego stopnia poufności?

Marcus nie rozumiał, co się dzieje, ale zauważył, że Sandrę zaczynają ogarniać wątpliwości. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, w tunelu dał się słyszeć narastający hałas. Jakby delikatne tupotanie kroków, niczym zbliżające się wojsko.

Zamilkli.

Nagle posadzka pod ich stopami ożyła.

Sandra Vega wydała głośny pisk. Całą trójkę niespodziewanie zaskoczyła inwazja szczurów.

– O kurwa, co za obrzydliwość! – krzyknął Vitali, unosząc na zmianę stopy w drogich brązowych mokasynach, żeby nie deptać oszalałych zwierząt. – Skąd się tu wzięły te przekłete szczury?

Marcus jako pierwszy domyślił się, że gryzonie przed czymś uciekają.

– Tyber – powiedział, a potem chwycił Sandrę i potrząsnął nią, starając się ją otrzeźwić. – Musimy natychmiast stąd uciekać.

Inspektor odwrócił się i poczuł dochodzący z za jego pleców fetor cuchnącej wody. Nie bacząc na buty, puścił się biegiem razem ze szczurami.

\* \* \*

Nadeszła w końcu powódź, której obawiano się tak bardzo przez cały dzień. Rzeka dopadła ich i nie potrzebowała do tego zbyt wiele czasu. Zalała tunel, atakując całą trójkę, która rzuciła się do ucieczki, miotając się pośrodku morza szczurów. Światło jedynej latarki zgasło niemal natychmiast.

Sandra ścisnęła Marcusa mocno za rękę, ale on mimo to obawiał się, że ją zgubi. Tak naprawdę nie miał żadnej pewności, że uda się im uniknąć utopienia. Pociągnął ich prędko z impetem

nurt wody. Penitencjariusza uderzył w brzuch jakiś szczątek, prawdopodobnie pień drzewa. Kolejny rąbnął go w kark. Sandra całkowicie straciła orientację i ze wszystkich sił trzymała się ręki Marcusa. Próbowała uwolnić się od torebki, która zaczęła jej ciążyć. Potem poczuła, że coś ciągnie ją w dół. Pomyślała, że zaklinował się w czymś pasek od torebki. Ale nie, to czyjaś ręka wdrapała się po nim i chwyciła ją za ramię.

Mimo że nie mogła go zobaczyć, była pewna, że to Vitali.

Szturchnęła go. Raz, potem drugi. Bez skutku. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać bez powietrza. Potem instynkt samozachowawczy zmusił ją, żeby bezsensownie zaczerpnęła oddechu. Zaczęła wciągać do płuc wodę.

Tracąc panowanie nad sytuacją, zauważyła tylko, że pasek torebki zsuwa się jej z ramienia, a palce Vitalego słabną i uwalniają ją.

Marcus poczuł, że Sandra nie trzyma się już tak mocno, jak przedtem. Straciła przytomność, pomyślał. Do jego płuc dostawała się lodowata i mulista woda; wkrótce również on mógł zemdleć. Musiał coś zrobić, zanim będzie za późno.

Oparł stopę o ścianę tunelu i odepchnął się w górę. Wypłynął pod sklepieniem, gdzie utworzyła się duża bańka powietrza. Chwycił się ręką jakiejś rury. Potem pociągnął za sobą Sandrę, obejmując ją wolnym ramieniem. Postanowił sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Przyciągnął ją do siebie i przyłgnąwszy ustami do jej ust, zaczął szukać w niej śladów życia. Dzięki Bogu oddychała jeszcze, choć bardzo słabo. Przytrzymując się ciągle rury, spróbował przesunąć się do przodu; wykorzystywał do tego silny prąd, ale tak, żeby nie porwał go znowu. Pokonali w ten sposób co najmniej pięćdziesiąt metrów i wreszcie Marcus wyczuł podmuch powietrza dochodzącego z góry.

Domyślił się, że znajdują się bezpośrednio pod studzienką.

Wymacał żelazną drabinkę, która prowadziła do góry. Ułożył sobie bezwładne ciało Sandry na ramionach i rozpoczął trudną wspinaczkę. Udało mu się otworzyć pokrywę, popychając ją mocno prawym ramieniem. Poczuł na twarzy drobne kropelki

deszczu i w tym momencie zrozumiał, że się im udało. Obawiał się przez chwilę, że tu, na górze, pojawi się kolejny wezbrany potok, ale wylewający Tyber nie zdołał dotrzeć po pochyłości do miejsca, w którym się teraz znajdowali.

Penitencjariusz położył Sandrę na asfalcie i przystąpił do sztucznego oddychania. Po jakimś czasie zaczęła wypluwać wodę i kasłać.

– Dobrze się czujesz?

– Tak... Myślę, że tak – odparła, podnosząc się z trudem. Czuła jeszcze na wargach ciepło ust Marcusa.

Oboje mieli świadomość, że dopisało im szczęście. Sandra popatrzyła na ślady pozostawione przez palce Vitalego na jej lewym przedramieniu. Inspektor z pewnością nie żył. Jednak w tym momencie ich uwagę przykuł inny widok.

Przed nimi, u stóp wzgórza, triumfująca rzeka i ogień pożarów wzięły w posiadanie centrum Rzymu.

Erriaga potrzebował przeszło dwóch godzin na dotarcie pieszo do pałacu Kancelarii Apostolskiej. W normalnym dniu pokonanie tej odległości z jego mieszkania wymagało najwyżej dwudziestu minut marszu.

Ten dzień nie był jednak podobny do innych.

Oślonięty tylko płaszczem i czarnym kapeluszem kardynał szedł tuż obok strefy, w której wybuchły pierwsze zamieszki. Za każdym razem, gdy tylko dostrzegł kogoś na ulicy, chował się w jakimś załomie z nadzieją, że nie zostanie zauważony. Widział pożary, których deszcz nie był w stanie ugasić, słyszał ryk Tybru, którego wezbrane wody przedzierały się przez obwałowania. Ale największe wrażenie wywarły na nim spojrzenia kilku osób, które kręciły się po ulicach wolnych od gwałtów – puste, niemal zmartwiałe.

*Przepowiednia Leona X... Znaki...*

Najpierw zapanowały ciemności wskutek wyłączenia prądu. Potem przyszła woda – za sprawą burz i zagniewanej rzeki. Wreszcie ogień pożarów. A w końcu musiała nadejść ta „zaraza”.

Nieszczęście, które dotknęło dusze mieszkańców, nie miało w sobie nic z przypadku, było częścią szerszego planu. Ci, którzy jeszcze niedawno byli ludźmi, zamienili się w jakieś nowe istoty. W coś przenikniętego złem.

Nowymi władcami Rzymu stali się buntownicy. Policja z trudem próbowała ich poskromić.

Erriaga dotarł zdrów i cały pod pałac, który od wieków gościł Trybunał Dusz. Przeżegnał się, zapukał do olbrzymiej bramy i zaczął czekać.

Otworzył mu jeden z kancelistów czuwających nad funkcjonowaniem świątobliwego sądu.

– Dobry wieczór, eminencjo – pozdrowił go młody ksiądz i poprowadził ze świecznikiem w dłoni.

Razem weszli na wielkie schody z marmuru wypolerowanego stopami tych, którzy wspinali się nimi przez długie stulecia.

– Co się stało? – spytał Adwokat Diabła. – Dlaczego to takie pilne? – Ciągle miał w oczach czarną chorągiew wywieszoną na dachu w celu zwołania nadzwyczajnego posiedzenia.

– Przypadek, którego nie można było odłożyć na później.

– Chodzi o umierającego grzesznika, tak?

– Tak, eminencjo.

Trybunał Dusz był ostatnią, najwyższą instancją sądzącą katolików, którzy splamili się popełnieniem *culpa gravis*. Nie wszyscy to rozumieli, ale uwolnienie duszy od tak wielkiego ciężaru miało dla Kościoła podstawowe znaczenie. Zwłaszcza w sytuacji, gdy skruszony grzesznik zbliżał się do nieuniknionej śmierci.

Erriaga, który w procedurach Trybunału pełnił funkcję oskarżyciela publicznego, nie wiedział jeszcze, jakim grzechem śmiertelnym miał się zająć tej nocy.

– Po południu przyszedł do nas kapłan, proboszcz parafii Santa Maria del Riposo – poinformował go kancelista. – Przyniósł nam spowiedź umierającego.

– Gdzie jest ten proboszcz? Chcę się z nim zobaczyć, zanim zaczniemy.

Weszli do sali zapełnionej starymi pergaminami, przy której znajdowały się biura sądu. Erriaga zdjął płaszcz i wręczył go kanceliście razem z czarnym kapeluszem. A potem ruszył szpalerem zapalonych świec do swojego gabinetu. Tam opadł na fotel obity czerwonym aksamitem i skrzyżował dłonie pod brodą. Obawiał się, że również ta sprawa nie jest owocem przypadku. Kolejny znak? Jaka zasadzka może się kryć w ciężkim grzechu człowieka stojącego nad grobem?

Otworzyły się drzwi i kancelista wprowadził księdza, który mógł mieć przeszło osiemdziesiąt lat. Jego sutanna była równie zniszczona i stara jak on. Na głowie resztki zmierzwionych siwych włosów, zaniedbana broda. Trzymał w ręce kapelusz i szedł przygarbiony, onieśmielony tym, że znalazł się w obliczu tak wysokiego purpurata.

W innej sytuacji Erriaga nie wybaczyłby mu tego niechlujnego wyglądu. Potraktowałby go z rezerwą, dając mu odczuć, że jest nikim. Teraz jednak sam wolałby być biednym proboszczem z pozbawionej znaczenia diecezji, zmagającym się z drobnymi codziennymi powinnościami. Tymczasem zakres odpowiedzialności kardynała był ogromny. A tej nocy, po raz pierwszy w życiu, poczuł na sobie jej ciężar.

– Opowiedz mi, co się stało – zwrócił się z niezwykłą uprzejmością do gościa.

Proboszcz zrobił kilka kroków w jego kierunku, otwierając głęboko osadzone niebieskie oczy, czyste niczym woda górskiego potoku.

– Proszę mi wybaczyć, eminencjo, ale nie mam wiele do powiedzenia. Kilka godzin temu, kiedy zamierzałem zamknąć kościół z powodu godziny policyjnej, zauważyłem, że ktoś zostawił jakiś przedmiot na klęczniku jednego z konfesjonałów.

– I co to było? – spytał Erriaga.

– Notatnik – odpowiedział ksiądz, po czym włożył rękę do kieszeni sutanny, wyjął czarny zeszytek i podszedł bliżej, żeby go oddać w ręce prałata.

Erriaga zważył notes w dłoni, jakby tym gestem chciał ocenić jego zawartość. Ale zawahał się, czy rozpocząć lekturę.

– Skąd wiesz, że należy do umierającego? Nie widziałeś grzesznika, nie wiesz, w jakim jest stanie.

– To prawda – przyznał kapłan. – Ale człowiek, który zapełnił te stronicę, wiedział, że musi umrzeć. Co więcej, opisuje nawet, jak to się stanie, i wskazuje miejsce, w którym będzie można znaleźć jego zwłoki.

Erriaga westchnął i wreszcie zdecydował się otworzyć notes. Przekartkował go i jego uwagę zwróciło od razu to, że kilka stron zostało wyrwanych. Potem zaczął czytać w świetle otaczających go płomyków.

Poczuł z miejsca, że blednie. Dłonie zaczęły mu niedostrzegalnie drżeć. Oczy szybko przebiegały kolejne linijki, a on nawet nie był świadomy, że odwraca kolejne stronicie. Gdy dokończył czytać, zamknął notatnik i położył go na kolanach.

Proboszcz i kancelista, którzy czekali, aż zakończy lekturę, spodziewali się, że coś powie albo zareaguje w jakiś sposób. Erriaga czuł na sobie ich spojrzenia, lecz nie znalazł w sobie dość siły, żeby zrobić najmniejszy ruch.

W Trybunale Dusz chroniono zawsze tożsamość grzesznika, dbając o jego anonimowość. Jedynym przedmiotem osądu był grzech, a nigdy człowiek, który go popełnił. Mimo to Adwokat Diabła okazywał przez wszystkie te lata dość sprytu, aby dotrzeć do winnych. I potrafił posłużyć się trzymanymi w ukryciu złymi uczynkami, żeby ich szantażować i w ten sposób umacniać swoją potęgę.

Tym razem nie musiał nawet wszczynać śledztwa ani uciekać się do podstępów, by poznać imię człowieka, który miał wkrótce umrzeć. Wiedział też, że ten człowiek ostatecznie zachował życie.

– Marcus – powiedział cicho, nieświadom nawet tego, że otwiera usta.



*Osiem godzin i czterdzieści trzy minuty do świtu*

Znaleźli schronienie w mijanym barze z gorącymi daniami, który został splądrowany, a potem zdewastowany przez jakąś wściekłą bandę. Zostawili po sobie powyrywane żaluzje, porozbijane meble, napisy na ścianach. Do środka rzucał słabe blaski palący się samochód po drugiej stronie ulicy. Marcus skorzystał z nich, żeby poszukać trochę wody dla Sandry. Z kranów ciekła tylko brunatna mulista breja. To są skutki wylania Tybru, pomyślał. Rzeka musiała znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do rur wodociągowych. W stojącej w głębi nieczynnej lodówce znalazł dwie puszki coca-coli, które zachowały się po grabieży.

Sandra siedziała na podłodze, w kącie za ścianką oddzielającą jeden ze stołów. Była ciągle wstrząśnięta. Miała mokre włosy i ubrania, drżała z zimna i kasłała. Marcus usiadł obok niej i podał jej puszkę. Pokręciła głową.

– Musisz się czegoś napić – zachęcił ją.

Posłuchała, ale nie była w stanie niczego przełknąć, jakby miała zablokowany przełyk.

– Przejdzie ci po jakimś czasie, to normalne – uspokoił ją penitencjariusz.

Była jak zahipnotyzowana palącym się samochodem, który zderzył się z radiowozem. Ten drugi leżał niedaleko, wywrócony do góry kołami. Być może policjanci wyszli z tego bez szwanku, a przynajmniej udało się im stąd oddalić. Natomiast kierowca

drugiego pojazdu był już tylko zwęglonym szkieletem. Co za szaleństwo się tu rozegrało?

– Ty też widziałaś te ich oczy...

Marcus domyślił się, że Sandra ma na myśli spojrzenia tych trzech, którzy napadli na nich w kanale. Tak, widział je.

– Nie próbuj mówić na siłę – poradził jej, bo nie chciał, żeby się niepotrzebnie denerwowała.

Sandra nie posłuchała go.

– Nie sądzę, żeby oni chcieli nas zabić. – Potem odwróciła się do niego. – Zrobiliby to... ale dopiero na samym końcu. – Miała na myśli długie znęcanie się nad nimi na różne sposoby. Właściwym słowem byłyby „tortury”.

W tunelu stracili wszystko. Zostały tam jej szpilki – teraz miała gołe stopy – ale także torebka z odznaką, listą elementów ich śledztwa, dokumentami, ze wszystkim. On zgubił latarkę. A przede wszystkim woda zabrała ze sobą pistolet. Bez niego Sandra czuła się bezbronna. Zazdrościła Marcusowi, który nigdy nie nosił broni. Ale była też zadowolona, że ma go obok siebie. Wiedziała, że za wszelką cenę będzie się starał ją osłaniać, i dzięki temu nie czuła się tak samotna. Ile było osób w jej życiu, na które mogła liczyć? Ile z nich przybiegłoby do niej z pomocą w razie jakiejś katastrofy? Teraz zmuszona była zrobić rachunek uczuć, jakie łączyły ją z innymi, a także ustalić liczbę tych, którzy naprawdę ją kochali. Dlatego dręczyła ją pewna myśl. Słowa nieżyjącego już inspektora Vitalego.

*Pomyśl tylko, Vega, ile osób w policji może mieć naprawdę dostęp do akt czwartego stopnia poufności?*

Nie mogła się w tym połapać.

– To Crespi przedstawił mi historię Kościoła Zaćmienia... To on opowiedział mi wszystko.

– Słucham? – Marcus nie rozumiał, dlaczego Sandra teraz o tym mówi.

– Jeszcze nie oszalałam – zapewniła go. – Ja tylko głośno myślę.

– O tym, co powiedział Vitali?

Pytanie penitencjariusza potwierdzało jej wątpliwości.

– Ten obrzydliwy manipulator mógł mieć słuszość w tych sprawach. Vitali stał na czele tajnej jednostki policyjnej, sekcji zajmującej się przestępstwami ezoterycznymi. Tak bardzo utajnionej, że miała w swych szeregach tylko jednego policjanta, dla którego specjalnie tworzono funkcje maskujące jego prawdziwą działalność.

– Powiedziałaś: Crespi... Komisarz z wydziału zabójstw, który nie tylko jest na bieżąco z tym śledztwem, ale spokojnie opowiada o nim swojej podwładnej, która może być w nie mocno zamieszana – wyręczył ją w tych rozważaniach penitencjariusz. – Nie ogranicza się do udzielenia ci informacji, ale dostarcza ci jeszcze wielu szczegółów, ryzykując, że zostanie oskarżony o współudział.

Marcus wyraził słowami podejrzenie, które ją trapiło. Mimo iż ciężko jej było to przyznać, nie była już przekonana o absolutnie dobrej wierze Crespiego.

– Muszę z nim porozmawiać, żeby zrozumieć, o co tu chodzi.

Przez okna lokalu zobaczyli kilku biegnących ulicą ludzi uzbrojonych w pałki. Zaalarmowany Marcus drgnął. Tamci nie zauważyli ich jednak i pobiegli dalej.

– Musimy stąd iść – powiedział. – Tu nie jest bezpiecznie.

Sandra spojrzała na niego przestraszona.

– Nie chcę wracać na dół.

I tak nie mogliby tego zrobić, tunele były nie do przebycia. Chciała tylko usłyszeć uspokajające zapewnienie.

– Pójdziemy ulicą, ale będziemy musieli uważać.

– Dokąd?

Marcus przyjrzał się samochodom, które zderzyły się przed barem. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza przewrócony radiowóz.

– Spotkamy się z twoim starym przyjacielem.

\* \* \*

Od kilku godzin w Mrowisku panował chaos. Energia z generatorów i doskonale działające techniczne urządzenia we wnętrzu bunkra nie wystarczały, żeby kontrolować to, co działo się na zewnątrz.

Naczelnik policji zamknął się w swoim biurze i pozostawał w stałym kontakcie z najwyższymi władzami państwowymi, podejmując rozpaczliwe wysiłki w celu przywrócenia porządku w mieście.

Policja wyciągnęła już wniosek, że zamieszki, które rozpoczęły się w rejonie piazza del Popolo, nie miały charakteru zorganizowanej agresji; za napadem na siły porządkowe nie stała żadna strategia. Elementem, który rzeczywiście destabilizował działania policji, była nieprzewidywalność ruchów przeciwnika.

Pewien problem pojawił się w chwili, gdy kilku osobnikom udało się obrabować skład broni i amunicji. De Giorgi oficjalnie poprosił ministra o interwencję wojska.

COMLOG, czyli dowództwo logistyczne, miało zmobilizować tysiąc ludzi z pułku wsparcia Cecchignola. Pododdziały i lekkie pojazdy czekały, gotowe wjechać do południowych dzielnic Rzymu, a potem ruszyć w kierunku centrum stolicy. Za kilka godzin z Toskanii miała dotrzeć jednostka spadochroniarzy z Brigata Folgore, elitarnego oddziału przeszkolonego do wykonywania najbardziej ryzykownych zadań. Specjalna jednostka miała otrzymać konkretne zadanie zapolewania na przywódców rewolty.

Crespi uważał, że nie jest to definicja właściwa, bo ci tak zwani „buntownicy” nie mieli dokładnie określonych celów i nie byli nawet zorganizowani. Mimo to nazywano ich w ten sposób, ponieważ udało się im uzyskać przewagę nad siłami porządkowymi. W gruncie rzeczy nazwa ta odpowiadała wyższym funkcjonariuszom. Z powodów wizerunkowych lepiej było zostać pokonanym przez oddział buntowników, niż ulec hordzie wykolejeńców oddających się plądrowaniu i niszczeniu.

Ponadto należało usprawiedliwić jakoś ofiary, które poniosły śmierć.

Podobnie jak wszyscy obecni w sali operacyjnej, komisarz Crespi martwił się o rodzinę. Miał żonę, dzieci, wnuki. I nie wiedział, czy są bezpieczni. Na szczęście mieszkali w dzielnicy Nuovo Salario, z dala od rejonów zamieszek. Ale w takich sprawach nigdy nie można mieć pewności.

Wiadomości docierające do Mrowiska były niepewne i często sprzeczne ze sobą. Pewne było tylko to, że Tyber wylał w trzech miejscach. Najpierw na wysokości mostu Milvio, gdzie wdarł się gwałtownie do dzielnicy lokali i restauracji, w których co wieczór spotykały się tysiące mieszkańców Rzymu. Następnie naprzeciwko Zamku Świętego Anioła. Potężny nurt zabrał ze sobą duże łodzie i barki, które zazwyczaj stały na rzece. Razem z niesionymi z prądem śmieciami łodzie utworzyły korek pod słynnym Mostem Aniołów i wezbrane wody najpierw go uszkodziły, a potem zerwały. Tyber wylał w tym miejscu, docierając do piazza Navona. Stara fontanna zbudowana przez Berniniego według projektu Borrominiego, zwana Fontanną Czterech Rzek, została unicestwiona. Nie było już także Wyspy Tyberyjskiej, zniesionej z gwałtownym prądem. Na szczęście znajdujący się na niej szpital został ewakuowany. Rzeka zaatakowała też dzielnicę Trastevere i tam z pewnością były ofiary śmiertelne. Błoto dotarło do pierwszego piętra stojących tam budynków. Nie było informacji na temat liczby osób, które utonęły w swoich mieszkaniach. Zabarykadowały się ze strachu przed napastnikami, ale zabił je ulewny deszcz.

Komisarz był pewien, że następnego dnia wszyscy tak czy owak przypiszą te nieszczęścia godzinie policyjnej. Będą pytać: „A gdyby nie było żadnych ograniczeń swobód obywatelskich, ile osób mogłoby się uratować?”. Poleci wiele głów, bo trzeba będzie znaleźć kozły ofiarne. Crespi myślał jednak przede wszystkim o tym, ilu ludzi na mieście nie miało szczęścia utonąć i teraz leżą ranni, czekając na pomoc, która nie nadejdzie, ponieważ zespoły ratowników przysłane z całych Włoch i służby wojskowe

stacjonowały na peryferiach, odwlekając interwencję do czasu, aż w mieście zostanie przywrócone „bezpieczeństwo”.

W ciągu paru godzin to, co wznoszono przez setki lat, zostało zniszczone przez ludzi i naturę. Ich łupem padły niezrównane piękności. Wiele osób straciło życie. O świecie świat się dowie, że Rzym zmienił się na zawsze. Oczywiście pod warunkiem, że miasto przetrwa do następnego dnia.

Podczas gdy Crespi snuł te rozważania, z zamyślenia wyrwała go jedna z policjantek.

– Panie komisarzu, jeden z patroli samochodowych chce się z panem skontaktować przez radiotelefon. Funkcjonariuszka przedstawiła się jako Sandra Vega.

– Proszę mnie z nią połączyć – powiedział podekscytowany komisarz. Chwycił słuchawkę i odezwał się jako pierwszy. – Vega, to naprawdę ty?

– Tak, panie komisarzu. We własnej osobie.

Połączenie zakłócały trzaski, ale jej telefon ucieszył Crespiego.

– Mam nadzieję, że nie jesteś na Trastevere, że wyszłaś z domu, zanim dotarła tam powódź.

– Niech pan będzie spokojny, komisarzu, nic mi nie jest.

– Dzięki Bogu. – Poczul ulgę, ale nie na długo.

– Wiem, że jesteś jednym z nich.

Jej słowa sprawiły, że zapomniał języka w gębie i odpowiedział dopiero po chwili.

– Co ty wygadujesz? Nie rozumiem...

– Dobrze wiesz, o co chodzi. Jestem tego pewna.

Crespi natychmiast zakrył dłonią słuchawkę, żeby nikt niczego nie usłyszał.

– Posłuchaj, Vega, próbowałem powiedzieć ci o tym dziś rano, przysięgam. Bo inaczej po co miałbym wyjawiać ci te wszystkie rzeczy?

– A więc to prawda: to nie Vitali ci o tym powiedział, wiedziałeś to już wcześniej.

– Zostaw w spokoju Vitalego, teraz jest coś ważniejszego... – Mimo klimatyzacji komisarz się spocił. – Chcę z tego wyjść... Ale

nie wiem, jak to zrobić. – Po drugiej stronie linii nastąpiła cisza. – Vega, jesteś tam jeszcze?

– Wciąż jestem. Myślę, że nie powinniśmy poruszać tej sprawy przez radio, nie wydaje ci się?

Miała rację, ktoś mógłby ich podsłuchać.

– Co proponujesz?

– Spotkajmy się za godzinę w Caffè Greco.

Crespi opuścił Mrowisko tak, że nikt tego nie zauważył. Niósł ciemną sportową torbę.

Miejsce spotkania znajdowało się przy via Condotti, słynnej ulicy wychodzącej na jedno z najlepiej znanych miejsc na świecie – piazza di Spagna.

Ulica ta zyskała rozgłos również dlatego, że znajdowały się przy niej sklepy głównych włoskich i międzynarodowych marek i inne luksusowe butik.

Jedynym wyjątkiem był stary lokal Caffè Greco. Kawiarnia założona w roku 1760 przez przybysza z Bliskiego Wschodu z upływem czasu stała się miejscem skupiającym wszelkiego rodzaju ludzi kultury, intelektualistów i artystów. Oprócz doskonałej kawy lokal słynął ze swego wystroju – ścian pomalowanych pompejańską czerwiecią, stolików z blatami z szarego marmuru, wykładanych aksamitem krzeseł, lamp w stylu secesyjnym i art déco, zdobnych luster i obrazów w złoconych ramach.

Crespi miał w głowie dokładnie taki obraz lokalu, gdy docierał do celu. Trzymał latarkę, ale jeszcze jej nie zapalił z obawy, że zostanie zlokalizowany przez jakąś grupę wichrzycieli. Zrobił to dopiero wtedy, gdy znalazł się na miejscu. Z trudem rozpoznawał czarną dziurę, którą miał przed sobą. Wszystko zostało zdewastowane przez bezmyślnych i barbarzyńskich napastników. Taki sam los spotkał inne firmy przy tej ulicy. Ograbiono sklepy jubilerskie Bulgari i Cartiera, splądrowano Gucciego, Pradę, Diora i Vuittona. Ale najgorszy widok otworzył się przed nim, kiedy skierował smugę światła na piazza di



Spagna. Miejsce było bezpowrotnie zdewastowane. Monumentalne barokowe schody zamieniły się w stos odłamków: buntownicy zabawiali się, zjeżdżając samochodami po stu trzydziestu pięciu białych stopniach, a jakiś mercedes niemal starł z powierzchni ziemi sławną fontannę w kształcie łodzi, zwaną La Barcaccia.

Crespi zagłębił się w jamę, która była kiedyś najładniejszą rzymską kawiarnią. Nie oszczędzono tu niczego. Położył na podłodze torbę i pochylił się, żeby podnieść odłamek jednej ze słynnych porcelanowych filiżanek z logo lokalu. Kto wie, ile osób dotykało ustami tej gładkiej krawędzi w poszukiwaniu szlachetnej przyjemności. Pokręcił z przygnębieniem głową.

– Tutaj – usłyszał czyjś głos.

Idąc po odłamkach szkła i kawałkach drewna i marmuru, dotarł do sali Omnibus, gdzie na ścianach wisiały gipsowe plakietki świadczące o wizytach słynnych gości – Apollinaire’a, Bizeta, Canovy, Goethego, Joyce’a, Keatsa, Leopardiego, Melville’a, Nietzschego, Marka Twaina i Orsona Wellesa, żeby wymienić tylko niektórych. Pozostał po nich biały pył unoszący się nad gruzami.

Sandra stała na środku pomieszczenia. Wycelował w nią latarką. Była bez butów, w podartej w wielu miejscach czarnej wieczorowej sukni i trzymała ręce w kieszeniach kurtki z kapturem. Włosy i twarz miała ubrudzone błotem. Jej wygląd pozostawał w zgodzie ze zniszczonym otoczeniem. Byli sami.

– Przyniosłem to, o co mnie prosiłaś – powiedział, wskazując sportową torbę.

– Dobrze, połóż ją na podłodze.

Crespi spełnił polecenie.

– Jestem tu, komisarzu, żeby ci pomóc. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, jak głęboko jesteś w to zamieszany...

Nie odpowiedział. Potem odpiął pasek i opuścił spodnie do wysokości lewego biodra.

Sandra zobaczyła wytatuowane niebieskie kółko.

– Nie mogę zapomnieć o tym, co dla mnie robiłeś przez lata, więc postanowiłam nadal pozostać twoją przyjaciółką.

– Chciałbym móc ci wierzyć, Vega – odparł, zapinając spodnie.

– Powiedziałeś przez radio, że chcesz z tego wyjść, prawda?

Crespi wyciągnął pistolet.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jedną z nich? W komórce z taksówki było twoje zdjęcie.

– Jeśli myślisz tak jak Vitali, to dlaczego tu przyszedłeś?

– Bo musisz im powiedzieć, żeby zostawili mnie w spokoju. – Crespi poczuł z zażenowaniem, że zaczyna płakać, ale nic nie mógł na to poradzić; nigdy w życiu nie bał się tak bardzo jak teraz. Był zmieszany i zmęczony, mimo to dostrzegł drgnięcie w oczach Sandry. Spojrzała w ciemność na prawo od niego. Z jakiego powodu?

Komisarz nie zdążył się odwrócić, gdy z mroku wyskoczył jakiś cień, unieruchomił mu rękę i wyrwał pistolet, a potem ścisnął go za gardło.

Sandra zrobiła krok w jego kierunku.

– Nie trzeba – rzuciła, podnosząc latarkę, która upadła u stóp komisarza.

Marcus go puścił.

Crespi upadł na kolana i zaczął kasłać. Podniósł wzrok na mężczyznę, który go rozbroił. Po chwili go rozpoznał. Spotkali się wiele lat temu, w okresie śledztwa w sprawie Potwora z Rzymu. Nie wiedział, kto to może być, ale wtedy skorzystał z jego pomocy. Co ten człowiek robił u boku Vegi?

– Czekam na wyjaśnienie – powiedziała Sandra.

Komisarz masował sobie gardło.

– Nie wiem, za kogo mnie bierzecie – odezwał się po chwili – ale prawdą jest, że ja nic dla nich nie znaczę.

– Więc dlaczego się boisz? – Skierowała na niego światło latarki.

– Wczoraj wieczorem, gdy tylko w telewizji zapowiedziano wyłączenie prądu, zostałem wezwany do Mrowiska. Wyszedłem z domu, żeby wsiąść do samochodu, i stwierdziłem, że się do

niego włamano. Złodzieje, pomyślałem w pierwszej chwili. Ale kiedy sprawdziłem, czy coś zginęło, zorientowałem się, że zostawili wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość, a zabrali pęk kluczyków i notes, który trzymałem w schowku pod tablicą rozdzielczą, żeby zapisywać różne rzeczy.

Sandra i penitencjariusz spojrzeli na siebie. To w taki sposób Marcus zdobył notes, a przede wszystkim klucze od archiwum śledztw niewyjaśnionych, w którym znaleźli zdjęcia porywacza Tobiego Frai.

Marcus próbował przypomnieć sobie moment, gdy w trakcie swego śledztwa, którego nie pamiętał, wdarł się do samochodu komisarza. Ale informacja, że to się zdarzyło, nie wystarczyła, żeby zmusić pamięć do przywołania związanego z tym wspomnienia; wydawało się, że jego chwilowa amnezja jest nieodwracalna.

– Dlaczego taka drobna kradzież tak bardzo cię przestraszyła?  
– spytała Sandra.

– Ty ich nie znasz – odparł szeptem Crespi, tak jakby tamci mogli go usłyszeć. – Oni nigdy nie grożą nikomu otwarcie. Ograniczają się do wysłania drobnego sygnału... Kiedy na filmie z komórki zobaczyłem, jak zamordowali narkomana z takim samym tatuażem jak mój, zrozumiałem, że to koniec. Dlatego postanowiłem skierować cię na właściwy trop.

– Kim są inni członkowie Kościoła Zaćmienia Księżycyca? – spytał Marcus.

– Nie wiem – rzucił Crespi, jakby to było coś oczywistego. – Otrzymujemy zadania na okresowych spotkaniach, podczas których wszyscy mają na sobie czarne tuniki i maski. Dzięki temu zachowują w sekrecie swoją tożsamość.

– Kto wyznacza te zadania?

– Jest ich trzech: Biskup, Zabawkarz i Alchemik.

Marcus odkrył już tożsamość pierwszych dwóch, ale nie wiedział, kim jest ten trzeci.

– Czy to oni sprawują władzę? – wypytywał dalej.

– Nie. – Crespi rozejrzał się, jakby z mroku mogły nagle wyskoczyć jakieś bestie z olbrzymimi paszczami i go rozszarpać.  
– Nad nami wszystkimi stoi Władca Ciemności.

Sandra nie była w stanie uwierzyć, że człowiek, dla którego miała tyle szacunku, mógł ukrywać tak haniebną sekret. Przypadło jej zadanie najbardziej bolesnego pytania.

– Co się stało z Tobim Frai?

– Nie wiem nic o tym chłopcu. Obarczyli mnie tylko przechowaniem jednej rzeczy i zrobiłem to.

– Co to było? – spytał Marcus.

– Walizka. Ale przysięgam, nie wiem, co w niej jest.

– Gdzie jest teraz ta walizka?

– Trzymałem ją w piwnicy, ale poprzedniej nocy przeniosłem ją w inne miejsce. – Komisarz starał się zyskać na czasie.

– Zadałem ci pytanie: Gdzie ona jest?

Przycisnięty do muru Crespi spuścił oczy. I dopiero w tym momencie zobaczył tenisówki na nogach penitencjariusza. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

– Skąd je wzięłeś?

Marcus nie rozumiał pytania.

Crespi cofnął się o krok.

– Kto ci je dał? – Wskazał ręką tenisówki. Dlaczego napełniły go takim strachem?

– Nie pamiętam – odparł Marcus.

Komisarz odwrócił się do Sandry.

– Zdradziłaś mnie – powiedział oskarżycielskim tonem.

Sandra pochyliła się w jego stronę i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nikt cię nie zdradził. Jedyną rzeczą, której jestem pewna, to to, że on nie jest wrogiem. Chcesz, żeby się rozebrał i pokazał ci, że nie ma żadnego tatuażu?

Crespi zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – odparł w końcu. – Tak czy owak muszę wam zaufać, nie mam innej możliwości...

– A więc dokąd zawiozłeś tę walizkę?

- Powiem wam, jeśli zapewnicie mi ochronę.
- Musisz opowiedzieć także całą resztę.
- W odpowiednim czasie i na moich warunkach – oświadczył komisarz. – Za każdym razem, gdy będziecie czegoś ode mnie chcieli, ja poproszę was o coś w zamian. – Zdawał sobie sprawę, że sprzedał duszę diabłu, ale mógł jeszcze uratować życie.
- Zgoda – powiedział Marcus i chwycił za rączki sportowej torby, którą przyniósł. – Zaprowadzimy cię w bezpieczne miejsce.

\* \* \*

Przyświecając sobie latarką Crespiego, wrócili do mieszkania przy via del Governo Vecchio.

Znajdowało się między Zamkiem Świętego Anioła i piazza Navona, w rejonie najbardziej poszkodowanym przez powódź. Marcus nie był całkiem pewien, czy do niego dotrą, ale gdy doszli w pobliże piazza Sant'Eustachio, stwierdzili, że począwszy od tego miejsca, woda szybko się cofa, pozostawiając po sobie wszelkiego rodzaju śmieci i odpadki. Ziemia usłana była bezkresną skorupą z przedmiotów codziennego użytku. Sandra zauważyła but, kuchenną łyżkę, lalkę. Wszystko to utyłane w błocie.

Cała trójka brodziła w mule, który chwilami sięgał kolan. Stracili przeszło godzinę, by dotrzeć na miejsce. Okolica została już zdewastowana, więc wydawała się bezpieczna. Żaden wandal ani głupek z nieobecny spojrzeniem nie miałby po co tu przychodzić.

Sandra wprowadziła Crespiego do ciasnego mieszkania. Przed kominkiem leżały jeszcze resztki po małym pikniku, jaki urządziła sobie i Marcusowi.

– Znajdziesz tu parę puszek tuńczyka i krakersy – poinformowała go, przypominając sobie skromny posiłek. – Są też butelki z wodą.

– Chcę tylko zapalić – odparł Crespi, wyjmując paczkę papierosów z kurtki. Najwyraźniej postanowił wrócić do nałogu.

Marcus otworzył torbę z rzeczami, o które Sandra poprosiła komisarza. Znalazł w niej elektryczne latarki i baterie na wymianę, kombinezon i sportowe buty dla niej, dwie sztuki broni – rewolwer i pistolet automatyczny – oraz dwa telefony satelitarne, oba starej generacji.

– Prosiłam cię o dwie krótkofalówki, bo do czego mogą się nadać te tutaj? – powiedziała Sandra.

– Przydadzą się – zapewnił ją komisarz. – Poza tym nie było nic lepszego.

– Jesteś już w bezpiecznym miejscu. Mów, gdzie walizka – przypomniała mu zawarty układ.

– Zostawiłem ją w hotelu koło dworca Termini. Nazywa się Europa, pokój sto siedemnaście. – Crespi sięgnął do kieszeni, wyjął klucz i wręczył go jej.

Sandra westchnęła zawiedziona.

– Dlaczego tam?

Spuścił wzrok.

– Możesz mnie za to ukrzyżować, bierz się do dzieła...

– Myślałam, że wierzysz w Boga jak dobry chrześcijanin...

Komisarz usiadł i zaciągnął się papierosem.

– Czarna hostia... – powiedział, a potem spojrzał na nich. – Bóg porzucił człowieka na małej planecie pośrodku niezmiernego kosmosu. Otoczył go przepiękną, ale niegościnną przyrodą. A potem się ukrył i obserwuje nas w milczeniu... Zostawił nas tu samych i przestraszonych, żebyśmy zadawali sobie pytania: „Dlaczego znajdujemy się w tym miejscu?” albo „Skąd się wzięliśmy? I dokąd zmierzamy?”. Jaki ojciec zrobiłby coś takiego swojemu dziecku? – Szukał w ich oczach odrobiny zrozumienia, ale go nie znalazł. – I dopiero Władca Ciemności przywrócił nam wiedzę... Kto przyjmuje jego komunię, otrzymuje w zamian dar wiedzy o sprawach tego świata.

Sandra przypomniała sobie narkomana mówiącego po aramejsku.

– Jakiej znowu wiedzy?

– Dla każdego co innego – wyjaśnił Crespi. – Są ludzie, którzy chcą poznać rzeczy od nich odległe, inni wolą przyglądać się samym sobie, żeby odkryć, kim są naprawdę. Na przykład ja poprosiłem czarną hostię, żeby odkryła przede mną znaczenie mojego życia.

– I otrzymałeś odpowiedź, której szukałeś? – spytał pogardliwym tonem Marcus.

– Tak – zapewnił go komisarz z odcieniem dumy w głosie.

– Opowiadasz nam jakieś pierdoły – prychnęła Sandra. Była pewna, że jest w tym coś jeszcze. Zbyt dobrze знаła komisarza, by nie wiedzieć, że niełatwo byłoby go zdeprawować.

Crespi wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, i tak już... – Uświadomił sobie, że jej nie nabierze.

– Wiele lat temu zabiłem pewną kobietę.

Jego wyznanie wstrząsnęło Sandrą.

– Nie zrobiłem tego świadomie, to był wypadek. Wjechałem w nią samochodem, ale potem uciekłem, zostawiając ją. – Zamilkł na chwilę, a potem spojrzał na nich. – Wyobrażacie sobie? Ona była w ciąży, nosiła w brzuchu córeczkę.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego... – zaczęła lekceważąco Sandra, lecz Crespi wszedł jej w słowo.

– Ja zrozumiałem to z upływem czasu... Bóg wyręczył się mną, kładąc mi zrobić coś strasznego. Być może jemu samemu to nie pasowało, bo nie wiem, dlaczego wybrał właśnie mnie. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał w nią nos. – Mógł przecież dobrać się do tej kobiety i jej córki na wiele sposobów. Na przykład zsyłając chorobę albo jakąś komplikację ciąży. Wolał jednak, żeby tę brudną robotę wykonał ktoś inny. Oddany mu, wierny syn, którego miał w nosie.

Sandra była zgorszona małostkowością tego człowieka.

– I to ma usprawiedliwić poświęcanie niewinnych ofiar? Warte było zabicia Tobiego Frai? Bo go zabiliście, prawda?

Crespi pokręcił gniewnie głową.

– Wy nie podjęliście nawet próby sprawdzenia, co to wszystko znaczy, więc nie jesteście w stanie zrozumieć tych spraw do głębi. Jak silne jest w tobie pragnienie prawdy? Do czego potrafiłabyś się posunąć, żeby zerwać kłamliwą zasłonę z tego, co kryje się w zapomnieniu? – Oczy komisarza błyszcząły, jakby był kompletnie opętany. – Jak śmiesz oceniać prawego człowieka, dobrego chrześcijanina, skoro nigdy sama nie doświadczyłaś zła i niegodziwości?

Marcusowi przyszedł na myśl Gorda. On chciał wystawić się na próbę. Stary biskup wiedział, że jest w nim jakieś zło i że być może istnieje sposób, żeby wydobyć je na wierzch. Więc czemu nie spróbować?

– Skąd człowiek ma wziąć odwagę spoglądania w oczy swoim dzieciom albo ukochanej kobiecie, jeśli nie jest pewien samego siebie? – ciągnął Crespi. – Skoro nie wie nawet, kim jest? Ja musiałem ustalić, czy była to rzeczywiście moja wina, czy też Bóg zadziałał poprzez moją osobę, żeby potem nikt nie mógł mu przypisać odpowiedzialności za śmierć tej ciężarnej kobiety. I dzięki czarnej hostii w końcu odkryłem prawdę. – Przypominał teraz kaznodzieję walczącego o nowych nawróconych. – Sam Władca Ciemności przemówił poprzez naszego Nauczyciela... a Biskup, Zabawkarz i Alchemik są u niego na służbie. – Jego zapał zaczął słabnąć. – Reszta później. Tak to wygląda w ogólnym zarysie.

Marcus pociągnął Sandrę za rękaw.

– Przebierz się i ruszamy – powiedział.

Wyciągnęła rękę do Crespiego.

– Twoja odznaka – zażądała.

Stary policjant oddał ją bez słowa. Przed odejściem Sandra jeszcze raz na niego spojrzała.

– Nędzniku, ten twój czarny bóg całkiem już o tobie zapomniał.

\* \* \*



Crespi czekał w milczeniu, aż wyjdą. Gdy został sam w mieszkaniu, mógł już wyrównać rachunki w swoim sumieniu. Być może powinien był powiedzieć jej od razu o zarazie. Ale nie zrobił tego.

Zapalił kolejnego papierosa obok zgasłego kominka. W niecałe pół godziny dokończył paczkę. Potem się rozejrzał. Co to za miejsce? Stał tu stary komputer i był telefon podłączony do sieci. Czy mogło to być mieszkanie człowieka, który towarzyszył Vedze? Bo nie wydawało się, żeby ktoś tu mieszkał na stałe. Crespi doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli się po nim rozejrzy.

Wziął do ręki świecę i zabrał się do przeszukiwania lokalu. Kuchnia, łazienka, sypialnia. Odniósł wrażenie, że to jakaś nora, a nie mieszkanie. Ale potem natknął się na zamknięte drzwi. Próbował je otworzyć, lecz nie dał rady. Zostawił je i wrócił do kuchni, żeby rozejrzeć się za puszkami z tuńczykiem i krakersami, o których mówiła Sandra. Zaczął przeszukiwać kredens, powstrzymał się jednak. Uświadomił sobie, że nie jest w stanie znieść tej niepewności; wypadki z ostatnich godzin przyprawiły go o szaleństwo. Wrócił do zamkniętych drzwi i tym razem spróbował wyłamać je siłą. Wydawało się, że są zamknięte od wewnątrz.

Spędził parę następnych minut, siedząc w saloniku. W świetle nikłego płomyczka wpatrywał się z uporem w niedostępne pomieszczenie. Nie był w stanie o nim zapomnieć.

W końcu zerwał się nagle z miejsca, chwycił pogrzebacz z kominka i zdecydowanym krokiem ruszył do zamkniętych drzwi. Wykorzystując go w charakterze dźwigni, wyłamał zamek i poczuł na twarzy powiew zimnego powietrza uwalniający się z ciemnego pomieszczenia. Przyjrzał się wnętrzu w świetle świecy. Nie było tu nic interesującego, w pustym pokoju stała tylko wielka drewniana szafa.

Była jednak zaklejona taśmą izolującą.

Podszedł do niej, zastanawiając się, co może zawierać. Nic nie przychodziło mu do głowy, postanowił więc sprawdzić. Zerwał

taśmę i otworzył na oścież drzwi. Z półki spadł wielki czarny worek, z którego posypała się na niego lawina ciemnego proszku. Świeca zgasła i drzwi za jego plecami zamknęły się z suchym trzaskiem.

– Ja pieprzę! Co tu się dzieje? – rzucił ze złością. Wrócił do drzwi i spróbował je otworzyć, ale bez skutku. Miały jeszcze jeden zamek, który teraz się zatrzasnął. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, wyjął ją i zapalił zgasłą świecę.

Chmura szarego pyłu osiadła już częściowo na podłodze i ścianach. Była tak lekka, że przy każdym jego ruchu, nawet najdrobniejszym, podnosiła się na nowo. Co to może być? Pochylił się, żeby sprawdzić palcami. Popiół, pomyślał.

I nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął wciągać go do płuc.

Znaleźli się znowu na ulicy.

Przedzierali się z trudem przez błoto i gruzowiska, ale w tym tempie musieliby poświęcić całą wieczność, żeby dotrzeć do dworca Termini. Marcus rozejrzał się i skierował w stronę sterty jakiegoś szmelcu, z której wystawała kierownica. Zaparł się nogą i zaczął ciągnąć. Sandra podbiegła, żeby mu pomóc. Niebawem wydobyli z niej rajdowy motocykl Hondy. Był poobijany, ale w całości. Penitencjariusz połączył jakieś kabelki, próbując uruchomić silnik, lecz bez skutku.

– Zamoknięty gaźnik – orzekł, ale się nie poddał. Po dziesiątej próbie silnik zaskoczył.

Wskoczyli na siodełko i ruszyli przez zrujnowane miasto. Sandra przyłgnęła do Marcusa. Nigdy dotąd nie znajdowali się tak blisko siebie. Deszcz chłostał i było jej zimno, wyczuwała jednak bijące serce mężczyzny.

– Znalazłem biskupa Gordę i Zabawkarza – powiedział. – Brakuje nam jeszcze Alchemika, a potem będziemy musieli dotrzeć do Władcy Ciemności.

– Uważasz, że on naprawdę istnieje?

Marcus sam zadawał sobie to pytanie.

– Zazwyczaj sekty są organizacjami mającymi sekretną strukturę oligarchiczną. Wyznawcom wmawia się, że muszą słuchać decyzji charyzmatycznego szefa. A ten jest postacią ascetyczną, zachowującą dystans i niedosięglą, dzięki czemu wywiera większy wpływ na słabych psychicznie wyznawców.

– Crespi nam pomoże – zapewniła go Sandra. – Wierzę mu, kiedy mówi, że chce z nimi zerwać. Sam widziałeś, jaki jest

przerażony.

– Myślisz, że on wie, kim jest ten Alchemik?

– Nie mam pojęcia. Słyszałeś, co mówił, kiedy pytaliśmy go, jak wyglądają spotkania zwolenników? Wierzysz w tę historyjkę o czarnych tunikach i maskach?

– Coś ci się nie zgadza?

Zastanawiała się nad tym już od jakiegoś czasu.

– Nie wiem, ale trudno mi jest w to uwierzyć i bardzo bym chciała, żeby cała ta sprawa okazała się tylko jednym wielkim oszustwem.

Marcusa trapiła jednak jeszcze inna zagadka. Dlaczego komisarz zaniepokoił się tak bardzo na widok białych tenisówek na jego nogach?

\* \* \*

Dotarli w końcu w pobliże dworca. Wszystko trwało w bezruchu. Kiedy penitencjariusz zgasił silnik, natychmiast pogrążyli się w upiornej ciszy.

Po osiemdziesięciu sześciu godzinach deszcz przestał padać. Ale oni tak się już przyzwyczaili do jego szumu, że teraz zaczęło im go brakować.

Hotel Europa stał przy via del Castro Pretorio. Był to raczej pensjonat, zazwyczaj goszczący pielgrzymów. Do środka prowadziły szklane obrotowe drzwi wyposażone w czujniki ruchu. Oczywiście w tej chwili nie funkcjonowały, a na dodatek były zamknięte na kłódkę. Za tą barierą widać było pusty kontuar recepcji.

– Moim zdaniem nie ma tu nikogo – stwierdziła Sandra, lustrując wzrokiem hol, oparta rękami o szybę.

Marcus wyjął pistolet automatyczny i strzelił z niego w prowizoryczne zamknięcie. Weszli do środka.

Spodziewali się, że zastaną tu ciszę, tymczasem powitał ich cichy, przerywany trzaskami szum.

– Ty też to słyszysz? – spytał penitencjariusz.

Sandra rozpoznała od razu zapamiętany z dzieciństwa odgłos, którego nie słyszała od wielu lat. Dochodził zza lady dużego kontuaru. Pochyliła się nad nią i zobaczyła, że stoi tam małe tranzystorowe radio. Głośnik nastawiony był tak cicho, że ledwo można było dosłyszeć męski głos.

– Może się pomyliliśmy – powiedziała, rozglądając się. – Ktoś powinien tu być.

– Hej, jest tu kto?! Niech się pokaże! – zawołał w ciemność Marcus. – Nie mamy złych zamiarów.

Minęło kilka sekund, po czym zza zasłony wyjrzał przestraszony człowieczek, który miał w ręce kij baseballowy.

– Czego chcecie? – spytał drżącym głosem.

Sandra pokazała mu odznakę Crespiego i mężczyzna trochę się uspokoił.

– Jestem nocnym portierem – wyjaśnił, opuszczając kij. – Praktycznie biorąc, hotel jest pusty – dodał. – Oprócz mnie jest tylko grupka Boliwijczyków, którzy przyjechali na spotkanie z papieżem na środowej audiencji generalnej.

No to nie mieli szczęścia, pomyślała Sandra. Przebyli pół świata, żeby zastać tu taki burdel.

– Wczoraj wieczorem był tu ktoś, kto wynajął pokój sto siedemnaście. Zgadza się? – spytał Marcus.

Portier zastanawiał się przez chwilę.

– Zdaje mi się, że dałem mu klucz około dwudziestej trzeciej.

– Pamięta pan może, czy nazywał się Crespi? – Chcieli mieć pewność, że nie wpadli w jakąś pułapkę.

– Musiałbym zajrzeć do rejestru gości – odparł ostrożnie portier.

– Nie musi pan – przerwała mu Sandra. – Może nam pan opowiedzieć, jak wyglądał?

Przyjrzał się im spode łba.

– Prawdę mówiąc, istnieją przepisy dotyczące prywatności – odparł z ociąganiem. – Ale dobrze, gorzej i tak już nie będzie... Krępy, około sześćdziesiątki, śmierdział papierosami.

Uzyskawszy pewność, Sandra wyjęła klucz i pokazał mu go.

– Musimy tam wejść.

– Zgoda, ale pójdę z wami, ponieważ te dupki z Boliwii zabarykadowały się na pierwszym piętrze i nikogo nie przepuszczają.

Portier ruszył w kierunku schodów. Przechodząc obok jego stanowiska, Sandra spojrzała znowu na radio tranzystorowe.

– A, to – powiedział portier, dostrzegłszy jej zainteresowanie.

– Dziś rano przypomniałem sobie, że jakiś czas temu widziałem je w magazynie. Ma co najmniej czterdzieści lat i ciężko było znaleźć baterie, żeby je uruchomić, ale byłoby chyba lepiej, gdybym ich nie znalazł... Cyfrowe odbiorniki nie działają z powodu braku prądu, ale pomyślałem, że być może nadają jeszcze dzienniki radiowe na falach średnich. Tymczasem nic. – Zaczęli wchodzić na górę. – A przy okazji, macie jakieś wiadomości o tym, co się dzieje na mieście?

Sandra była zaskoczona.

– Jak to, nic pan nie wie?

– Nic a nic – odparł szczerze portier. – To pieprzone państwo pożera nasze podatki, a kiedy naprawdę potrzebne są nam informacje, nie ma sposobu, żeby się czegoś dowiedzieć.

Ten aż za bardzo naszpikowany mediami świat naprawdę zrobił technologiczny krok do tyłu, pomyślała. Kilkaset metrów stąd doszło do gwałtownych zamieszek i pożarów, do tego wylał jeszcze Tyber, a ten człowiek o niczym nie wiedział.

– W takim razie co to za głos, który słyszałam przed chwilą?

– Jakiś zwariowany maniak próbuje sterroryzować takich głupków jak ja, którzy zachowali jeszcze zaufanie do służb publicznych... Robi to od wielu godzin, niech Bóg ma go w swojej opiece.

Gdy dotarli na pierwsze piętro, portier spróbował łamanym hiszpańskim wyjaśnić boliwijskim pielgrzymom, że nie ma żadnego zagrożenia: chcą tylko przejść. Była to grupka przerażonych kobiet i mężczyzn w średnim wieku.

– Będziecie musieli zapłacić za szkody – zagroził im.

Marcus wyszedł do przodu i przemówił do nich w ich języku. Uspokoił ich, a potem pobłogosławił. Wszyscy uklękli i przeżegnali się. A potem odsunęli na bok sprzęty tarasujące przejście.

– Pani towarzysz jest księdzem? – spytał Sandrę portier.

– Tak – odparła.

– Ksiądz z pistoletem?

– Owszem. – Była zdezorientowana tak samo jak on, bo często zapominała, że Marcus jest księdzem i oglądanie go w tej roli również dla niej było zupełnie nowym doświadczeniem.

Gdy dochodzili do pokoju sto siedemnaście, Marcus odwrócił się w stronę ich przewodnika. Ujął go za rękę i włożył mu w nią pistolet.

– Mogą się tu zjawić – powiedział tylko.

– Kto? – spytał portier. Na jego twarzy znów pojawiło się przerażenie.

Marcus nie odpowiedział.

– Od tego miejsca pójdziemy już sami, dziękuję panu.

\* \* \*

Sandra włożyła do zamka klucz wręczony im przez Crespiego.

– Nie mogę uwierzyć, że zostawiłeś mu pistolet – powiedziała.

– On potrzebuje go bardziej niż ja – odparł Marcus. – Zaufaj mi.

Weszli do pokoju, omiatając go światłem latarki. W środku panował idealny porządek. Małżeńskie łóżko, lampa z abażurem na szafce nocnej, duża szafa wnękowa. Na ścianach bezwartościowe akwarele przedstawiające dawny Rzym. Dywan był podniszczony i czuć było silny zapach żywicy sosnowej, typowy dla niektórych dezodorantów do wnętrza. Zamknęli za sobą drzwi i zaczęli się rozglądać za walizką.

Sandra zajęła się szafą. Marcus zajrzał pod łóżko.

– Jest – rzucił, wyciągnął ją i położył na materacu.

Brązowa skóra była podniszczona na krawędziach i mocno porysowana od długiego używania. Zamek otwierał się po wybraniu cyfrowego kodu.

– Co zrobimy? – spytała Sandra. – Nie możemy strzelić w zamek, bo jeśli w środku jest coś kruchego, to się zniszczy.

Marcus zastanawiał się przez chwilę.

– Być może jest na to sposób. – Poszedł do małej łazienki i wyrwał syfon z umywalki. Wrócił do pokoju. Zanim zabrał się do rozbijania metalowych okuć przytrzymujących pokrywę, zwrócił się do Sandry: – W środku może się znajdować wszystko, nawet ładunek zapalający.

– Przyszło mi do głowy to samo. Jeśli ktoś próbuje eliminować członków Kościoła Zaćmienia za pomocą tortur, to mógł się dostać do tej walizki przed nami i umieścić w niej pułapkę na Crespiego.

Marcus spojrzał na nią.

– Nie ma innego sposobu, ale wolałbym, żebyś odeszła dalej.

– Nie, zostaję.

Wydawała się zdecydowana. A że Marcus wiedział, jak trudno jest zmusić ją do zmiany postanowienia, uniósł metalowe kolanko i zaczął walić nim w zamek. Odskoczył po około dziesięciu uderzeniach. Odłożył syfon na dywan i Sandra sięgnęła palcami do pokrywy. Uniosła ją.

W środku znajdowały się porządnie ułożone ubrania różnych rozmiarów. Nic dziwnego, jak na zawartość walizki. Ale w tym przypadku rzeczą zaskakującą – anomalią – było to, że chodziło o ubranka dziecięce.

– Och, tylko nie to! – wykrzyknęła Sandra, a potem zaczęła wyjmować je i sprawdzać rozmiary. – Zobacz: cztery, siedem, dziewięć, dwanaście lat. – Wszystkie były dla chłopca.

Marcus zauważył, że myślą o tym samym. Mordercy nie poprzestali tylko na Tobim Frai. W ręce Kościoła Zaćmienia Księżyca musiały wpaść również inne niewinne ofiary. Kim były te dzieci? I co się z nimi stało?



Po chwili znalazła ubranka, które znała. Koszulkę i czapeczkę z emblematem Romy.

– Tobi – powiedziała tylko.

Najniewinniejszy wśród niewinnych, syn zakonnicy. Głęboko poruszona, przycisnęła je do piersi. Kto znajdzie odwagę, żeby powiedzieć o tym jego matce? – pomyślała. Po jej twarzy zaczęły spływać łzy.

– Bestie. – Z trudem przełknęła złość.

Położyła na łóżku koszulkę i czapeczkę, ponieważ przyszło jej na myśl, że być może zachowały się na nich ciągle ślady zapachu chłopca. Zapach, który tylko mama mogłaby rozpoznać nawet po dziewięciu latach. A Sandra nie chciała pozbawiać Matilde Frai ostatniej możliwości przybliżenia się w jakiś sposób do syna. Ta kobieta zapłaciła już bardzo wysoką cenę; została posądzona o to, że jest odpowiedzialna za zniknięcie synka, najcenniejszego skarbu, jaki miała na świecie.

– Zaczekaj chwilę – odezwał się Marcus za jej plecami. A potem nieoczekiwanie zaczął układać ubranka obok siebie na kapie łóżka, rozpoczynając właśnie od tych należących do Tobiego.

– Co robisz?

Penitencjariusz, zajęty układaniem, nie odpowiedział. Kiedy miał je wszystkie przed sobą, odezwał się w końcu:

– Popatrz. – Wskazał koszulkę i czapeczkę. – Najmniejszy jest Tobi, który zaginął, gdy miał trzy lata. Największy miał dwanaście lat. – Potem odwrócił się do Sandry. – I wszystkie są chłopięce – przypomniał jej.

Wciąż nie rozumiała, do czego on zmierza.

– A teraz przelicz je – dodał penitencjariusz.

Sandra zabrała się do liczenia. Bluza, spodnie, koszula... Wykaz kończył się na czerwonym sweterku.

– Dziesięć.

– Po jednym na każdy rok od dnia zaginięcia – potwierdził Marcus.

– Więc wszystkie mogłyby należeć do tego samego chłopca? – Nie była w stanie uwierzyć we własne słowa. Zamilkła, jakby ją zatkało.

– Tak – powiedział, czytając w jej myślach. – Być może Tobi Frai nadal żyje.

*Sześć godzin i czterdzieści trzy minuty do świtu*

Obudził się, czując, że po nogach spływa mu coś ciepłego. Zrobiłem w spodnie, pomyślał inspektor Vitali.

Potem, niczym uderzenie prosto w twarz, zjawily się wspomnienia. Nie żyję. Nie, nie jestem trupem, poprawił się. Chociaż powinienem nim być. Spróbował otworzyć oczy. Udało mu się unieść tylko jedną powiekę, ponieważ część twarzy miał opuchniętą; czuł to wyraźnie. Było ciemno. Smród stojącej wody i oleju silnikowego. W ciszy słycać było spadające drobne kropelki. Gdzie ja jestem? Cały obolały, próbował się podnieść. Ostatnie wspomnienie, jakie zachował, było takie, że niósł go prąd wody, a on obijał się wielokrotnie o ściany tunelu, niczym szmaciana lalka. Kiedy spróbował się poruszyć, przed oczami rozblęły mu tysiące iskerek przypominających sztuczne ognie. Z gardła wyrwał się krzyk bólu. Nie czuł prawego ramienia, prawdopodobnie miał zwichnięty staw barkowy. Z wysiłkiem stanął na nogach. Trudno mu było zachować równowagę; zawroty głowy uniemożliwiały mu orientację przestrzenną. Był bosy, ale to można było znieść. Nie do wytrzymania była natomiast myśl, że stracił brązowe mokasyny, na których tak mu zależało.

– Hej! – krzyknął w ciemność, która natychmiast odpowiedziała mu, odbijając echem jego głos.

Znajdował się pod ziemią, ale już nie w kanale ściekowym – był tego pewien. Woda mogła go zanieść wszędzie. Podziemia Rzymu dostarczały mnóstwa geologicznych i historycznych

niespodzianek, a niektóre z nich jeszcze nie zostały odkryte. Możliwość, że trafił do jakiejś pieprzonej świątyni poświęconej Jowiszowi, znajdującej się pięćdziesiąt metrów pod ziemią, nie wydała mu się pociągająca, choć być może byłby pierwszą istotą ludzką, która postawiła tu nogę po tysiącu lat. Roześmiał się na tę myśl i choć żebra sprawiały mu okropny ból, zrobił to na cały głos. Spróbował wyobrazić sobie miny archeologów, którzy by go tu znaleźli. Zadawali by sobie pytania, co tu robi mumia w jasnoszarym garniturze i z granatowym krawatem. Może w końcu wystawią mnie w jakimś muzeum, pomyślał.

Śmiech dobrze mu zrobił. Skoro jestem ciągle żywy, to może warto chwycić się tej szansy.

Spróbował ruszyć na niepewnych nogach i potknął się już przy pierwszym kroku; uderzył twarzą w bardzo twarde podłoże. Miał ochotę przekląć szpetnie, ale na razie postanowił usunąć kopniakiem przeszkodę, która spowodowała upadek, i dopiero wtedy zorientował się, że na jego kostce u nogi owinęło się coś podobnego do węża. Odskoczył do tyłu, lecz gad nie zwolnił chwytu. Uspokoił się w końcu i zebrał na odwagę, żeby sięgnąć w dół zdrową ręką i uwolnić się.

Nie był to wąż, ale pasek torebki przewieszanej przez ramię.

Vitali przyciągnął ją do siebie, odsunął suwak i zaczął grzebać w środku. Wnętrze torebki było suche. Zachował się nawet jakiś papier. Macając palcami, wyczuł znajomy kształt. Odznaka. Sandra Vega, pomyślał. To musi być jej torebka. Przypomniał sobie, że chwycił się paska, żeby nie utonąć. Miał nadzieję, że jego koleżanka jest palaczką lub przynajmniej nosi przy sobie zapalniczkę na wypadek, gdyby trzeba było zapalić świecę. Przyznaj, idiotko, że się w nią zaopatrzyłaś. I rzeczywiście ją znalazł.

Chwycił zapalniczkę lewą ręką i próbował uruchomić kciukiem. Ale nie był mańkutem i zdobycz o mało mu się nie wysliznęła. Myśl, że straci jedyną nadzieję na przeżycie, przeraziła go. Spokój, nakazał sobie. I spróbował ponownie.

Płomyk zapalił się i natychmiast zgasł. W tym jednym ułamku sekundy zobaczył jednak, że znajduje się w jakiejś mrocznej jamie. To nie jest świątynia, pomyślał. Poza tym musiał tu być lekki prąd powietrza, którego nie wyczuł, ale zapalniczka tak. Przy trzeciej próbie postarał się lepiej osłonić płomień. Odrobina ciepła, które ogrzało mu dłoń, podniosła go na duchu. Zaczął obracać płomień wokół siebie. Znajdował się w obszernym kanale. W poszukiwaniu ujścia woda obaliła ścianę ścieku i wdarła się do znacznie większego tunelu. Ale dopiero gdy oświetlił okolice swoich stóp, domyślił się, gdzie się dokładnie znajduje.

Zobaczył dwie zardzewiałe stalowe szyny, które biegły równoległe i nikły w ciemności. Tory, pomyślał. Metro.

Podniósł się z ziemi i z pewnym wysiłkiem ruszył wzdłuż nich. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą. Musiał zdecydować, w którą ma iść. Nie był to łatwy wybór, ponieważ mógł się znowu natknąć na podziemną rzekę albo narazić na zasypanie przez osuwającą się ziemię, lub nawet gorzej, przez jakieś rumowisko. Byłby to iście szyderczy koniec po tym, jak uratował się od pewnego utonięcia.

Przewiesił przez ramię torebkę Vegi i ze zwieszoną wzdłuż boku prawą ręką ruszył w lewo, skąd dochodził lekki wietrzyk, który gasił zapalniczkę.

Jej płomień gasł jeszcze kilkakrotnie w trakcie drogi, ale po pokonaniu dwustu metrów Vitali dotarł w końcu do stacji. Przeczytał napis *Flaminio* i wdrapał się z trudem na peron. Zobaczył przed sobą filar. Podszedł i wycelował w niego prawym bokiem, a potem wziął krótki rozmach i uderzył prawym ramieniem. Z gardła wyrwał mu się krzyk bólu, który rozszedł się błyskawicznie z echem. Do oczu napłynęły mu łzy, ale bark wrócił na swoje naturalne miejsce. Inspektor poruszył kilka razy prawą ręką, która nadal go bolała, lecz jakby trochę mniej.

Wszedł na piętro, gdzie znajdowały się obrotowe wejścia na peron i automaty z biletami. Był też nieczynny dystrybutor napojów. Miał wielką nadzieję, że zwilży wyschnięte usta

napojem z puszki, choćby nawet ciepłym. Zaczął majstrować przy dystrybutorze, żeby się do niego dostać, a potem spróbował nawet stłuc szybkę znaną w torebce odznaką, szkło okazało się jednak za grube. Musiał dać za wygraną, choć szczęście było na wyciągnięcie ręki. Przed odejściem zobaczył odbicie własnej twarzy. Była w połowie pokryta fioletowymi sińcami i wyglądała jak maska. Będzie musiało upłynąć sporo czasu, zanim znowu przystawię się do jakiejś laski, pomyślał.

Ruszył w górę po schodach prowadzących na powierzchnię i znalazł się przed kratą, która zamykała wejście do metra. Na szczęście ktoś ją wyłamał, bo inaczej musiałby tu sterczeć nie wiadomo jak długo. Wszedł na duży plac i natychmiast spojrzął w stronę Porta Flaminia, która wzięła swoją nazwę od starożytnej drogi konsularnej.

Za ogromnymi bastionami otwierał się rozległy obszar piazza del Popolo, głównego miejsca nocnych starć. W tym momencie panowała na nim jedynie niepokojąca cisza, jeszcze bardziej upiorna w blasku płonących ognisk.

Niebawem Vitali przeszedł pod łukiem pochodzącym z roku tysięcznego. Przed nim rozciągało się pustkowie pełne śmieci. Przyszli mu od razu na myśl starożytni barbarzyńcy, ale to, co zobaczył, nawet w przybliżeniu nie przypominało podręcznikowych opisów Sacco di Roma – grabieży Wiecznego Miasta dokonanej w piątym wieku naszej ery przez Wizygotów pod wodzą ich króla Alaryka. Tamto krwawe wydarzenie zostało zinterpretowane przez świętego Augustyna jako kara niebios nałożona na Rzym, stolicę pogan, którzy nie chcieli przyjąć chrześcijaństwa. Tym razem napastnikami nie byli barbarzyńcy. Większa ich część urodziła się i wyrosła tutaj.

Zaraza, pomyślał.

Kamienne lwy strzegące fontanny i imponującego obelisku zostały oszpecone. W wielu miejscach placu paliły się ogniska. Zobaczył furgonetkę policyjną i przypomniał sobie, że to było pierwsze miejsce, w które wysłano siły policyjne po wybuchu zamieszek. Pojazd został porzucony przez funkcjonariuszy,

a potem ktoś posłużył się nim, żeby wleźć na latarnię. Widać było przywiązanego do niej za ręce i nogi mężczyznę w mundurze.

Zatłukli go na śmierć.

Miał zdeformowaną twarz i wydawało się, że w całym ciele nie pozostała mu nawet jedna cała kość, ale Vitali zauważył, że zegarek na jego nadgarstku działa. Śmieszne, pomyślał. Znał tego policjanta? Być może. Kto wie, ile razy mijali się w korytarzach komendy. Przyszło mu na myśl, żeby odmówić pacierz. Nigdy jednak nie potrafił zwracać się do świętych, więc i teraz nie wiedział, od czego zacząć. Mógł zrobić dla umarłych tylko jedno – zachować własne życie. Dlatego wsiadł do furgonetki. Mimo że w kołach nie było powietrza, uruchomił silnik i odjechał z tego miejsca, pozostawiając za plecami ciało policjanta.

\* \* \*

Miał szczęście, że udało mu się przecisnąć między samochodami i pojemnikami na śmieci blokującymi ulice. Gdy jednak dotarł do via Veneto, musiał porzucić pojazd i iść dalej pieszo. Ta ulica symbolizująca *Słodkie życie* stała się terenem orgiastycznego biesiadowania na wolnym powietrzu. Rozrzucone wszędzie butelki, potłuczone szyby, bazyliki na ścianach. L'Excelsior, Grand, Baglioni i inne luksusowe pięciogwiazdkowe hotele zostały zwyczajnie złupione. Spoza osmalonych, ciągle dymiących fasad nie dochodziły żadne odgłosy, żadne lamenty.

W końcu znalazł się przed wejściem do bunkra z Mrowiskiem. Broniła go jednak zapora złożona z pojazdów i uzbrojonych ludzi. Prawe ramię ciągle go bolało, ale podszedł z uniesionymi rękami, mając nadzieję, że żaden z pilnujących nie będzie miał aż tak napiętych nerwów, by strzelić bez ostrzeżenia.

– Kto idzie? – odezwał się jakiś głos.

– Inspektor Vitali – odparł.

– Proszę okazać dokument – usłyszał w odpowiedzi.

– Mam przy sobie odznakę, ale muszę podejść bliżej, żebyście mogli ją zobaczyć. – Miał na myśli odznakę Vegi znaną w torebce.

– Proszę stać w miejscu, jak powiedziałem, i okazać dokumenty.

Vitali westchnął; nie było sposobu, żeby zachęcić do myślenia tępaka w mundurze.

– Jestem szefem biura statystycznego do spraw przestępczości. – Miał niemal ochotę się roześmiać, powtarzając w kółko te słowa niczym mantrę. Odpowiedziało mu długie milczenie. Wydawało się, że ktoś sprawdza podaną informację.

– Dobrze, może pan przejść – odezwał się w końcu czyjś głos. – Ale ciągle z podniesionymi rękami.

\* \* \*

Obejrzał go lekarz w Mrowisku. Opatrzono mu liczne drobne obrażenia, w tym pękniętą kość policzkową. Na wszelki wypadek lekarz obandażował mu ramię i wręczył opakowanie toradolu w pastylkach.

Vitali wziął prysznic w łazience ambulatorium, otrzymał też czyste ubrania – dżinsy, koszulkę polo i parę adidasów, które wyglądały, jakby pochodziły ze sklepu z zabytkami. Udało mu się nawet wyprosić chłodny napój i smakował go, myśląc o puszkach zamkniętych w sejfie nieczynnego dystrybutora w metrze. Połknął dwie pastylki przeciwbólowe, ale tak naprawdę dałby wszystko za choćby jedną cudowną działkę kokainy.

Posiliwszy się, postanowił przystąpić do pracy. Być może Sandra Vega i jej dziwny milczący przyjaciel zginęli w podziemiach, ale mogli pozostawić za sobą jakiś trop.

Do świtu pozostało kilka godzin i Vitali mógł zrobić tylko jedno: spróbować zatrzymać plagę, zanim rozleje się poza obręb centrum miasta. Zarażenie wywołały wprawdzie anomalie pogodowe i wyłączenie prądu, ale w gruncie rzeczy odegrały one



również rolę czynnika przypominającego przymusową kwarantannę.

Żeby przyjrzeć się lepiej kwestii zamieszania Vegi w sprawę, którą się zajmował, lub przynajmniej dowiedzieć się, ile ta kobieta może o nich wiedzieć, przeszukał jej torebkę. Natrafił znowu na kartkę, którą wyczuł palcami w tunelu metra. Rozwinął ją. Było to coś w rodzaju listy.

*Sposób zadawania śmierci: dawne sposoby torturowania.*

*Białe tenisówki (Marcus i biskup Gorda).*

*Czarna hostia (narkoman).*

*Wytatuowane niebieskie kółko: Kościół Zaćmienia Księżyca.*

*Poświęcanie niewinnych ofiar.*

*Zaciemnienie miasta – papież Leon X.*

*Tajemniczy notatnik.*

*Tobi Frai.*

Listę kończył dopisek na samym dole.

*Element przypadkowy: chwilowy zanik pamięci u Marcusa.*

Marcus, pomyślał Vitali, powtarzając półgłosem to imię. Przypomniał sobie, że mężczyzna, któremu ciekła krew z nosa, miał na nogach białe tenisówki. Teraz wiedział już przynajmniej, jak on ma na imię i że przeszedł chwilową utratę pamięci. Musiał tylko ustalić, kim jest.

Lista zawierała też inną informację. Tych dwoje dotarło do Biskupa. Vitali był zaskoczony, kiedy przeczytał nazwisko Artura Gordy. Już wcześniej zadawał sobie pytanie, kim jest ten tajemniczy członek sekty, ale nie przypuszczał, że może chodzić o prawdziwego duchownego.

Zastanawiał się, czy dotarli też do Zabawkarza. Przed wszystkim jednak interesował go Alchemik. Na liście nie było żadnej wzmianki o nim, wspomniano tylko o tajemniczym

notatniku. Gdyby mógł położyć na nim łapę, być może zdołałby rozwiązać całą zagadkę. A może nie.

Gdy snuł rozmyślenia o tym wszystkim, podszedł do niego jakiś funkcjonariusz.

– Naczelnik prosi pana inspektora do swojego biura.

\* \* \*

Naczelnik De Giorgi czekał na niego razem z komendantem Albertim. Obaj mieli posępne miny.

– Proszę usiąść, inspektorze – zaprosił go naczelnik.

Vitali zajął miejsce przed biurkiem, na którym leżał otwarty plan Rzymu.

– Mamy zarówno dobre, jak i złe wiadomości – oświadczył komendant.

– Jeśli można, to poproszę najpierw o te dobre – odparł Vitali, który miał już dość nieszczęść.

– Udało się nam ograniczyć rewoltę.

Być może nie należy już używać określenia „rewolta”, pomyślał inspektor, lecz nie powiedział tego głośno.

Alberti wskazał strefę na planie.

– Obliczyliśmy, że buntowników jest około tysiąca. Na piazza del Popolo wzięli nas z zaskoczenia, ponieważ nie spodziewaliśmy się aż takiej agresji. Ale nie wyszli poza Mury Aureliana ani nie przekroczyli murów koło wzgórza Gianicolo.

– W tym pomógł nam Tyber – wtrącił naczelnik. – Powódź nie pozwoliła im opuścić historycznego centrum miasta.

– Mówimy o obszarze piętnastu kilometrów kwadratowych, na których mieszka osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi – dodał komendant.

Vitali przyjrzał się planowi.

– Dobrze... A teraz te złe wiadomości...

– Wchodzą do podziemi i nagle z nich wyskakują, zastawiając pułapki na naszych ludzi: wielu funkcjonariuszy odniosło rany, jest też kilku zabitych.

Wiem coś o tym, miał ochotę powiedzieć inspektor. Osobiście przeszedł bardzo interesujące spotkanie sam na sam z trzema z nich w kanale ściekowym.

– Ciągłe powtarzam sobie, że mogliśmy uniknąć tego, co się dzieje tej nocy – odezwał się rozdrażniony naczelnik. – Pan nas uprzedził, ale nie doceniliśmy pańskich argumentów – przyznał.

Vitali wzruszył ramionami, jakby ta sprawa już go nie dotyczyła.

– Kościół Zaćmienia Księżyca czekał tylko na pretekst, żeby dać hasło do niszczenia wszystkiego. A ponieważ najbliższe zaćmienie Księżyca widoczne w Rzymie nastąpi za sześć lat, wykorzystali okazję, jaka się nasunęła w związku z wyłączeniem prądu.

– Zgoda, niech pan przyjmie nasze przeprosiny – powiedział komendant. – Teraz jednak musi nam pan poradzić, jak zdusić to wszystko.

Inspektor zastanawiał się przez chwilę.

– Słyszałem, że do Rzymu zmierza wojsko. No cóż, powiedzcie tym chłopcom w mundurach, że za każdym razem, gdy natkną się na osobników, u których zauważą nieobecne spojrzenie, mają strzelać do nich jak do kaczek.

– Pan zwariował – rzucił naczelnik.

– Nie potraficie tego pojąć. – Vitali pokręcił z rozbawieniem głową. – Siedzicie zamknięci w tym ślicznym bunkrze, a ja byłem na mieście. Widziałem to na własne oczy. I słyszałem. Osobiście zetknąłem się z tą destrukcją. Utrzymujecie, że udało się wam zdusić rewoltę, ja natomiast twierdzę, że straciliśmy już nad nią kontrolę. Tej zarazy nie da się zatrzymać.

Naczelnik rąbnął pięścią w blat biurka.

– Ależ musi być na to jakiś sposób!

– Dzisiaj zabiłem pięciu – przyznał się Vitali, nie obawiając się konsekwencji. Pierwszym był zbir, który chciał mu zabrać portfel. – Zapewniam was, że nie ma innego wyjścia – stwierdził, a potem dodał: – Alchemik okazał się wielkim spryciarzem, uprzedził nasze działania.

– Więc nie ma na to żadnego antidotum? – spytał zniecierpliwiony naczelnik.

– Nawet jeśli uda się nam je przygotować, to ci, którzy zażywali już czarną hostię, będą wystarczająco świadomi jej działania, żeby udać się do szpitala i kazać ją sobie przepisać.

– Więc co pan proponuje? – spytał komendant.

– W najlepszym razie zaczekać. W przeszłości skutki zarazy ulegały złagodzeniu z upływem godzin.

– A w najgorszym?

– Zacząć się modlić, i to z całą powagą – odparł, po czym dodał: – Tym razem jest inaczej, niż bywało wcześniej. Odniosłem wrażenie, że ta czarna zaraza uległa ewolucji. Doszło coś, co wyzwała gwałtowne reakcje tych sukinsynów, chociaż nie umiałbym powiedzieć co. – Pomyślał o tamtych trzech w tunelu i o tym, z jaką dzikością rzucili się na Sandrę i jej towarzysza, kiedy zgasło światło latarki. – Żeby stwierdzić, czy się nie mylę, trzeba by złapać któregoś z nich i go zbadać.

Dwaj jego zwierzchnicy spojrzeli na siebie w milczeniu.

– Jest jeszcze inny problem – oświadczył naczelnik.

Vitali stracił już rachubę ich zmartwień.

– Jaki?

– Proklamacja.

Zanim inspektor zdążył poprosić o wyjaśnienia, głos zabrał komendant:

– Pozbawieni komórek, cyfrowych odbiorników radiowych i telewizji mieszkańcy odkryli na nowo pewne dawniejsze urządzenia. Na przykład żeby zdobyć informacje o tym, co się dzieje, uruchamiają radia tranzystorowe. – Wyjął z kieszeni marynarki mały cyfrowy magnetofon i położył go na stole. – Dowiedzieliśmy się o tym, ponieważ sygnał analogowy nałożył się na kanały łącznościowe pogotowia policyjnego.

– O czym panowie mówicie? – spytał inspektor.

– O transmisji radiowej, która sieje strach również wśród naszych ludzi.

Komendant uruchomił cyfrową nagrywarke. Na tle trzasków i zakłóceń zabrzmiał przymilny męski głos:

*Uwaga! Jest to pierwszy komunikat oznajmiający zaprowadzenie nowych porządków. Zdobyliśmy Rzym, miasto należy do nas. Obrońcy prawa i siły stojące na straży porządku publicznego opowiedziały się już po naszej stronie. Zwracamy się do żołnierzy, którzy zapewne szykują się, żeby wkroczyć do stolicy: trzymajcie się z dala od miasta, które należy do nas. Jeśli przekroczycie jego święte granice, nigdy więcej nie wrócicie do waszych rodzin, nie zobaczycie waszych synów, żon, mężów i narzeczonych, a ojcowie i matki będą was oplakiwać... Posłuchajcie, mieszkańcy Rzymu: papież uciekł i katolicy pozostali bez swojego przewodnika. Mury Watykanu leżą w gruzach, zdobyta została również Kaplica Sykstyńska. Nawracajcie się na religię Władcy Ciemności, wychodźcie na ulice i zabijajcie niewiernych, którzy ośmielą się wam oprzeć. Ci z was, którzy nie podejmą naszego wezwania, zostaną uznani za wrogów Kościoła Zaćmienia Księżyca.*

Komendant wyłączył nagranie.

Vitali spojrzał na przełożonych.

– Nabieracie mnie?

– Chciałbym, żeby tak było – odparł naczelnik.

– Naprawdę jest ktoś, kto wierzy w te rzeczy?

– W roku dwa tysiące szóstym w Bombaju w Indiach rozeszła się wieść, że woda morska stała się nagle słodka. Ludzie całymi tysiącami pobiegli na brzeg i zaczęli ją pić, przekonani, że chodzi o cud.

– A tymczasem co to było? – spytał inspektor, który nie rozumiał, co to ma wspólnego z obecną sytuacją.

– Zbiorowa psychoza – odparł naczelnik. – W rzeczywistości woda morska się nie zmieniła, ale ci ludzie byli pewni, że jest odwrotnie.

– Halucynacja?

– Może pan to nazwać, jak się panu podoba. Faktem jest, że majaczenia, których pan wysłuchał, mogą pociągnąć za sobą analogiczne skutki, ponieważ pojawiają się w chwili, gdy ludność ma za sobą wiele trudnych doświadczeń. Ci szaleńcy chcą jeszcze bardziej podsycić panikę, a w rezultacie pogrążyć miasto w chaosie.

Vitali był zszokowany.

– Wojsko nie przybędzie?

– Jasne, że przybędzie, niebawem zaczną wchodzić do miasta – zapewnił komendant. – Tylko że generałowie ze sztabu chcą się najpierw dowiedzieć, czego mogą się spodziewać. Ponieważ ma to być największa operacja wojskowa na obszarze Włoch od czasów wojny.

– A my? Co będziemy tymczasem robić?

– Został nam tylko pan, inspektorze. – Naczelnik położył dłoń na jego zdrowym ramieniu. – Musi pan znowu wyprawić się do miasta, zidentyfikować miejsce, z którego nadawane są te apele, i zlikwidować nadajnik.

– Naprawdę sądzicie, że to wystarczy?

– Musimy jakoś przemówić do rozsądku tym szaleńcom, a także wszystkim innym, dopóki możemy jeszcze się im przeciwstawić, bo inaczej siły, które w końcu przybędą, żeby nam pomóc, zastaną tylko trupy i gruzowiska.

Inspektor zastanawiał się w milczeniu.

– Dobrze, zgadzam się.

– Przydzielimy panu sześciu ludzi, żeby mógł się pan bezpiecznie poruszać – zapewnił go naczelnik. – Będziecie mieli do dyspozycji broń i środki umożliwiające dotarcie do tego pieprzonego nadajnika.

– Nie, dziękuję – odparł Vitali. – Pójdę sam.

Wrócili do mieszkania zastępczego hondą.

Nie mogli zabrać ze sobą walizki, więc powierzyli ją na przechowanie nocnemu portierowi. Opuścili hotel Europa z przekonaniem, że po dziewięciu latach Tobi Frai jeszcze żyje. Doszli do tego wniosku po przyjrzeniu się znalezionym ubrankom. Było w tym jednak coś dziwnego: dlaczego walizka zawierała tylko kilka sztuk odzieży? Po jednej na każdy rok życia chłopca. Wydawało się, jakby całość została celowo przygotowana po to, żeby wysłać pewien komunikat.

A dokładnie informację: Tobi żyje, bierzcie się do szukania go. Ale kto był jej adresatem? I dlaczego?

Być może w znalezieniu odpowiedzi mógłby im pomóc komisarz Crespi. Dotarli na via del Governo Vecchio z zamiarem skonsultowania się z nim.

– Idź do swojego kolegi – powiedział Marcus. – Zapytaj go, czy wie coś o tym, ale nie rozczulaj się jego opowiastkami. Mam przeczucie, że członkowie Kościoła Zaćmienia z jakiegoś powodu nie zabili jeszcze Tobiego, ale ta noc mogłaby dostarczyć im dobrej okazji, żeby to zrobić.

– Nie pójdziesz ze mną? – spytała Sandra.

– Muszę szybko załatwić pewną sprawę – odparł wymijająco Marcus i wręczył jej jeden z telefonów satelitarnych. – Jeśli będziesz miała jakąś nową wiadomość, skontaktuj się ze mną.

– Zgoda.

Marcus rzucił okiem na wskaźnik poziomu paliwa w baku hondy. Została rezerwa.

– Co masz tak ważnego do zrobienia? – przycisnęła go Sandra, która nie znosiła pozostawania w niewiedzy.

– Muszę zdobyć pewną książkę – odparł penitencjariusz, włączył bieg i odjechał.

Wchodząc po schodach, Sandra zastanawiała się, co Marcus chciał powiedzieć. O jakiej książce mówił? Co miał na myśli? Dotarłszy na podest, zapukała do drzwi, ponieważ Crespi zamknął się od środka. Nie otrzymała odpowiedzi. Spróbowała jeszcze raz, tym razem głośniej. Mógł zasnąć, ale jakoś nie potrafiła w to uwierzyć. Wyjęła rewolwer i strzeliła w zamek.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Zapaliła latarkę. Odniosła wrażenie, że w środku panuje spokój. Obok wygasłego kominka leżała zgnieciona paczka po papierosach.

– Crespi, gdzie jesteś?! – zawołała, krocząc powoli z bronią w ręku. Zajrzała do kuchni i łazienki, ale komisarza w nich nie było. Do sprawdzenia pozostało jeszcze zamknięte pomieszczenie. Tym razem Sandra nawet nie próbowała pukać. Strzeliła prosto w zamek i otworzyła drzwi kopniakiem.

Z pokoju wydostała się szara chmura. Sandra zaczęła kasłać. Bardzo drobny kurz dostał się do jej oczu i natychmiast wypełniły się łzami, mimo to zdołała dostrzec ciało komisarza leżące bez ruchu na podłodze. Osłoniła usta kołnierzem kurtki i weszła do środka.

Crespi leżał na brzuchu, ściskając w ręce ogarek świecy. Sandra odwróciła komisarza. Żył jeszcze.

Chwyliła go pod pachy i wyciągnęła na korytarz. Szary pył szedł za nimi niczym nieodstępne widmo, mógł zadusić również ją. Popiół, pomyślała. Skąd on się tu wziął? Przyłożyła dłoń do ust i nosa Crespiego, który wciąż oddychał, ale słabo. Musiałaby oczyścić mu drogi oddechowe. Zostawiła go i pobiegła do kuchni po wodę. Z kranów ciekła tylko mulista ciecz. Zaczęła przeglądać półki w kredensie, szukając butelki z czymś do picia, i przypomniał się jej stosowany przez starożytnych Rzymian sposób na zmuszenie więźniów do mówienia. Zamykali ich



w pomieszczeniu z podłogą posypaną popiołem i zostawiali tam, dopóki nie zaczęli zeznawać. Popiół był tak drobny, że łatwo unosił się w powietrzu i błyskawicznie osiadał w płucach, gdzie zlepił się w większe drobiny, nie zostawiając nieszczęśnikom żadnej szansy na ratunek. Kończyło się na tym, że nawet ci więźniowie, którzy w końcu zaczynali mówić i wychodzili na wolność, po kilku dniach umierali z powodu zatkania pęcherzyków płucnych.

Tortura, pomyślała Sandra. A wobec zatwardziałego palacza Crespiego odegrała też rolę dodatkowej kary.

Istniał jednak większy powód do obaw. Zabójca, który likwidował po kolei członków Kościoła Zaćmienia, dotarł również tu i zastawił pułapkę na komisarza. Jak mu się to udało?

Wróciła z wodą mineralną i wlała Crispiemu do ust, ale ją wypluł. Otworzył jednak oczy i zobaczył Sandrę. Po twarzy, na której osiadły drobiny pyłu, spłynęła łza, pozostawiając po sobie wyraźną bruzdę. Uniósł rękę i pokrytym popiołem palcem napisał coś na ścianie, którą miał obok siebie. Tylko jedno słowo.

*Szantaż.*

Zauważyła, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz nie jest w stanie.

– Doszliśmy do wniosku, że Tobi żyje – poinformowała go, domyślając się, że chce mówić o zaginionym chłopcu.

Komisarz kiwnął głową.

– Wiesz może, gdzie on jest lub gdzie przebywał przez te wszystkie lata?

Crespi pokręcił głową na znak, że nie wie.

– Więc co chcesz mi wyznać?

Próbował coś powiedzieć, ale bez skutku. Oddychał z coraz większym trudem, wydając przy tym przejmujące charczenie. Znowu uniósł rękę w stronę ściany i tym razem zaczął coś rysować.

Jego rysunek przypominał dziwne słońce, jak z dziecięcego obrazka, tyle że promienie nie wychodziły na zewnątrz, lecz kierowały się do środka.

– Nie rozumiem – rzuciła, nie mając pojęcia, o co chodzi. – Co to ma być?

Crespi oderwał wzrok od jej twarzy i spojrział w sufit. Jego ciężki oddech przeszedł w rżenie, a zaraz potem pierś przestała się unosić. Sandra przyglądała mu się przez długą chwilę. Potem delikatnym ruchem dłoni przymknęła mu powieki.

– Szantaż, a do tego koło z promieniami skierowanymi do środka – szepnęła do siebie. Ale nie miała czasu na zastanowienie się, co mogły znaczyć te informacje. To mieszkanie przestało być bezpieczne. Musiała je opuścić. I to natychmiast.

Biblioteka Angelica mieści się w byłym klasztorze augustiańskim na piazza Sant'Agostino. Począwszy od roku 1600 zakonnicy zajmowali się tu zbieraniem i katalogowaniem, a potem starannym przechowywaniem około dwustu tysięcy cennych woluminów. Marcus pamiętał, że była to pierwsza europejska biblioteka dostępna szerokiej publiczności. To, co zobaczył, gdy znalazł się przed wejściem do budynku, zmusiło go do zatrzymania się.

Błoto z wylewającego Tybru wtargnęło z westybulu aż do czytelnicy – słynnej Wazy, dzieła architekta Vanvitellego, który przebudował kompleks w osiemnastym wieku. Księgi stojące na najniższych półkach zamieniły się w szarą papierową papkę. Setki tekstów o nieocenionej wartości historycznej i artystycznej uległy nieodwracalnemu zniszczeniu. Wiszące półki zapadły się i tomy pływały w zamulonej wodzie.

Wyjątek stanowiło szczelnie zamknięte pomieszczenie, w którym przechowywano najcenniejsze inkunabuły.

Penitencjariusz znał na pamięć kombinację umożliwiającą wejście. Był tu wiele razy, żeby studiować książki poświęcone pochodzeniu zła, łącznie z tymi, które od stuleci były zakazane. Miał tylko nadzieję, że baterie podtrzymujące systemy zabezpieczające ciągle działają i umożliwią mu dostęp.

Działały. Wszedł do małej sali, w której odpowiedni mikroklimat, nie za suchy i nie za wilgotny, zapewniał idealne warunki przechowywanym tu inkunabułom. Zazwyczaj naukowcy, którzy pragnęli je studiować, wciągali białe rękawiczki, żeby nie narażać na nieodwracalne szkody bardzo

delikatnych kart, bogato zdobionych miniaturami. Ale Marcus nie miał na to czasu. Natychmiast zabrał się do szukania księgi, o którą poprosił go Cornelius Van Buren w czasie ostatniego spotkania.

*Historia naturalis* Pliniusza Starszego.

Znalazł ją i owinął w białe lniane płótno. Składając obietnicę Corneliusowi, z pewnością nie zamierzał powierzyć temu potworowi podobnego skarbu ludzkości. Chciał tylko umożliwić mu podziwianie go przez kraty celi, a potem odnieść księgę na miejsce. Tyle że w ostatnich godzinach sytuacja uległa zmianie. Jeśli poświęcenie jednego woluminu mogłoby posłużyć uratowaniu Rzymu, a przede wszystkim życia małemu chłopcu, to Marcus był gotów to zaakceptować.

Ułożył delikatny pakunek na zbiorniku paliwa motocykla, między sobą i kierownicą, i ruszył. Aż do tej chwili wchodził do Watykanu, korzystając zawsze z pomocy Erriagi. Teraz z pewnością było trudniej z powodu żandarmerii i straży szwajcarskiej, które obsadzały wszystkie wejścia, żeby uniemożliwić obcym wtargnięcie w granice małego państwa.

Marcus znał jednak sposób na ich ominięcie.

\* \* \*

Passetto di Borgo to ścieżka na Murach Leoniańskich łącząca watykańskie pałace z Zamkiem Świętego Anioła. Praktycznie rzecz biorąc, chodziło o wiadukt, który w dawnych czasach umożliwiał papieżowi dotarcie do twierdzy w razie zagrożenia. Penitencjariusz pokonał ją w kierunku odwrotnym i znalazł się znowu w obrębie ogrodów. Przeszedł przez zaniedbany zagajnik i zapukał do drzwi odciętego od świata klasztoru wdów po Chrystusie.

Otworzyła mu zakonnica i jak zwykle poprowadziła go w milczeniu do celi sekretnego mieszkańca budynku. Marcus zauważył, że tym razem wyszła do niego inna siostra niż poprzednim razem. Choć osłaniał ją długi habit i czarny welon

na twarzy, dostrzegł na jej nogach inne buty, niż miała siostra, która prowadziła go tamtego popołudnia. Nie były to sznurowane trzewiki sięgające łydek, lecz czarne pantofle.

Gdy Marcus stanął ze świecą w ręce przed kratami, Cornelius leżał w ciemności na pryczy.

– Nie przejmuj się, nie śpię – odezwał się więzień. – W miarę starzenia się sypiam coraz mniej i dni dłużą mi się nie do wytrzymania. Dlatego lubię, jak przychodzisz, bo przynosisz mi odmianę.

Marcus włożył rękę między żelazne kraty i podał mu inkunabuł.

– Dotrzymałem obietnicy.

Van Buren podniósł się z pryczy i z błyszczącymi ze zdumienia oczami podszedł, żeby odebrać księgę.

– Aż mi dech zaparło. – Wrócił na swoje miejsce i położył ją na kolanach. Odwinął białe lniane płótno i przyjrzał się jej z zachwytem. – Co za wspaniałość, co za cud! – Uniósł zszywaną ręcznie skórzaną okładkę i zaczął przeglądać rzadkie miniatury, ledwie muskając je dłonią.

Również Marcus przyglądał się rysunkom i złożonym haftom zdobiącym poszczególne stronice, ale przyszedł tu z innych powodów.

– Twoje zadowolenie jest już dla mnie nagrodą, Corneliusie – zażartował. – Ale chętnie odbiorę obiecaną rekompensatę.

Van Buren podniósł wzrok znad księgi.

– Opowiedz mi, jakie nowe wieści udało ci się zdobyć, a ja ci pomogę.

Penitencjariusz przedstawił mu wydarzenia ostatnich godzin. Postanowił nie pomijać niczego; ostrożność mogła się okazać zbyt wielkim luksusem wobec zagrożenia, jakie wisiało nad Rzymem i Tobim Frai.

– A więc po dziewięciu latach ten chłopiec ciągle żyje – przyjął w końcu do wiadomości Van Buren, tak jakby serce seryjnego zabójcy mogło naprawdę docenić podobną wieść.

– Obawiam się jednak, że zostało mu niewiele godzin – oświadczył Marcus. – Boję się, że chcą go zabić jeszcze tej nocy.

– A dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem tego, ale podejrzewam, że Kościół Zaćmienia Księżyca będzie chciał uczcić ten dzień niszczenia wszystkiego poświęceniem niewinnego życia.

Cornelius zastanawiał się przez chwilę.

– Syn zakonnicy jest bardzo potężnym symbolem – przyznał.

– Dlatego muszę unieszkodliwić Władcę Ciemności. Tylko żeby do niego dotrzeć, muszę najpierw znaleźć Alchemika.

– Nie uważasz, że aby zrozumieć rolę, jaką odgrywa ta osoba, należałoby poznać zwyczaje i rytuały Kościoła Zaćmienia?

– Należący do sekty komisarz Crespi opowiadał o czymś w rodzaju rytuału, podczas którego indoktrynowani są członkowie. On twierdzi, że nie rozpoznają się między sobą, ponieważ wszyscy noszą czarne tuniki i maski.

Starzec położył inkunabuł koło siebie na pryczy i zaczął się gładzić po szczeciniastej brodzie.

– Maski i Alchemik – powtórzył w zamyśleniu. – Przychodzą mi na myśl Nikolay i Penka Šišmanowie – dodał.

– Ten Alchemik to dwie osoby? – zdziwił się penitencjariusz.

– Nie spiesz się tak z łaski swojej – powstrzymał go Van Buren.

– Zastanawiam się ciągle, ale przychodzi mi na myśl tylko ta historia...

– Opowiedz mi ją.

– Z początku Šišmanowie byli rodem bułgarskich książąt osiadłych od wieków w Rzymie, którzy schronili się tu przed prześladowaniami chrześcijan przez otomańskich Turków. Należeli do dworu papieskiego, który dochował wierności papieżowi także po roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym, kiedy ten został pozbawiony swojej władzy ziemskiej. Jednak w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym Paweł Szósty wydał dekret, ogłaszając rozwiązanie dworu i arystokracji watykańskiej, ponieważ uznał ją za niepotrzebny relikwyt przeszłości. Książęta Šišmanowie, którzy zapłacili wygnaniem za

swoją wierność Kościołowi rzymskiemu, poczuli się obrażeni i upokorzeni. Wraz z innymi członkami możnych rodów podtrzymali istnienie tak zwanej Czarnej Magnaterii. Należąc do niewielkiej grupy osób przekonanych o tym, że w ich żyłach płynie błękitna krew, postawili sobie zadanie przywrócenia odwiecznych tradycji, a wraz z nimi również własnych przywilejów.

– Ale co to ma wspólnego z dwójką Šišmanów, których wymieniałeś?

– Nikolay ożenił się z Penką wbrew woli swej rodziny. Ona, będąc zwykłą nauczycielką, przyjęła stare nazwisko męża... Była kobietą pełną życia i jej bale maskowe, które odbywały się w jednym z historycznych pałaców w centrum, cieszyły się w Rzymie wielką sławą. Natomiast Nikolay był człowiekiem powściągliwym i poświęcał się badaniom naukowym. Zbuntował się przeciwko woli swoich rodziców i ukończył studia chemiczne.

Nagle w oczach Marcusa wszystko stało się jasne.

– Te ich maski pochodzą od Penki, a Alchemik jest po prostu chemikiem.

– Musisz poznać dalszy ciąg tej historii, sięga ona mniej więcej lat siedemdziesiątych. – Van Buren wbił wzrok w podłogę celi. – Gdy Penka Šišman jako jeszcze młoda kobieta zapadła na ciężką chorobę, Nikolay, pragnąc przywrócić żonie zdrowie, zapewnił jej pomoc największych luminarzy medycyny. Gdy jednak lekarze uznali, że są bezsilni, wbił sobie do głowy, że sam ją wyleczy. Objechał świat w poszukiwaniu cudownych eliksirów i wypróbował na biedaczce wiele różnych mikstur, z których część sam przyrządził. Ani myślał poddawać się rzeczywistości, która przyprawiała go o szaleństwo. Ale pewnego wrześniowego dnia Penka umarła i rodzice oświadczyli Nikolayowi, że był to akt Bożej sprawiedliwości.

– I co się stało?

– Ano to, że Nikolay odrzucił wiarę. Nadal urządzał w swoim domu maskarady, ale w innym celu: teraz żądał od gości, żeby dopełniali magicznych rytuałów i uczestniczyli w seansach

spirytystycznych. Jego obsesją stało się nawiązanie kontaktu ze zmarłą żoną, kobietą, którą kochał bezgranicznie.

– Jaki związek może mieć ta historia z Kościołem Zaćmienia Księżyca? – spytał Marcus.

Starzec spojrział na niego.

– A ty? Co byłąś gotów zrobić z miłości? – Zadał to pytanie rozmyślnie prowokującym tonem.

Zaskoczony penitencjariusz nie odpowiedział.

– Byłąś gotowy sprzedać duszę Władcy Ciemności? – Cornelius wybuchnął śmiechem. – Biedny to ksiądz, który żyje, walcząc z pokusami.

Marcus z ochotą wszedłby do celi, żeby mu przyłożyć.

– Nie rób takiej ponurej miny tylko dlatego, że trochę cię nabieram – powiedział starzec, a potem spoważniał. – Niedawno wypowiedziałeś pewne zdanie, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia swoich własnych słów... Wspominając o tym, jak komisarz policji opisywał spotkania członków Kościoła Zaćmienia, wyjawiałeś mi, że uczestnicy noszą maski i czarne tuniki. Zgadza się?

– Tak.

– Mimo to istnieje sposób, żeby rozpoznać kogoś zakrytego od stóp do głów. Zastanów się.

Marcusa nagle ogarnął strach. Przed oczami stanęły mu wdowy po Chrystusie, które za każdym razem prowadziły go do więźnia. Nauczył się rozpoznawać je po obuwiu.

Dlatego spuścił wzrok na buty, które miał na nogach.

Cornelius był zadowolony, że jego uczeń sam rozwiązał problem.

– Nie istnieje zagrożenie, że ktoś zostanie rozpoznany, jeśli wszyscy noszą takie samo obuwie.

Białe tenisówki, pomyślał Marcus. To dlatego Crespi był tak zaniepokojony, kiedy zauważył je na jego nogach. Również biskup Gorda miał parę takiego obuwia. Istniało więc tylko jedno wyjaśnienie.



– Śledztwo, z którego nic nie pamiętam... Byłem bardzo blisko odkrycia prawdy. – Jeszcze jeden szczegół wyrwany z mroku amnezji. – To dlatego te przeklęte buty stały obok moich ubrań, kiedy przebudziłem się w Tullianum. – Ale co się wydarzyło wcześniej? Być może rozwiązał już sprawę, ale potem o tym zapomniał.

– Powinieneś nauczyć się lepiej ukrywać swoje zdenerwowanie – zauważył więzień, widząc go w tym stanie.

Marcus nie miał już jednak ochoty słuchać nauk starego misjonarza.

– Jeśli Alchemikiem jest Nikolay Šišman, gdzie go mogę znaleźć?

Van Buren pogłaskał inkunabuł.

– W miejscu, w którym się zamknął w dniu, gdy zmarła jego żona.

Sandra błędziła bez celu po corso Vittorio Emanuele II. Okolica była spustoszona i pełna gruzowisk. Smród błota z Tybru przyprawiał ją o wymioty.

Nie miała odwagi zapalić latarki, ponieważ człowiek, który zamordował Crespiego, mógł dopaść także ją. Myśl o śmierci nie przerażała jej tak bardzo jak obawy przed długimi i niedającymi się znieść torturami. Próbowwała zadzwonić do Marcusa z telefonu satelitarnego, by poinformować go o tym, co się wydarzyło z komisarzem i że poczuła się zmuszona uciec z mieszkania, ale to przeklęte urządzenie nie pozwalało jednak na nawiązanie kontaktu.

Gdzie jesteś? W jakie pieprzone miejsce trafiłeś, że nawet telefon satelitarny nie potrafi cię znaleźć? Obawiała się, że baterie, które były na wykończeniu, siadły całkowicie.

Spróbuję później, postanowiła.

Musiała się stąd ruszyć. Pomyślała, że być może znajdzie schronienie w kościele Santa Maria in Vallicella, lepiej znanym jako Nowy Kościół. Był pusty. Przeszła przez wielką nawę środkową aż do ołtarza. Zapaliła jedną ze świec wotywnych obok kazalnicy i przyświecając nią sobie, zaczęła wędrować od jednej kaplicy do drugiej. Przemknęło jej przez głowę, że w każdym zakątku Rzymu kryje się niewiarygodne bogactwo skarbów. Gdzieś tutaj, w otaczających ją ciemnościach, znajdowały się obrazy Rubensa, a sklepienie przyozdobione było freskami Pietra da Cortona. Zatrzymała się przed tablicą z informacjami dla turystów. Wodząc po nich wzrokiem, odkryła, że miejsce to kryje w sobie również coś niepokojącego. Kościół został zbudowany na

skraju terenu dawniej zwanego Polem Marsowym. A dokładnie w zagłębieniu, z którego w dalekiej przeszłości ulatniały się siarczane wyziewy, prawdopodobnie pozostałość po umiarkowanym aktywnym wulkanie. Z tego powodu starożytni Rzymianie uważali to miejsce za jedną z bram piekła. Czytając te informacje, Sandra poczuła, że przechodzi ją dreszcz. Mimo to przemierzała kościół pod dobrotliwym spojrzeniem posągów świętych, starając się skoncentrować na tym, co wyjawiał przed śmiercią Crespi.

*Szantaż.*

Niedawno wraz z Marcusem zadawała sobie pytanie, dlaczego w walizce z hotelu Europa jest tylko dziesięć ubrańek Tobiego Frai, które odpowiadały liczbie lat życia chłopca od dnia jego zaginięcia. Wyjaśnili to sobie tym, że zawartość walizki jest jakimś przesłaniem. Kościół Zaćmienia Księżyca chciał poinformować kogoś, że chłopiec ciągle żyje.

Kogo?

Z pewnością nie chodziło o jego matkę. Matilde Frai była biedna. Miała dyplom z literatury starożytnej i filologii, ale zarabiała na życie sprzątaniami i została odepchnięta przez bliskich. Przez dziewięć lat doświadczała ciężaru okrutnego oszczerstwa, że to ona jest winna zaginięcia syna. Była zakonnicą, która odrzuciła śluby zakonne, a także młodą matką. W trakcie ich rozmowy w niejasny sposób napomykała, że padła ofiarą molestowania.

*Pamiętam, że byłam na jakimś przyjęciu i poczułam się źle. Miesiąc później odkryłam, że jestem w ciąży. Jesteście w stanie wyobrazić sobie, jakim to było dla mnie wstrząsem? Miałam zaledwie dwadzieścia dwa lata, nie wiedziałam nic o życiu ani o tym, jak się wychowuje dziecko. Aż do tego czasu żyłam poza światem.*

Prawdopodobnie została wtedy przez kogoś zgwałcona i teraz wolała o tym nie mówić, bo choć to ona była ofiarą, wstydziła się tego. Może z powodu surowego katolickiego wychowania

odebranego w domu lub prania mózgu, jakie przeszła w klasztorze. Sandra była tego pewna.

To wykluczało Matilde z grona osób, które mogły być przedmiotem szantażu.

Nie mając wskazówek pozwalających rozwiązać pierwszą zagadkę, Sandra skupiła się na drugiej. Na dziwnym słońcu narysowanym przez Crespiego, którego promienie skierowane były do środka. I nagle zrozumiała, że to nie mogło być słońce, skoro przedmiotem kultu sekty było zaćmienie Księżyca.

– Księżyc z promieniami zwróconymi do środka... – szepnęła.

Ten obraz wydawał jej się dziwnie znajomy. Gdzie mogła go widzieć? Była pewna, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki. Wiedziała, że je zna. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że dozna olśnienia.

Wielkie koło... przypominające diabelski młyn z lunaparku.

W jej pamięci odżył wyraźny obraz wesołego miasteczka. Swoim rysunkiem Crespi chciał wskazać jej pewne miejsce – park rozrywki. Nie mogła się mylić. Uznała, że musi się tam udać.

Rzymski lunapark znajdował się w dzielnicy EUR.

\* \* \*

Wyszła na ulicę i rozejrzała się. Musiała znaleźć sposób, żeby dotrzeć do południowej części miasta. Pokonać dziesięć kilometrów w sytuacji, gdy transport publiczny nie działał. Gdyby szła pieszo, zajęłoby jej to prawie dwie godziny; niemal godzinę, jeśli pokonałaby ten dystans biegiem. Przy panujących w mieście ciemnościach nie byłoby to jednak bezpieczne; nie wiadomo, na co mogłaby się natknąć po drodze.

Obliczyła, że do świtu pozostało około trzech godzin. Niestety, nie miała aż tyle czasu.

Wyjęła telefon satelitarny i ponownie spróbowała połączyć się z Marcusem. Gdyby zdołała poinformować go o swoich zamiarach, być może mogliby pojechać tam motocyklem. Penitencjariusz jednak pozostawał ciągle nieuchwytny.

Dziwny odgłos podobny do trzepotu skrzydeł olbrzymiego stada ptaków sprawił, że spojrzała w niebo. Hałas zbliżał się i stawał coraz głośniejszy. Po chwili nad jej głową przeleciało kilka helikopterów. Burza minęła, więc latające pogotowie ratunkowe mogło wreszcie wznieść się w powietrze. Śmigłowce lustrowały obszar objęty zamieszkami za pomocą potężnych reflektorów halogenowych.

Dlaczego nie lądują, żeby skontrolować, co się dzieje? To bez sensu, pomyślała.

Latające monstra podpowiedziały jej jednak kierunek. Ruszyła w stronę rzeki, pokonała obszar pokryty błotem naniesionym przez powódź i wreszcie miała pod stopami twardą nawierzchnię. Na środku ulicy stał mały samochód z szeroko otwartymi drzwiami. Uznała, że ktoś, kto nim jechał, wystraszył się fali powodziowej i go porzucił. Usiadła za kierownicą. Na szczęście uciekający w pośpiechu kierowca zostawił kluczyk w stacyjce. Pomodliła się za niego, mając nadzieję, że się uratował, i uruchomiła silnik.

Musiała jechać bez świateł, ale nie miała wyboru. Przejechała przez ponte Cavour na drugą stronę rzeki i skręciła w stronę Zamku Świętego Anioła. Mijając wlot na via della Conciliazione, zobaczyła kontury Bazyliki Świętego Piotra rysujące się na tle nocnych mroków. Nieco dalej skręciła w prawo i kiedy znalazła się przed wjazdem do tunelu Principe Amedeo, zahamowała ostro. Nie odrywając rąk od kierownicy i nie gasząc silnika, zaczęła wpatrywać się w ogromną czarną paszczę przed sobą.

W głębi tunelu mogły się kryć wszelkiego rodzaju niespodzianki.

Włożyła między uda rewolwer, włączyła światła i docisnęła do podłogi pedał gazu. Mały samochód ruszył z dużą prędkością w kierunku wlotu. W tunelu znajdowały się inne pojazdy, które mogły uniemożliwić przejazd. A jeśli to pułapka? – pomyślała. Nie miała już jednak jak zawrócić. Starła się tylko obserwować wszystko wokół siebie. Co jakiś czas oblatywał ją strach, ponieważ wydawało się jej, że coś dostrzega. Była przekonana, że

w każdej chwili może wpaść w jakąś zasadzkę. Na szczęście nie było tu prawdziwych wrogów; ich kryjące się w mroku cienie istniały tylko w jej wyobraźni. Jaka jestem głupia, przeleciało jej przez głowę, gdy zobaczyła wylot tunelu. Niebawem znalazła się znowu na otwartej przestrzeni.

Zgasiła reflektory i przejechała bardzo długi odcinek via di Porta Cavalleggeri, a potem via Gregorio VII i via Newton, nie napotykając żadnych przeszkód. Ile razy w powszednie dni natrafiała na tych ulicach na niekończące się korki? Były to stałe doświadczenia wszystkich mieszkańców Rzymu. Sandra często porównywała ruch w Rzymie z tym w Mediolanie, nie tak chaotycznym i bardziej znośnym. Teraz jednak, gdy przejeżdżała przez pozbawione światła dzielnice mieszkaniowe, brakowało jej korków i klaksonów. Zastanawiała się, czy życie wróci kiedykolwiek do poprzedniego stanu.

Przejechała wiaduktem nad via della Magliana i wjechała w via Cristoforo Colombo – długi, całkowicie pusty pas asfaltu. Jakieś sto metrów przed skrzyżowaniem z via delle Tre Fontane przyhamowała, zawróciła i zaparkowała na ulicy tak, żeby ułatwić sobie ewentualną ucieczkę. Od tego miejsca ruszyła dalej na piechotę.

\* \* \*

Po kilkudziesięciu metrach dojrzała go. Olbrzymi diabelski młyn, symbol parku rozrywki, przypominał martwą żrenicę – zgaszoną dokładnie tak samo jak oczy jej wrogów.

Wspięła się na murowane ogrodzenie i zeskoczyła po drugiej stronie, lądując obiema nogami w alejce. Wszystko wokół niej było kompletnie zdewastowane. Ruszyła dalej, nie wiedząc dokładnie, czego ma szukać. Crespi nie zdążył jej tego powiedzieć, ale była pewna, że domyśli się sama.

Przeszła obok łuku z wielkim uśmiechniętym słoniem, minęła kiosk z prażoną kukurydzą i znalazła się na głównej alejce. Wyłączenie prądu sprawiło, że znikły śmiechy dzieci i barwne,

mrugające wesoło światła. Strzelnica, maszynka do waty cukrowej, sklep z pamiątkami... wszystko to było nieczynne. Nieczynna była kolejka górską, karuzela z konikami, objijające się o siebie elektryczne samochodziki, wielka fioletowa ośmiornica, która normalnie kręciła się wokół własnej osi. Wydawało się jednak, że ten bezruch jest tylko pozorny. Sandra odnosiła wrażenie, że w każdej chwili wszystkie te atrakcje mogą się ożywić. Ale bez muzyki i różnobarwnych lampionów byłyby to tylko poruszające się w mroku cienie mechanicznych monstrów.

Dotarła w pobliże domu upiorów, który teraz, na tym cmentarzysku rzeczy służących zabawie, nie wydawał się tak ponury. Jej czujność obudziły nagle odgłosy... chyba kroki. Rzuciła się na kolana za wielką sową, która pilnowała wejścia. Ledwie zdążyła się ukryć, gdy za jej plecami pojawiły się dwie postacie idące tą samą trasą co ona. Sandra nie wyciągnęła nawet rewolweru; ze wszystkich sił starała się nie poruszać, wstrzymała nawet oddech. Przeszli tuż obok, niecały metr od niej. Nie zauważyli jej. Odczekała kilka sekund, zanim znalazła odwagę, żeby wychylić się zza wielkiego nocnego ptaka. I w tym momencie zobaczyła scenę, która rozgrywała się u stóp gigantycznego koła.

Zobaczyła dziesiątki postaci ustawionych w długim, uporządkowanym rzędzie. Nazwała ich w myśli Śpiącymi, bo wyglądali tak, jakby spali.

Odniosła wrażenie, że wszyscy szykują się do tego, żeby zatoczyć koło po ciemnym niebie. Nikt nic nie mówił; na twarzach Śpiących nie było radości. Czekali karnie w kolejce, przed którą stała grupka osób z kielichami w dłoniach – czterej mężczyźni i dwie kobiety. Śpiący podchodzili i otwierali usta. Czekali, aż poczują coś na języku, a potem odchodzili.

Przypominało to rytuał chrześcijańskiej eucharystii. Oni przyjmują czarną hostię, pomyślała. W głowie zabrzmiały jej słowa Crespiego.

*I dopiero Władca Ciemności przywrócił nam wiedzę... Kto przyjmuje jego komunię, otrzymuje w zamian dar wiedzy*

*o sprawach tego świata.*

Gdy je wypowiadał, nie przywiązała do nich wielkiej wagi, teraz jednak, patrząc na tę nierealną scenę, zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedział prawdy.

Dlaczego Crespi mnie tu przysłał? Nie było po temu żadnego konkretnego powodu, nie wiedziała nawet, co dokładnie ogląda. Gdyby miała przy sobie Marcusa, mogłaby skonfrontować z nim swoje odczucia.

Teraz jednak musiała się stąd oddalić. Widziała wystarczająco dużo i mogło to być niebezpieczne. Ruszyła szybkim krokiem, zamierzając wrócić do samochodu tą samą drogą, którą tu przyszła, ale gdy znalazła się w pobliżu gabinetu luster, zauważyła odbicie kilku Śpiących, którzy szli jej naprzeciw. Skręciła w bok, zanim zdążyli ją dostrzec, i wdrapała się na jakiś pagórek. Z jego szczytu miała dość dobry widok na wejście do lunaparku od wschodu. Śpiący nadchodzili właśnie stamtąd.

Szli pieszo, w grupach albo pojedynczo: kierunek wskazywał im diabelski młyn, niczym czarna latarnia morska.

Sandra odwróciła się, by ruszyć dalej, i w tym momencie zobaczyła przed sobą jednego z nich.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, był w fioletowej kurtce narzuconej na brudny szary T-shirt, ciemnych spodniach i wojskowych butach. Miał długie i przetłuszczone włosy. Był wyraźnie zaskoczony jej widokiem. Przez dłuższą chwilę milczał, a potem uniósł rękę do krocza.

– To co, strzelimy sobie numerek? – spytał nawet dość uprzejmym tonem.

Jego oczy nie są jeszcze kompletnie puste, ale wkrótce się takie staną, pomyślała Sandra, która zauważyła już zachodzącą w nich transformację. Mogłaby udać, że oboje są po tej samej stronie, ale wyczułby przenikający ją strach – była pewna, że jest do tego zdolny. Wyciągnęła więc spod kurtki rewolwer i wycelowała w niego.

Uśmiechnął się.



– Jeżeli strzelisz, to cię usłyszą – powiedział, wskazując głową olbrzymie koło. – No to jak, dasz się przelecieć? – Zrobił krok w jej kierunku.

Pchnęła go tak, że upadł na ziemię, odwróciła się i ruszyła biegiem. Nie zastanawiała się nawet, czy będzie ją ścigał, myślała wyłącznie o tym, żeby pędzić ile sił.

Serce biło jej mocno i szybko dostała zadyszki. Paniczny strach wywołał hiperwentylację. Nie zdołałam dotrzeć do samochodu, pomyślała. Ale nie mogła zmienić biegu rzeczy, nie kontrolowała własnego organizmu. Jej ciało znalazło się już we władaniu strachu.

Usłyszała za plecami tupot zbliżających się kroków. Obejrzała się na moment i dostrzegła sylwetkę goniącego ją mężczyzny w fioletowej kurtce. Długie włosy powiewały wokół jego ciemnej twarzy.

Biegnie zbyt szybko, pomyślała. I nie boi się.

Zobaczyła przed sobą mur, który pokonała, wchodząc na teren lunaparku. Oznaczało to, że jest blisko celu, ale mur stanowił też przeszkodę. Musiałaby się na niego wdrapać, a tymczasem jej prześladowca z pewnością by ją dogonił i ściągnął na dół.

Mogę się odwrócić i strzelić, pomyślała. Dzięki temu zyskałabym dość czasu, żeby dostać się do samochodu i odjechać, zanim dopadną mnie inni. To była dobra myśl. Chwyciła obiema dłońmi rękojeść rewolweru, obróciła się, wycelowała i strzeliła.

Ale jej prześladowca gdzieś zniknął.

Strzał odbił się echem w panującej wokół ciszy. Gównno, mruknęła pod nosem. I natychmiast zaczęła znowu biec. Gdzie on się ukrył? Może próbuje zastawić zasadzkę? A przede wszystkim, kiedy nadbiegną tu inni?

Dotarłszy do stóp muru, rozejrzała się. Wsunęła broń pod kurtkę i zaczęła wspinać się szaleńczo na ceglaną ścianę. Na szczęście z mroku nie wychyliła się czyjaś ręka, żeby ją chwycić za kostkę u nogi i pociągnąć w dół. Sandra zdołała się wdrapać na szczyt muru i zeskoczyła z drugiej strony. Ulica była pusta,

a kilkadziesiąt metrów dalej czekał samochód, którym będzie mogła stąd odjechać. Jeszcze jeden wysiłek, pomyślała i puściła się biegiem.

Najpierw usłyszała lekki szum, jakby skrzydeł przelatującego ptaka. Potem poczuła uderzenie w prawą stronę głowy. Żadnego bólu, tylko ogłuszenie. Nie zdążyła wyciągnąć rąk, żeby zamortyzować upadek. Żwir, na który poleciała twarzą, boleśnie rozorał skórę na jej policzku. Nie była w stanie się poruszyć, za bardzo kręciło się jej w głowie. Kamień wielki jak pięść, który ją uderzył, leżał na ziemi. Nie miała już rewolweru; nie wiadomo, co się z nim stało. Powoli obróciła się na plecy i zobaczyła go.

Mężczyzna w fioletowej kurtce stał na szczycie muru i unosił rękę na znak zwycięstwa.

– Mam cię! – wrzasnął triumfująco z uszczęśliwioną miną.

Sandra próbowała się podnieść, ale osunęła się na łokcie. W głębi ulicy pokazała się grupa ludzi. Podchodzili do niej powoli, ciekawi, co się dzieje.

Próbowała się odczołgać. Powinnam była strzelić do niego od razu, przemknęło jej przez głowę. Dlaczego zawahałam się na tym pieprzonym pagórku? Samochód stał parę metrów dalej, ale straciła nadzieję, że do niego dotrze. Szkoda, była tak blisko. Zbir na murze pokrzykiwał nadal, a grupka ludzi była coraz bliżej niej. Sandra Vega uświadomiła sobie, że nie zostało jej dużo czasu. Czołgając się po ziemi, musnęła ręką lufę rewolweru. Chwyciła go; był ciężki, mimo to zdołała go unieść. Strzeliła do swego prześladowcy, nie mając nadziei, że trafi. Ale się udało. Zobaczyła, że mężczyzna znika za murem niczym tarcza na strzelnicy. W końcu jesteśmy w lunaparku, pomyślała. Miała ochotę roześmiać się, lecz nie była już nawet pewna, czy to jest zabawne. Strzał w najmniejszym stopniu nie zaniepokoił Śpiących; podchodzili coraz bliżej.

Nie boją się śmierci, stwierdziła.

Zaczęła strzelać w ciemno w ich kierunku. Żadnego nie trafiła, choć na chwilę zdołała ich rozproszyć. Lecz kiedy się

zorientowali, że skończyła się jej amunicja, znowu zbili się w gromadkę.

Gdyby tylko nagle wyskoczył skądś Marcus, żeby ją uratować, jak to się już zdarzało... Bo przecież bezustannie czuwał nad nią z ukrycia. Wprawdzie nie miała co do tego pewności, ale przez wszystkie te lata czuła się bezpiecznie.

Gdzie teraz jesteś?

Doszła do wniosku, że tym razem musi dać sobie radę sama. I musiała to zrobić zarówno dla siebie, jak i dla niego.

Przestała pełznąć jak idiotka do tyłu, podparła się rękami i zdołała unieść się na kolana. Zrobiła głęboki wdech i wydech. Zobaczyła, że zbliżająca się grupka przystanęła. Wiedziała, co to znaczy: szykowali się, żeby zaatakować obcą kobietę. Uniosła się, zachwiała, lecz utrzymała równowagę. Odwróciła się w stronę samochodu i puściła się biegiem. Włożyła rękę do kieszeni i szukając kluczyków, przeklinała się w duchu, że zamknęła ten samochód. Znalazła je i nacisnęła przycisk automatycznego otwierania; błysnęły światelka i powitało ją wesołe kliknięcie. Śpiący zaczęli rzucać w nią czym popadło. Gdyby choć jeden z tych przypadkowych pocisków ją uderzył, byłby to koniec. Ale w tym momencie nie miała czasu, żeby się od nich uchylać.

Musiała biec. Pędzić ile sił.

W końcu dotarła do auta, otworzyła szeroko drzwi i rzuciła się do środka. Uruchomiła silnik i zatrzasnęła je za sobą. Słyszała, że tamci są już blisko, gromadzą się z tyłu i tłuką pięściami w szyby i w dach. Otoczyli ją. Widziała ich twarze rozplaszczone na szybach – puste oczy, które jej szukały. Włączyła bieg i nacisnęła ostro pedał gazu. Słyszała przeraźliwe drapanie ich spoconych dłoni po karoserii, podczas gdy auto nabierało pędu. I kolejne uderzenia, kolejne kamienie. A potem pozostał już tylko warkot silnika. Nie spojrzała nawet w lusterko wsteczne.

Idź do diabła, Crespi! – przeleciało jej przez głowę. Bo wyprawa do parku rozrywki nic nie dała.

*Pięć godzin i trzy minuty do świtu*

Mieszkanie Šišmanów znajdowało się przy via della Gatta.

Kilka kroków stąd znajdowała się via del Corso i galeria Doria Pamphilj. Na bardzo ograniczonym obszarze historycznego centrum stało kilka najpiękniejszych i najbardziej tajemniczych pałaców rzymskiej arystokracji.

Ulica wzięła nazwę od marmurowej kotki wydobytej z ruin starożytnej świątyni poświęconej Izydzie, a potem umieszczonej na budowli z czternastego wieku. Zainspirowała ona powstanie dwóch legend. Pierwsza z nich mówiła, że kotka spogląda w kierunku miejsca ukrycia skarbu, którego jednak nigdy nie znaleziono. Druga opowiadała historię pewnego chłopca stojącego niepewnie na gzymsie. Swoim miauczeniem kotka miała zwrócić uwagę jego matki i w ten sposób zapobiec upadkowi malca w przepaść.

Marcus natychmiast pomyślał o Tobim Frai. Czy chłopcu uda się uniknąć upadku w otchłań Kościoła Zaćmienia Księżycy?

Wszedł do pałacu, wyłamując kratę starego pomieszczenia na opał, i znalazł się w części budynku, w której niegdyś mieściła się kuchnia. Ruszył w górę wąskimi, krętymi schodami. Na pierwszym piętrze znajdowały się tylko mieszkania służby, ruszył więc dalej, na drugie. Skorzystał z drzwi ukrytych w ścianie, które były przeznaczone dla służących.

Dom był mroczny i cichy.

Marcus nie miał wątpliwości, że Nikolay Šišman – Alchemik – ukrywa się gdzieś tutaj. Wyczuwał jego obecność niczym złą

przepowiednię. Dlatego przed podjęciem poszukiwań klęknął i zamknął oczy. Zrobił znak krzyża i zaczął się modlić półgłosem.

– Boże, daj mi władzę dostrzegania znaków zła, żebym mógł je przepędzić z tego świata. Spraw, by mój wzrok pozostał nieskalany, słuch doskonały, a moje poczynania nieskażone. A przede wszystkim daj mojemu umysłowi czystość w poszukiwaniu prawdy. Udziel swojemu pokornemu słudze mocy widzenia, dzięki której będzie mógł w Twoim imieniu wypełnić obowiązek. I osłoń mnie przed mroczną groźbą grzechu... Amen.

Następnie otworzył oczy.

Jak zwykle pierwszym wrażeniem było to, że świat wokół niego uległ zmianie. Pusta przestrzeń przyjęła inną konsystencję, stała się jakby gęstsza. Czuł się tak, jakby poruszał się w płynie. Czas zaczął się poszerzać, zwalniając jednocześnie. Doszedł nowy – głębszy – wymiar.

Zadaniem penitencjariusza było zgłębienie tej otchłani.

Zaraz potem poczuł zapach kadzidła i zgaszonych świec. Idąc za nim, Marcus wędrował przez pokoje pałacu. Były to głównie salony, jeden po drugim, i wydawało się, że nigdy się nie skończą. Stare meble, chiński jedwab i aksamit, arrasy i obrazy oprawione w misterne barokowe ramy. Wyczuwał pracę korników, które pożerały od środka drewno i cenne obicia. Mimo pozorów świetności wszystkiemu groziło zawalenie się w każdej chwili niczym zakulisowym groteskowym dekoracjom.

Dotarł do dużego pokoju, w którym stało łóżko pod baldachimem. W jednym z kątów urządzone było laboratorium chemiczne, w tym momencie ukryte pod matową plastikową narzutą. Penitencjariusz uniósł ją. Rozpoznał mieszalnik, chromatograf, aparat do destylacji. Obok precyzyjnej wagi stała nawet kolumna rektyfikacyjna Vigreux. Lejki, pipety, mikroskop i szkiełka mikroskopowe... Wszystko, co potrzebne do stworzenia iluzji wyleczenia, pomyślał, przypomniawszy sobie rozpaczliwe próby, jakie Nikolay podejmował w celu wyrwania żony Penki z objęć ciężkiej choroby.

Na stole stał przezroczysty flakonik z różowego szkła. Wydawało się, że to damskie perfumy, ale na etykiecie był napis: *Chlorowodorek fenetyliny*. Marcus odstawił go, ponieważ zauważył drzwi po przeciwnej stronie pokoju.

Podszedł i popchnął powoli jedno z ich skrzydeł. Prowadziły do małego pomieszczenia z pojedynczym łóżkiem i pomalowaną na biało szafą. Ściany pokryte były szaroniebieską tapetą. Na ławeczce pod oknem leżały książki i liczydła. Był tu też konik na biegunach i mały pociąg z torami. Na jednej z półek stały ołowiane żołnierzyki, na innej miniaturowe samochodziki, pluszowy miś i pajacyk, który po pociągnięciu za sznurek grał na bębenku.

Marcusowi przypomniawszy się kolekcja Zabawkarza. Cornelius nie wspominał o tym, że Šišman miał syna, ale być może te zabawki pochodziły z czasów dzieciństwa Nikolaya. Kiedy Marcus odwrócił się, żeby wyjść z pokoju, jego wzrok zatrzymał się na futrynie drzwi.

Anomalia.

Na futrynie zaznaczono poziome kreski, a obok każdej z nich wynik mierzenia. Do złudzenia przypominały znaki, które zauważył w kuchni Matilde Frai, doprowadzone do dwudziestego drugiego maja dziewięć lat temu. Tymczasem kreski, które Marcus miał przed sobą, zaczynały się od dwudziestego trzeciego, a ostatnią opatrzone datą sprzed kilku dni.

On tu jest, mruknął Marcus, mając na myśli Tobiego. To jego pokój.

Spróbował sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać życie więzionego tu przez lata chłopczyka. Zmuszonego do życia w niewoli w ogromnym domu, razem z człowiekiem oszalałym z bólu. Przed oczami stanęło mu melancholijne dziecko, które z wielkich okien pałacu spoglądało na prący do przodu świat zewnętrzny, całkowicie mu niedostępny.

Poczuł ogromną litość dla tego chłopca.

Kontynuując swoje poszukiwania, wszedł na trzecie piętro.

\* \* \*

Dostał się na nie głównymi schodami, tymi, z których korzystali właściciele pałacu. Pierwsze pomieszczenie, na jakie natrafił, okazało się pełniącym funkcję garderoby westybuliem o ciemnoszarych ścianach. W szafie wnękowej wisiały starannie uporządkowane czarne tuniki. Nieco dalej stała wielka skrzynia na buty, która była jednak pusta.

Penitencjariusz rejestrował wszystko, zwracając uwagę na każdy szczegół. Przekroczywszy próg drugiego pomieszczenia, stanął jak wryty. Absolutnie nie był przygotowany na to, co ukazało się jego oczom. Zobaczył scenerię zawieszoną gdzieś na krańcach nierzeczywistego świata, która była jednak świadomie stworzonym koszmarem.

Odniosł wrażenie, że majaczące w mroku postacie czekają na niego.

Ustawione w kilku rzędach, tworzyły półkole. Z głów wyrastały dziwne kształty – jedne były osobliwymi bryłami geometrycznymi, inne przypominały rogi lub pióropusze.

Postaci stały bez ruchu i wpatrywały się w niego.

Marcus poczuł lodowaty dreszcz, mimo to ruszył w ich kierunku. Nie były to całe postacie ludzkie, lecz same głowy i tułowia osadzone na palach, które wspierały się na podstawach.

Manekiny.

Na głowy nałożono renesansowe maski o niewiarygodnych kształtach.

Penitencjariusz zaczął kręcić się wśród tej posępnej maskarady. Maski wykonano z papier mâché, ceramiki lub drewna. Pokrywały je intarsje w wymyślne wzory i koronki. Część była przyozdobiona lazurytami i innymi małymi kamieniami w różnych kolorach; część – piórami pawi i egzotycznych ptaków. Miały długie i zakrzywione albo delikatne, wąskie nosy. Wielkie lub kocie oczy albo same oczodoły. Niektóre wieńczyły wielkie korony kwiatów, inne – majestatyczne nakrycia głowy.

Marcus zostawił za plecami tę menażerię i wszedł w końcu do przestronnej sali balowej. Jedynymi przedmiotami w tym pomieszczeniu były trzy kryształowe żyrandole, wiszące nad parkietem.

Z jednego z nich zwisały zwłoki.

Podszedł bliżej i stwierdził, że to mężczyzna około sześćdziesiątki, zawieszony za stopę głową do dołu. Zwisające na sznurze uwiązany do kostki prawej nogi ciało obracało się powoli wokół własnej osi; skończywszy obrót w jedną stronę, rozpoczynało następny – w drugą. Pod nim leżały białe tenisówki, choć mężczyzna miał na nogach parę czarnych pantofli.

Marcus rozpoznał je. To były jego buty.

Nie umknęła mu szydercza kpina zabójcy. Oto dokąd zawędrowały moje buty, pomyślał. I już wiem, dlaczego wczoraj o świcie znalazłem w Tullianum białe tenisówki obok moich ubrań.

Mimo wszystko musiał przyznać, że tortury, jakim został poddany Nikolay Alchemik, były surowsze niż zamknięcie w lochu ze skały tufowej, bez ubrań i w kajdankach, i śmierć głodowa. To, co miał przed oczami, przedstawiało z pewnością najprostszą, ale przy tym jedną z najstraszliwszych męczarni, jakie można sobie wyobrazić. Krew – która normalnie, oszukując prawo grawitacji, dzięki wymyślnemu biologicznemu mechanizmowi wędruje do najwyższych regionów ciała – przy tej pozycji po dwóch godzinach spływa w dużych ilościach do mózgu i wywołuje najpierw dziwną euforię, a potem pulsujące bóle głowy, którym towarzyszą silne przeszywające ukłucia i oślepiające błyski światła. Po czterech do sześciu godzin, zależnie od odporności skazańca, mięśnie nogi zaczynają pękać i odrywać się od kości, nie mogąc utrzymać tak długo ciężaru ciała. Torturowany odczuwa przy tym niewypowiedziane cierpienia. Trzecia – najstraszliwsza – faza zaczyna się mniej więcej po dwunastu godzinach, kiedy organy wewnętrzne osadzają się jeden na drugim w głębi klatki piersiowej, na



wysokości łopatek. Jedne zaczynają napierać na inne, niczym ludzie rozpaczliwie szukający drogi wyjścia z wąskiego korytarza. Ale śmierć nadchodzi dopiero wtedy, gdy pęka nagle wyczerpane z wysiłku serce.

Marcus miał ochotę krzyknąć ze złości. Znalazł mieszkanie Alchemika, miejsce przetrzymywania Tobiego, ale chłopca w nim nie było.

Czy zabrał go stąd zabójca, czy też Tobi znalazł się w rękach Władcy Ciemności, najwyższego hierarchy Kościoła Zaćmienia Księżyca? Penitencjariuszowi brakowało danych, żeby odpowiedzieć na to pytanie. A jeśli mordercą był Władca Ciemności?

Nie, uznał Marcus. W tym wszystkim kryło się coś jeszcze, czego nie był w stanie zrozumieć.

Nie mając powodu, żeby stać tu po ciemku, zapalił latarkę i skierował światło na Nikolaya Šišmana. Chciał się przynajmniej dowiedzieć, jak wygląda jego twarz. Wiszący mężczyzna spoglądał na niego wybałuszonymi oczami; język wysunął mu się z otwartych ust, tak jakby chciał go komuś pokazać. Na ścianie za zwłokami Marcus zauważył oprawione zdjęcia. Podszedł do nich i przyświecając sobie latarką, zaczął je po kolei oglądać.

Były to czarno-białe fotografie z dawnych balów maskowych. Goście w smokingach i sukniach wieczorowych mieli na twarzach renesansowe maski, stanowiące przyjemną mieszaninę epok i stylów. Tańczyli w oświetlonej sali balowej. Marcusowi wydawało się, że słyszy echo łagodnego jazzu i rytmicznej orkiestry. Kilkoro gości paliło przy stolikach, inni popijali szampana podawanego przez służących w liberii. Można było wyczuć ich wesołą nastrój. Przypomniał sobie, co usłyszał o balach urządzanych przez Penkę Šišman. To z pewnością ona nadawała ton tym wieczorom.

Jednak od pewnego momentu atmosfera na balach, uchwycona na zdjęciach, radykalnie się zmieniła.

Ulotniła się wesołość. Smokingi i suknie wieczorowe zostały zastąpione przez długie czarne tuniki. W miejsce błyszczących

lakierków i szpilek pojawiły się białe tenisówki. Wyzierające spod masek spojrzenia stały się puste i pozbawione wyrazu. Penka zmarła; można się było tego natychmiast domyślić. Zabawy zamieniły się w coś innego. Karnawałowe uciechy ustąpiły miejsca ponurym rytuałom Kościoła Zaćmienia Księżyca.

Przypomniawszy sobie słowa Corneliusa opowiadającego o tym, jak zmienił się Nikolay po śmierci żony.

*...teraz żądał od gości, żeby dopełniali magicznych rytuałów i uczestniczyli w seansach spirytystycznych.*

Penitencjariusz miał przed oczami oczywiste dowody tej metamorfozy. W miejsce nieszkodliwych biesiadnych spotkań pojawił się perwersyjny pogański kult. I orgiastyczne sceny przygotowane tajemnymi symbolami. W niektórych obecne były zwierzęta – jagnię, czarny pies, kruk, kot.

Spojrzenie Marcusa zatrzymało się na fotografii pochodzącej sprzed wielu lat. Pośrodku kręgu masek stała naga dziewczyna. Jej ciało było młode i smukłe. Widać było jej nieosłoniętą twarz.

*Pamiętam, że byłam na jakimś przyjęciu i poczułam się źle. Miesiąc później odkryłam, że jestem w ciąży.*

Słowa Matilde Frai odbijały się jeszcze echem w jego głowie. Ale z wyrazu twarzy na zdjęciu nie wynikało, żeby ta kobieta straciła panowanie nad sobą. Przeciwnie, dominowała nad otoczeniem. Była prowokująca i mrugała porozumiewawczo do obiektywu aparatu.

– Na litość boską! – wyrwało się Marcusowi z ust w cichej balowej sali, kiedy zobaczył niebieskie kółko wytatuowane na jej brzuchu.

Była siostra zakonna należała do Kościoła Zaćmienia.

Osądzanie przez Trybunał Dusz nazywano też czarną mszą.

Nazwa tego rytuału wywodzi się od wielkiego złożonego świecznika stojącego na środku sali, w której zbierał się świątobliwy sąd. Miał dwanaście ramion, na których zapalano tyle samo świec.

W sali stało dwanaście konfesjonałów ustawionych w półkołu. Siedzieli w nich sędziowie.

Zazwyczaj w celu zapewnienia maksymalnej jednomyślności członkowie kolegium, które miało wypowiedzieć się na temat *culpa gravis* grzesznika, byli losowani spośród wysokich prałatów i zwykłych rzymskich kapłanów. Tej nocy trudno było zebrać ich tylu, ostatecznie jednak kanceliści uporali się z tym problemem i wszystko było gotowe do rozpoczęcia posiedzenia.

Kardynał Erriaga kończył ubierać się w zakrystii. Miał już na sobie liturgiczne szaty, brakowało tylko purpurowego kardynalskiego płaszcza. Wciąż jednak zwlekał. Gdy zapoznał się z grzechem wpisanym do notatnika, opadły go wątpliwości i nie mógł się ich wyzbyć. Jak powinien postąpić w tej sprawie? W ramach procedury Adwokat Diabła pełnił funkcję oskarżyciela, czyli musiał nalegać, żeby pokutnikowi nie udzielono rozgrzeszenia. Tym razem jednak chodziło nie tylko o los jednej duszy, ale o coś znacznie ważniejszego. O fundamenty samego Kościoła.

Ukazały się znaki. Przepowiednia Leona X spełniła się niemal pięćset lat po tajemniczej śmierci papieża.

Erriagę przytłaczał nawał myśli, ale było już późno i nie mógł odkładać dłużej rozpoczęcia posiedzenia. Włożył płaszc

kardynalski.

– Ta noc oznacza koniec Trybunału Dusz – szepnął do siebie, nasunął na głowę kaptur i ruszył w kierunku sali.

Weszło do niej gęsiego jedenastu członków sądu w czarnych płaszczach i z zakrytymi twarzami. Przechodząc obok kandelabru, każdy gasił dwoma palcami jeden płomyk. Następnie zajmował miejsce w konfesjonale, który był mu przydzielony. Zgodnie z tradycją na koniec pozostawała jedna paląca się świeca i jeden pusty konfesjonał. W symbolice rytuału, w którym liczba dwanaście odpowiadała liczbie apostołów, te dwa elementy symbolizowały Judasza – zdrajcę, który nie był dopuszczony do tego uroczystego posiedzenia.

Adwokat Diabła uzbroił się w wielką woskową świecę – symbol światła Chrystusa – i wkroczył do sali, przechodząc pod wysoką marmurową kolumnadą. Umieścił świecę w środku złoconego świecznika, a potem odwrócił się w stronę konfesjonałów. Nie mógł widzieć ukrytych w cieniu twarzy sędziów, ale był świadom tego, że oni go obserwują.

– Bracia – rozpoczął. – W tych godzinach Rzym i chrześcijaństwo znalazły się w wielkim zagrożeniu. Poza tą aulą, poza murami tego pałacu zginęły dziesiątki, może setki ludzi i tyle samo dusz walczy ciągle o przeżycie. Tej nocy ciąży na nas wielka odpowiedzialność: musimy zdecydować, czy powinniśmy uratować jedną z dusz. – Podkreślił to ostatnie słowo, unosząc z patosem palec wskazujący. – Od tego, co ustalimy, zależeć będzie jednak także los wielu innych. – Odczekał, aż słowa rozplyną się z echem w cichej sali, niczym kamienie opadające na dno stawu. Potem wyjął notes i zaczął czytać: – *W tym momencie w Rzymie jest dwudziesty trzeci lutego. Dwie godziny temu zostało ogłoszone wyłączenie prądu, które rozpocznie się o siódmej czterdzieści w dniu jutrzejszym, ale ja mam powody sądzić, że nie ujrzę wschodu słońca... Jestem penitencjariuszem, łowcą cieni uzależnionym od poleceń Trybunału Dusz. Przez wiele lat służyłem temu świątobliwemu sądowi, tropiłem zło i grzech, które sekretnie wdzierają się do*

*świata. Teraz jestem o krok od dopełnienia końcowego aktu mojego ostatniego śledztwa. Jednak aby zrealizować w pełni zadanie, tym razem przekroczyłem granicę swoich obowiązków i złamałem śluby. Dlatego też, w obliczu śmierci, proszę o przebaczenie mi grzechów, które zamierzam przedstawić na tych stronach. Niestety, nie jestem w stanie zapobiec temu, co się wydarzy jutro, gdy nad Rzymem rozciągną się mroki. – Erriaga zawiesił na chwilę głos. – Jediną okolicznością łagodzącą w moim upadku jest to, że uratowałem życie małego chłopca...*

– Matilde Frai nas oszukała.

Sandra rozmawiała z Marcusem przez telefon satelitarny, siedząc ciągle za kierownicą małego samochodu. Połączenie zakłócały nieustanne trzaski.

– Nie rozumiem, co masz na myśli? – Musiała zapytać, ponieważ nie dosłyszała początkowej części zdania wypowiedzianego przez penitencjariusza.

– To była ona. Zabiła ich wszystkich... Biskupa, Zabawkarza, a teraz Alchemika. – Marcus kręcił się po sali balowej w pałacu Šišmana, próbując uporządkować myśli. – Wtrąciła mnie do Tullianum, ponieważ domyśliłem się wszystkiego. Chociaż udało mi się przeżyć, moja amnezja nie pokrzyżowała jej planów.

Potem opowiedział o zdjęciu, na którym ją widział, z tatuażem na brzuchu.

Sandra była zszokowana.

– Uważasz, że odegrała jakąś rolę w zniknięciu syna, że zgodziła się na to?

Przez chwilę zastanawiała się nad tym wszystkim i w końcu doszła do wniosku, że to ma sens.

– Crespi zginął w torturach z użyciem popiołu – powiedziała. – Zadawałam sobie pytanie, w jaki sposób zabójca znalazł mieszkanie, w którym był Crespi. A teraz to wydaje się oczywiste: sami zaprowadziliśmy do niego Matilde. Musiała nas śledzić po naszej wizycie w jej mieszkaniu.

– Jest jeszcze coś – dodał Marcus. – Znalazłem więzienie Tobiego. Przetrzymywali go przez dziewięć lat w jednym z pałaców w centrum, ale teraz musieli go gdzieś przenieść.

– Dlaczego?

– Nie potrafię się tego domyślić, ale ten chłopiec od dnia swych narodzin znajduje się w samym centrum planów Kościoła Zaćmienia Księżyca. I nie sędzę, żeby działo się tak tylko dlatego, że jest synem byłej zakonnicy. Bo po co mieliby inscenizować zaginięcie dziewięć lat temu i trzymać go przy życiu aż do teraz?

– Chodzi o szantaż – odparła Sandra. – Przed śmiercią Crespi napisał to słowo na ścianie.

– Rzeczywiście – zgodził się penitencjariusz. – Musi być ktoś, kto wie, że Tobi nie rozplął się w nicości, ale został porwany, i przez lata członkowie Kościoła Zaćmienia posługiwali się chłopcem, żeby szantażować tego kogoś.

– Jego ojciec – domyśliła się natychmiast Sandra. – Podobna groźba działa tylko na rodzica. Musimy odkryć, kto jest ojcem chłopca.

Marcus bez wahania przyznał jej rację.

– Jest tylko jeden sposób – rzucił. – Trzeba znaleźć Matilde Frai i zmusić ją do wyjawienia nam jego nazwiska. Gdzie ona teraz jest?

Sandra nie opowiedziała mu o lunaparku ani o tym, co tam widziała. Nie chciała, żeby się niepokoił, a poza tym nie miało to znaczenia dla śledztwa.

– Za dwadzieścia minut mogę być w Esquilino.

– Dobra, zobaczymy się tam – odparł Marcus i wyłączył się.

\* \* \*

Penitencjariusz odłożył telefon satelitarny. Zobaczył wystarczająco dużo, mógł już opuścić budynek. Gdy wrócił na główne schody, zatrzymał go dziwny odgłos. Daleki i niezrozumiały śpiew albo zawodzenie.

Głos dochodził z czwartego piętra.

Marcus zgasił latarkę i ruszył po schodach, zastanawiając się, co to może być. Dotarł na stare poddasze, w którym było kilka pomieszczeń, i zobaczył drzwi kołyszące się na zawiasach.

Dźwięk był teraz wyraźniejszy. Brzmiało to jak transmisja radiowa z jakiegoś przemówienia.

*Uwaga! Jest to pierwszy komunikat oznajmiający zaprowadzenie nowych porządków. Zdobyliśmy Rzym, miasto należy do nas. Obrońcy prawa i siły stojące na straży porządku publicznego opowiedziały się już po naszej stronie...*

Uchylił drzwi i stwierdził, że składowano tu stare meble. Podłoga pokryta była wodą i papierami, które przyniósł wiatr. W głębi pomieszczenia znajdowało się otwarte okno mansardowe, z którego widać było biały szczyt ogromnego Ołtarza Ojczyzny, nieoczekiwanie skąpanego w świetle księżyca w pełni.

Penitencjariusz chodził po pomieszczeniach poddasza, rozglądając się za źródłem tajemniczego głosu.

*Zwracamy się do żołnierzy, którzy zapewne szykują się, żeby wkroczyć do stolicy: trzymajcie się z dala od miasta, które należy do nas. Jeśli przekroczycie jego święte granice, nigdy więcej nie wrócicie do waszych rodzin, nie zobaczycie waszych synów, żon, mężów i narzeczonych, a ojcowie i matki będą was oplakiwać...*

W ostatnim pomieszczeniu zorientował się, że głos dochodzi właśnie stąd.

*Posłuchajcie, mieszkańcy Rzymu: papież uciekł i katolicy pozostali bez swojego przewodnika. Mury Watykanu leżą w gruzach, zdobyta została również Kaplica Sykstyńska.*

W końcu zobaczył nadajnik radiowy zasilany akumulatorem samochodowym. Gruby przewód poprowadzony był do sufitu,



a potem ginął między drewnianymi belkami. Prawdopodobnie połączony był z anteną na dachu.

*Nawracajcie się na religię Władcy Ciemności, wychodźcie na ulice i zabijajcie niewiernych, którzy ośmielą się wam oprzeć. Ci z was, którzy nie podejmą naszego wezwania, zostaną uznani za wrogów Kościoła Zaćmienia Księżyca.*

Przemówienie nagle się urwało. Marcus usłyszał mechaniczny odgłos i zobaczył, że obok nadajnika stoi stary gramofon, na którym leży płyta winylowa. Ramię z igłą połączone było z prymitywnym timerem, w który wbudowano precyzyjny chronometr nastawiony na piętnaście minut.

Penitencjariusz przypomniał sobie słowa nocnego portiera z hotelu Europa, który opowiadał Sandrze o tym, czego słucha w radiu tranzystorowym. Jakiś maniak próbował sterroryzować ludzi czymś w rodzaju proklamacji. Nie wiadomo, ile osób, niecierpliwie starających się zdobyć jakieś wiadomości, odebrało to przesłanie.

Marcus podszedł do kabli łączących urządzenie z akumulatorem, przyklęknął i wyrwał je, kładąc kres nadawaniu. Ale już się nie podniósł, bo coś twardego rąbnęło go w kark. Stracił przytomność.

\* \* \*

Na rzymskim niebie pojawił się dziwny biały księżyc. Sandra skorzystała z tego, żeby zaparkować przecznicę od mieszkania Matilde Frai. Z miejsca, w którym się zatrzymała, mogła, czekając na Marcusa, obserwować wejście do małego budynku. Wydawało jej się mało prawdopodobne, że kobieta jest w domu. Przypuszczała, że Marcus również specjalnie na to nie liczy. Ale razem będą przynajmniej mogli przeszukać mieszkanie.

Matka Tobiego opracowała sobie pewien plan i prawdopodobnie spędziła ostatnie godziny, a także poprzednie dni, na jego urzeczywistnianiu. Plan polegał na dokonaniu serii okrutnych zabójstw.

Odkrycie, że zabójca jest członkiem sekty, zdezorientowało zarówno Sandrę, jak i Marcusa. W jakim celu miałyby zabijać innych członków? Czy tajemniczym Władcą Ciemności była sama Matilde Frai, czy też wypełniała rozkazy kogoś innego?

Sandra spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej. Marcus spóźniał się, a ona nie czuła się na siłach, żeby samotnie podejmować jakieś działania. Miała rewolwer, lecz brakowało jej amunicji, a ponadto Matilde pokazała, że potrafi być przebiegła. Zabiła w okrutny sposób wielu mężczyzn i udało się jej przechytrzyć nawet Marcusa, wtrącając go do Tullianum. Nie, to by było zbyt niebezpieczne, lepiej będzie poczekać.

Po kilku minutach Sandra zauważyła jakiś ruch na pustej ulicy. Ktoś wyszedł z obserwowanego budynku i ruszył chodnikiem w stronę samochodu, w którym siedziała. To nie może być ona, pomyślała, zsuwając się z fotela z nadzieją, że nie zostanie zauważona.

To była Matilde Frai; Sandra rozpoznała ją, gdy ta mijiała szybę po stronie kierowcy. Matka Tobiego miała ze sobą małą walizkę.

Nie można wyjechać z miasta, przypomniała sobie Sandra. Więc dokąd ona idzie? Zaczekała, aż Matilde skręci za róg, wysiadła z samochodu i zaczęła ją śledzić. Wyjrzała zza budynku i zobaczyła ją wyraźniej. Mimo obciążenia bagażem kobieta owinięta czarną chustą, która sięgała jej aż do kostek u nóg, szła zdecydowanym krokiem.

Spod chusty wystawały białe tenisówki.

Przebyły razem prawie całą dzielnicę Esquilino. Sandra korzystała z księżycowej poświaty, żeby trzymać się na dystans, nie tracąc jej z oczu. Weszły w głąb via Carlo Felice. Ulica wychodziła na odcinek Murów Aureliańskich ze starą wałącą się wieżą.

Matilde otworzyła małe drzwi i zniknęła.

Sandra wyjęła telefon satelitarny i spróbowała połączyć się z Marcusem, żeby uprzedzić go o zmianie sytuacji. Miała nadzieję, że penitencjariusz zdąży dotrzeć tu na czas, on jednak nie zgłaszał się. Gdzie jesteś, u diabła?! – denerwowała się. Istniała możliwość, że budowla ma jakieś inne wyjście, a wtedy Sandra mogłaby definitywnie stracić kontakt z kobietą, którą śledziła. Po krótkim zastanowieniu postanowiła działać sama.

Przebiegła ulicę i weszła do wieży.

W świetle księżyca, który zaglądał do środka przez szczeliny w murze, zauważyła, że wnętrze jest obszerniejsze, niż sobie wyobrażała. Przyjrzała się pozostałościom fresków na ścianach i domyśliła się, że chodzi o dawną, prawdopodobnie porzuconą kaplicę. Jej wysokie sklepienie zagrażało runięciem. Kilka ptaków, które znalazły tu schronienie, zaniepokoiło się jej obecnością. Latały w półmroku nad jej głową.

Gdzie podziała się Matilde?

Sandra zauważyła w głębi drewniane schody. Podeszła do nich i pociągnęła za poręcz, żeby sprawdzić jej wytrzymałość. Chwiała się. Sandra była jednak przekonana, że matka Tobiego weszła na górę. Wyciągnęła rewolwer, który był wprowadzonym nienaładowny, ale przynajmniej mogła się nim posłużyć, żeby ją zastraszyć. Postawiła nogę na pierwszym stopniu schodów i zaczęła po nich wchodzić.

Gdy znalazła się na szczycie, zobaczyła ją w głębi małego pomieszczenia. Walizka stała u jej nóg. Matilde Frai, odwrócona plecami do schodów, wyglądała przez okno na dwór. Stojąc bez ruchu, wpatrywała się w mały księżyc wiszący nad Rzymem. Owinięta w chustę przypominała wielkiego, czarnego ptaka.

– Kiedyś ta budowla była kościołem – powiedziała spokojnie. – Pod wezwaniem Małgorzaty z Antiochii, opiekunki rodzących matek.

– Pozwoliłaś, żeby zabrali ci syna – rzuciła Sandra. – Co z ciebie za matka?

Oskarżenie nie zrobiło na kobiecie żadnego wrażenia.

– To była izba pustelnika, człowieka, który odrzucił wszystko, żeby żyć w łasce Chrystusa. – Matilde odwróciła się i wbiła wzrok w Sandrę. – Trzeba mieć w sobie naprawdę wiele siły, żeby odrzucić to, co kocha się najbardziej na świecie.

Sandra pokręciła głową.

– Nie odczuwasz wstydu ani wyrzutów sumienia?

– Nigdy nie poddałam się waszemu osądowi. Pozostałam tam, gdzie byłam zawsze. Trzeba było tylko przyjść i mnie znaleźć... Ale nikt tego nie zrobił.

– W takim razie dlaczego próbujesz teraz uciekać? – spytała Sandra, wskazując walizkę.

Matilde się uśmiechnęła.

– Ostrzegł mnie Władca. Powiedział mi, żebym miała się na baczności. Zorientowałam się od razu, że mnie śledzisz.

– Gdzie jest Tobi?

– Nie wiem – odparła Matilde i wydawało się, że mówi szczerze.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas nigdy nie miałaś ochoty go zobaczyć?

– Chyba żartujesz. Wyobrażam go sobie codziennie, rozmawiam z nim i nadal wyjaśniam mu różne rzeczy. Ale Tobi nigdy mi nie odpowiedział... Aż do dzisiejszego ranka – dodała z uśmiechem. – Kiedy na minutę przed wyłączeniem prądu zadzwonił telefon, zrozumiałam, że jest to sygnał i że po latach oczekiwania nadszedł moment na podjęcie działań. W końcu moje cierpienia zostaną wynagrodzone.

Jej słowa nie wzbudziły współczucia u Sandry.

– Kto jest ojcem Tobiego?

– Już ci odpowiedziałam na to pytanie.

– Kłamałaś.

– Jeśli nawet, to nie mogę ci tego zdradzić. To zbyt ważna sprawa.

– Czego spodziewasz się po tym wszystkim?

– Wierzę w Pana Ciemności i w jego proroka. On mnie uratował. Jestem po prostu jego dłużniczką. – Matilde odchyliła

chustę.

– Nie ruszaj się – rzuciła Sandra, celując do niej z rewolweru, ponieważ bała się, że tamta ukrywa pod okryciem broń.

Matilde wyciągnęła po prostu do niej rękę.

– To twoja ostatnia okazja, żeby się z nami zjednoczyć. – Na jej dłoni znajdowała się czarna hostia.

Sandra nie odpowiedziała.

– Jak wolisz. – Matilde Frai otworzyła usta i połknęła hostię. – Moja podróż kończy się tutaj.

Potrząsnęła ramionami i chusta upadła do jej stóp. Potem odwróciła się do okna i rozłożywszy ramiona, rzuciła się w pustkę.

Sandra nie drgnęła nawet, żeby jej w tym przeszkodzić. Stała bez najmniejszego ruchu. Nie miała żadnego interesu, żeby ratować kogoś takiego. A Matilde i tak nigdy by jej niczego nie zdradziła. Kobieta zdolna do zrobienia tego, co zrobiła ona, do odrzucenia własnego dziecka, nie załamałaby się na samym końcu swej drogi.

Sandra podeszła do parapetu i zobaczyła ją leżącą na bruku. Odwróciła się w stronę walizki z nadzieją, że znajdzie w niej jakąś nową wskazówkę. Otworzyła ją i zobaczyła, że są tam męskie ubrania. Była także brzytwa i męska kosmetyczka.

Jej uwagę zwróciły znajome odgłosy. W kieszeni kurtki popiskiwał telefon satelitarny. Wyjęła go.

– Marcus? – rzuciła.

Odpowiedziała jej cisza. Ale po drugiej stronie linii ktoś był, słyszała jego oddech.

– Kto mówi? – spytała spokojnie.

– Witaj, Vega.

Był to głos zmarłego. Dzwonił Vitali.

– Ty skurwielu.

Vitali wybuchnął śmiechem i niewiele brakowało, a telefon wysliznąłby mu się z ręki. Musiał przyznać: ta policjantka mu się podobała.

– Co się z nim stało? Coś ty mu zrobił?

– Spoko, Vega, tutaj trwa tylko spotkanie dwóch dżentelmenów. – Po czym celując z broni, wymierzył kopa Marcusowi, który siedział na podłodze z uniesionymi nad głowę rękami.

– Aresztowałeś go? – Nie wiedząc, co zrobić, zadała mu pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy.

Inspektor był bardzo rozbawiony.

– Zastanów się, Sandro... mogę się do ciebie tak zwracać, prawda?

– Tak – odparła odruchowo.

– A więc, jak powiedziałem: zastanów się, Sandro, świat, jaki znaliśmy, już nie istnieje. Lub przynajmniej przestał istnieć na jakiś czas. Dotychczasowe reguły nie obowiązują: nie ma praw cywilnych, nie ma trybunałów ani nawet stróżów prawa. Jesteśmy w stanie wojny i każdy jest wrogiem każdego. Liczą się tylko chwilowe przymierza.

Sandra nie mogła już znieść sarkazmu tego sukinsyna.

– Czego chcesz?

– Żebyś się tu zjawiała i powiedziała mi, co się dzieje, bo mam wrażenie, że twojemu koleśowi Marcusowi odjęło mowę. – Wymierzył mu następnego kopa, tym razem w plecy.

– Skąd wiesz, jak on ma na imię?

– Och, wiem o nim mnóstwo. – Vitali wyjął z kieszeni kartkę znaną w torebce Sandry, na której wypisane były elementy dotyczące śledztwa. Przebiegł wzrokiem listę. – Na przykład wiem, że miał chwilową amnezję. Próbowałem przywrócić mu pamięć, bo jak mówią, czasami dobre walnięcie w głowę czyni cuda, ale tym razem nie zdało się to na nic.

Marcusowi ciekła jeszcze krew po karku. Vitali obudził go z omdlenia, aplikując mu serię kopniaków. Teraz, obolały i pod groźbą pistoletu, penitencjariusz wolał zająć z jakąkolwiek reakcją. Chciał zobaczyć, jak się potoczą wydarzenia.

– Twój kumpel nie chce ze mną rozmawiać – powiedział inspektor, udając, że chce się pożalić. – Ale nie uwierzysz, w gruncie rzeczy mam dobre serce.

– A jeśli przyjadę, to kto mnie zapewni, że nie zamordujesz nas obojga?

– Brak zaufania jest luksusem, na który nie możesz sobie pozwolić, Vega. Jeśli się nie zjawisz, on umrze. A jak przyjedziesz, to może zostawię was oboje przy życiu i pozwolę wam odejść. Sama zdecyduj, która wersja bardziej ci odpowiada.

– Nie przyjadę – odparła odruchowo Sandra.

Vitali znowu się roześmiał.

– Sądziłem, że łączy was coś więcej niż zwykła znajomość. Ale wiadomo, kobieta zmienną jest.

Marcus nie chciał, żeby Sandra się tu zjawiała. Był pewien, że Vitali nie zawaha się uśmiercić ich obojga. Wolał raczej poświęcić siebie, podejmując niebezpieczną próbę rozbicia inspektora.

– Nie zamierzam dać się nabrać na twoje sztuczki – powiedziała Sandra. – Już raz mnie oszukałeś, wiem, czego się spodziewać.

– Nie masz o niczym pojęcia, Vega – odparł z kamiennym spokojem Vitali. – Przeczytałem tę twoją listę, ale ty i twój koleżka nie zbliżyliście się nawet na kilometr do prawdy. – Po czym strzelił z pistoletu.

Strzał zagrział w słuchawce telefonu, wstrząsając Sandrą.

– Pałac Šišmana, via della Gatta, czwarte piętro – powiedział inspektor. – Wejście jest otwarte – dodał i rozłączył się.

\* \* \*

Sandra nie wiedziała, co robić. Na razie postanowiła opuścić dawną kaplicę i odłożyć na później sprawę walizki z męskimi ubraniami, którą przyniosła Matilde Frai. Musiała wymyślić sposób na uwolnienie Marcusa.

Idąc ulicą, opracowała plan działania. Vitali miał rację, utrzymując, że reguły gry się zmieniły. Tej szalonej nocy wszyscy coś utracili. Jeśli jednak po włączeniu prądu wróci spokój, rozpocznie się polowanie na sprawców zamieszek.

Vitali powiedział, że ona i Marcus nie zbliżyli się nawet do prawdy. Być może miał rację. Ale nawet jeśli podążali w swoim śledztwie fałszywym tropem, nawet jeśli nie odnaleźli na czas Tobiego i Władcy Ciemności, nawet jeśli całkowicie nie rozgromili Kościoła Zaćmienia, to powstrzymali mordowanie jego członków. A to mógłby być bardzo dobry towar do wymiany za uwolnienie Marcusa; szkoda tylko, że Matilde Frai popełniła samobójstwo.

Mimo to Sandra miała jeszcze jedną kartę przetargową i mogła ją wykorzystać. Coś, co podsunął jej ten nieszczęśnik Crespi. Szantaż.

Gdy dotarła w pobliże wejścia do Mrowiska, zobaczyła przed sobą gromadę uzbrojonych ludzi. Podniosła ręce i położyła na asfalcie nienaładowany rewolwer.

– Nazywam się Sandra Vega, z biura paszportowego policji! – zawołała.

Ktoś zapalił potężny reflektor i skierował światło w jej stronę, oślepiając ją. Chwilę potem usłyszała metaliczny odgłos.

– Włóż je – nakazał ktoś stanowczo.

Sandra podniosła z ziemi kajdanki, które upadły kilka metrów od niej. Zatrzasnęła je na nadgarstkach i uniosła ręce tak, żeby były widoczne w świetle reflektora. Podeszli do niej dwaj



mężczyźni uzbrojeni w karabinki szturmowe i poprowadzili ją za barierę. Tam stanął przed nią sierżant i od razu ją rozpoznał.

– Co ty tu robisz?

– Chcę porozmawiać z komendantem – odparła.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe. Jeżeli chcesz, to włóż mundur i dołącz do nas.

– Powiedzcie mu, że mam dla niego wiadomość od inspektora Vitalego.

Dziesięć minut później zdjęli jej kajdanki i wprowadzili do biura naczelnika. Obecny był również komendant Alberti.

– Proszę usiąść – zaprosił ją De Giorgi. – Wie pani, gdzie jest inspektor Vitali? Nie potrzebuje pomocy?

– Radzi sobie doskonale sam.

– A więc co to za wiadomość? – zapytał komendant.

– Widziałam przelatujące helikoptery – odparła wymijająco. – Niedługo tu będą, prawda? Gdy tylko wyjrzy słońce, przyleci ich mnóstwo.

– Tak, takie są plany – przytaknął Alberti.

– W takim razie zostało wam niewiele czasu na obmyślenie sposobu, jak uratować dupska.

Obaj jej przełożeni osłupieli, słysząc to wyrażenie.

– Do czego pani zmierza? – spytał szef policji.

– Jestem w stanie udowodnić, że Vitali wiedział o zagrożeniu związanym z wyłączeniem prądu, ale nie zrobił nic w tej sprawie.

– I co pani wie jeszcze? – spytał komendant.

– Że inspektor wiedział o istnieniu Kościoła Zaćmienia Księżyca i o czarnej hostii na długo przed pojawieniem się filmu z telefonu komórkowego, który pokazaliście mi dziś rano. A jeśli on o tym wiedział...

– To jest poważna insynuacja – stwierdził szef. – Zdaje sobie pani z tego sprawę?

– Owszem. – Groził jej proces o zdradę, ale nie miała wyboru.

– Ja panów nie straszę. To tylko propozycja z mojej strony...

Inspektor mnie oszukał, a potem wykorzystał. Ten człowiek musi za to zapłacić.

– Proszę mi to wyjaśnić. – De Giorgi skrzyżował ręce na piersi i pochylił się nad biurkiem. – Sugeruje nam pani, żeby zrzucić teraz winę za całe to szambo na Vitalego. Ale jakie ma pani dowody jego winy i czego spodziewa się pani w zamian?

– Chcę, żebyście go tu wezwali.

– Z jakiego powodu?

– Nie mogę wam tego powiedzieć.

– Czy on wpadł w jakieś kłopoty? – spytał kpiąco Alberti. A potem zwrócił się do naczelnika: – Ten nasz Vitali to nie jest zwyczajny gość. Nie podoba się nikomu.

Sandra, która nie miała pojęcia, co kryje się za tą kpiącą uwagą, podjęła na nowo atak.

– Wiem o istnieniu tajnej jednostki, która zajmuje się przestępstwami ezoterycznymi, niemającymi nic wspólnego z jakimiś tam statystykami!

Naczelnik spojrział na nią ze zdumieniem.

– Tajna jednostka? Przestępstwa ezoteryczne?

– Na nic się nie zda wasze udawanie, że o niczym nie wiecie. Vitali od lat zajmuje się przypadkami, które są systematycznie utajniane przed mediami, żeby nie narazić na zakłopotanie władz.

– Kto pani naopowiadał takich rzeczy? – spytał rozbawiony komendant.

– Komisarz Crespi. – On już nie żył, więc mogła się na niego powołać.

– No cóż... nabrał panią. – Naczelnik spojrział jej prosto w oczy. – Funkcjonariuszko Vega, jednostka, o której pani mówi, nie istnieje.

– Och, ale zaistnieje w chwili, w której ktoś nakaże wam zdjąć klauzulę tajności czwartego stopnia z akt dotyczących śledztw prowadzonych właśnie przez Vitalego. – Sandra postanowiła zrewanżować się złośliwością za ich kpiny. – Wielu ludzi zada sobie pytanie, dlaczego inspektor jest przenoszony ustawicznie

z jednego stanowiska na drugie. Zapoznałam się z przebiegiem jego służby: zajmował się czasopismem wydawanym przez policję, parkiem pojazdów, a nawet ochroną dobrego imienia policji...

– To prawda – przyznał naczelnik. – Śledztwa inspektora Vitalego są poufne. Prawdą jest też, że przenosimy go na różne stanowiska.

Sandra była zadowolona, zaliczyła punkt na swoją korzyść.

– Ale jest to konieczny środek bezpieczeństwa, żeby chronić jego, a nie jego śledztwa – dodał De Giorgi.

W tym momencie Sandra przestała łąpać się w tym wszystkim.

– Ochroniać go przed czym? Nie rozumiem.

– Funkcjonariuszko Vega, jak już pani powiedziałem, nie ma śledztw związanych z przestępstwami ezoterycznymi – oświadczył, po czym dodał: – Inspektor Vitali zajmuje się zwalczaniem handlu narkotykami.

Sandra pomyślała, że naczelnik każe ją natychmiast aresztować. Ten wolał jednak, żeby zobaczyła coś na własne oczy, zostawiając więc komendanta w pokoju, zabrał ją do najdalszej części Mrowiska.

Do miejsca ściśle chronionego.

Autorzy planów bunkra zaprojektowali je z myślą o tym, że będzie służyć przetrzymywaniu ważnych więźniów.

– Tu umieszczani byli mafijni bossowie, terroryści, seryjni zabójcy. Gdy trzeba było przewieźć ich do Rzymu na tajne przesłuchania, zamykaliśmy ich tutaj.

Sandra nie była w stanie pojąć sensu tej „wycieczki z przewodnikiem”. Gdy dotarli do żelaznej kraty, De Giorgi dał znak strażnikowi, żeby ich przepuścił, i weszli w długi korytarz, przy którym znajdowało się wiele cel.

Wszystkie były puste z wyjątkiem jednej.

Podeszli do zamykających ją sztab i naczelnik wyciągnął rękę, zachęcając Sandrę, żeby zajrzała do środka.

– Zatrzymano go parę godzin temu, na przecznicy via Veneto. Osobiście wydałem polecenie, żeby umieścić go tutaj.

Mógł być w wieku około dwudziestu pięciu, może dwudziestu sześciu lat. Miał bardzo jasne brwi, ogoloną głowę i wytatuowany okręt wojenny na szyi. Ubrany był w biały T-shirt i dżinsy. Strażnicy odebrali mu buty, więc stał gołymi stopami na cementowej podłodze.

Śpiący sterczał wyprostowany na chudych nogach na środku małej celi. Spoglądał przed siebie niewidzącymi oczami. Stał bez

ruchu, chwiejąc się lekko, jakby pod wpływem niewyczuwalnego poddmuchu.

– Czy on jest w stanie nas usłyszeć? – spytała trochę naiwnie Sandra.

– Może nawet rozmawiać – odparł De Giorgi.

– Czarna hostia – rzuciła, mając na myśli to, co widziała w lunaparku w dzielnicy EUR.

Naczelnik kiwnął głową.

– Co pani wie o captagonie?

Sandra odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– O captagonie? – powtórzyła.

– Chodzi o fenetylinę, lepiej znaną jako „boski narkotyk”. – Odczekał, aż Sandra oswoi się z tą informacją, i dodał: – Została wytworzona syntetycznie w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym przez niemiecką firmę i przez dwadzieścia lat wykorzystywano ją w leczeniu depresji i uzależnienia od narkotyków. Podawano ją także nieuleczalnie chorym jako środek przeciwbólowy. Następnie została zakazana w wielu krajach, w tym także we Włoszech, z powodu skutków ubocznych, takich jak trans hipnotyczny czy halucynacje. Ale fenetylina to przede wszystkim silny środek pobudzający, który stymuluje agresywność.

Sandra przypomniała sobie bandę, która napadła na nią w parku rozrywki. Podczas gdy grzała do nich z rewolweru, wystrzeliwując wszystkie pociski, sprawiali wrażenie, że nie odczuwają strachu przed śmiercią.

– Śledztwo, które prowadził inspektor Vitali, jest związane właśnie z fenetyliną. W dwa tysiące jedenastym pewne laboratorium w Bułgarii wznowiło potajemnie produkcję tej substancji. Od tego czasu fenetylinę można łatwo kupić w miejscach rozprowadzania narkotyków i zdobywa coraz więcej amatorów, ponieważ jest tańsza od amfetaminy, a dłużej działa. Mniej więcej dziesięć dni temu kilku informatorów pozostających w kontakcie z gangami kontrolującymi rynek

syntetycznych narkotyków w Rzymie zasygnalizowało nam niezwykle wzrost jej podaży.

– Jak duży?

– Na tyle, że mogło to wywrócić cały ten biznes do góry nogami – zapewnił De Giorgi. – Ktoś wprowadzał do obrotu ogromne ilości tej substancji w bardzo czystej postaci. Zaraz po otrzymaniu tych informacji inspektor Vitali obudził naszą czujność, ponieważ istniała groźba, że utracimy kontrolę nad sytuacją. Bo zdarzało się już, że masowe zażywanie captagonu wywoływało problemy z utrzymaniem porządku publicznego. Biorą go manifestanci, którzy stosują technikę czarnego bloku, anarchiści podczas błyskawicznych akcji albo kiedy chcą podsycić jakąś rewoltę. To właśnie oni nadali mu miano „zarazy”.

– To znaczy, że Vitali natknął się na Kościół Zaćmienia Księżycy przypadkiem?

– Dokładnie – potwierdził naczelnik. – Prowadził śledztwo dotyczące dość tajemniczego człowieka, bułgarskiego chemika zwanego Alchemikiem. Inspektor Vitali wciąż próbuje ustalić jego prawdziwą tożsamość.

Chodzi o Šišmana, pomyślała natychmiast Sandra. Vitali wymienił to nazwisko w rozmowie przez telefon satelitarny, wskazując pałac przy via della Gatta, do którego musiałaby się udać, jeśli chciała uratować Marcusa.

– Kiedy wczoraj wieczorem obejrzelśmy film z porzuconej w taksówce komórki – ciągnął naczelnik – domyśliliśmy się, że pojawił się problem z captagonem. Prawdopodobnie organizacja kryminalna, która zabiła tego nieszczęsnego handlarza narkotyków, serwując mu do wypicia sodę kaustyczną, chciała dać znak bułgarskiemu chemikowi i jego bandzie noszącej tatuaż z niebieskim kółkiem, że może nadszedł czas, by dali sobie spokój z rozprowadzaniem tego specyfiku za darmo.

I tu De Giorgi się mylił. Sandra widziała tego samego mężczyznę na zdjęciach z Koloseum; nie był to drobny handlarz narkotyków, lecz porywacz Tobiego, którego zabiła Matilde Frai.

Nie powiedziała jednak ani słowa na ten temat. Chciała się dowiedzieć, jakim sposobem Kościół Zaćmienia wpadł na tę właśnie substancję.

– Dlaczego mówią, że to „boski narkotyk”? – spytała.

– Ponieważ od lat siedemdziesiątych sekty religijne posługują się fenetyliną, żeby przeprowadzać swoim członkom pranie mózgow. Obecnie captagon jest bardzo modny wśród tych podrzynających gardła sukinsynów z Państwa Islamskiego. Rekrutują różnych nieudaczników, każą im zażyć czarną pigułkę, a ci jak za sprawą magii czują się, jakby byli w raju pełnym młodych dziewczyc, i po przebudzeniu nie mogą się doczekać okazji, żeby pozbawić kogoś głowy albo wysadzić się w powietrze ładunkiem wybuchowym.

Więc to w tym kryje się sekret „ekstazy świadomościowej”, o której mówił Crespi? Sandra nie sądziła, że jej stary przyjaciel komisarz odrzucił własne zasady z powodu halucynacji. Zdawała sobie sprawę, że to, co mówi naczelnik, jest tylko częściowo prawdą. Kościół Zaćmienia stawiał sobie precyzyjne cele, fenetylina była tylko jednym z elementów pełnego planu.

– Dlaczego mnie pan tu przyprowadził? – spytała, obserwując młodego człowieka w celi, który kołysał się w coraz bardziej widoczny sposób.

– Wolałaby pani, żebym od razu kazał panią zaaresztować? – De Giorgi się uśmiechnął. – Moja kariera już się zakończyła, jutro rano składam dymisję. Prawdopodobnie wytoczą mi proces i dostanę wyrok skazujący. Wszyscy o mnie zapomną i spędzę resztę moich dni na zadawaniu sobie pytania, czy można było zadziałać inaczej. – Westchnął z zawiedzioną miną. – Gdybym przyznał rację Vitalemu, zaczęlibyśmy szukać jakiegoś rozwiązania, zanim jeszcze ogłoszono wiadomość o planowym wyłączeniu prądu. Ale nie zgadzałem się z nim, więc dopiero teraz odkryliśmy jeszcze jeden sposób wykorzystywania fenetyliny... Oprócz leczenia depresji i uzależnień captagon używany jest też do leczenia światłowstrętu. – Dał znak strażnikowi i światła zgasły.

Po pustych celach i korytarzu poniosły się echem krzyki młodzieńca. Potem rozległo się łomotanie. Sandra natychmiast zorientowała się, skąd te dźwięki: to więzień uderzał całym ciałem o kraty. Oczami wyobraźni widziała, jak zamknięty w celi Śpiący rzuca się z furią na nich, powstrzymany tylko przez tę barierę.

Światło zapaliło się znowu, więzień skulił się na posadzce i po pewnym czasie znieruchomiał.

– Ciemność zwiększa działanie fenetyliny, światło je zmniejsza – wyjaśnił De Giorgi. – Przykro mi, że panią przestraszyłem.

Wyłączenie prądu – technologiczny ekwiwalent zaćmienia Księżycyca, pomyślała Sandra. Sekta wykorzystała tę sytuację i była na nią przygotowana.

– O świcie wszystko to się skończy – dodał naczelnik, ruszając spod celi.

– Zostały cztery godziny – zauważyła Sandra. – Ile osób ma jeszcze zginąć?

Ale De Giorgi ani myślał odpowiadać na jej pytanie.

– Wiem, gdzie znajduje się centrala rozprowadzająca captagon – oświadczyła. – Wiem, gdzie rozdaje się czarne hostie.

Naczelnik odwrócił się w jej stronę.

– Niech pan zadzwoni do Vitalego, a ja powiem panu, jak uratować Rzym.



*Trzy godziny i dwadzieścia dziewięć minut do świtu*

Przekazanie więźnia miało nastąpić w kościele Santa Maria sopra Minerva.

Wybór miejsca przypadł Sandrze i bez wahania wskazała tę bazylikę z imponującą architekturą, potężnymi kolumnami i głęboką absydą. W bocznych nawach tej świątyni znajduje się wiele barokowych kaplic, bogato zdobionych marmurami i freskami.

Oprócz jednej. Ostatniej po prawej stronie.

Sandra Vega dobrze знаła powód, dla którego właśnie ta kaplica, poświęcona pierwszemu penitencjariuszowi w dziejach, Rajmundowi z Penyafortu, sprawiała wrażenie najbiedniejszej. Tę tajemnicę zdradził jej przed laty Marcus. Niemal jak kochance. Gdyby Vitali o tym wiedział, pomyślała.

Zobaczyła, że nadchodzą. Jeden uzbrojony, drugi w kajdankach. Marcus natychmiast dał jej do zrozumienia wzrokiem, że czuje się dobrze. Vitali stanął za jego plecami.

– Co za spotkanie, panie inspektorze – powitała go kpiącym tonem Sandra.

– Ja też się obawiałem, że zginę w tym tunelu, jak zresztą wy oboje.

– W takim razie można powiedzieć, że wciąż robimy sobie nawzajem niespodzianki.

Vitali wsunął coś do kieszeni kurtki Marcusa, a potem popchnął go w kierunku Sandry.

– Przyszło mi do głowy, żeby przekazać ci go, nie uwalniając mu nadgarstków – powiedział i rzucił jej kluczyki od kajdanek. – Byłby to ładny żart.

– Komendant Alberti powołał grupę specjalną i w tej chwili udaje się do parku rozrywki w dzielnicy EUR, żeby powstrzymać to szaleństwo – poinformowała go Sandra. – Przykro mi, że potem przypisze sobie całą zasługę.

– Ja pracuję w biurze statystycznym do spraw przestępczości – rzucił lekceważącym tonem Vitali. – Nie zapominaj o tym, funkcjonariuszko Vega. – Przed odejściem odwrócił się do penitencjariusza. – Do widzenia, przyjacielu. Jestem pewien, że jeszcze się zobaczymy.

– Wiedziałaś o tym, że w tej bazylice został pochowany papież Leon Dziesiąty? – spytał go Marcus.

Vitali nie okazał jednak zainteresowania tą okolicznością; ruszył w kierunku wyjścia.

Chwilę potem Sandra zdjęła Marcusowi kajdanki i wyjęła kartkę, którą inspektor wsunął mu do kieszeni.

– To są elementy naszego śledztwa. – Rozpoznała to, co zapisała w mieszkaniu przy via del Governo Vecchio. – Po tym, jak straciłam go z oczu w tunelu, musiał znaleźć moją torebkę. – Przyjrzała się Marcusowi. – Miałeś rację: nigdy nie należy zostawiać dowodów pisemnych.

– Dlaczego mnie uwolnił?

Opowiedziała mu o captagonie i wyjaśniła, czym w rzeczywistości jest czarna hostia.

Różowy flakonik w laboratorium Nikolaya, przypomniał sobie penitencjariusz. Alchemik przeprowadził syntezę tego specyfiku, żeby ulżyć żonie w cierpieniach.

– Musimy natychmiast iść do Matilde Frai – rzucił Marcus. – To jedyny ślad, jaki nam pozostał.

– Ona nie żyje, popełniła samobójstwo na moich oczach.

Przyjął tę wiadomość ze zdumieniem i przygnębieniem.

– Powiedziała coś, zanim to zrobiła?

– Próbowałam zmusić ją do wyjawienia nazwiska ojca Tobiego, ale bez skutku. Ona wiedziała, kto to jest, bo nie chodziło o gwałt; wszystko odbyło się za jej przyzwoleniem.

Kolejny element układanki przemawiający za tezą o szantażu, pomyślał Marcus.

– I jeszcze jedno – dodała Sandra. – Miała ze sobą walizkę. Ale w środku były tylko męskie ubrania... i brzytwa.

Marcus chwilę się nad tym zastanawiał, ale nie potrafił znaleźć wyjaśnienia.

– Musimy iść do mieszkania Matilde i rozejrzeć się tam za jakąś wskazówką, za czymkolwiek – powiedział.

Sandra zdawała sobie sprawę, że jest to krok beznadziejny, który na pewno nic nie da. Ale nie mieli innych pomysłów.

\* \* \*

Gdy weszli do skromnego mieszkania Matilde Frai w dzielnicy Esquilino, przywitał ich ten sam przenikliwy zapach nikotyny co poprzednio i szedł za nimi aż do kuchni. Parę godzin wcześniej, siedząc przy tym kuchennym stole, słuchali przygnębiających słów matki, która musiała żyć ze straszliwą zagadką, jaką był dla niej tajemniczy los jedyne syna. Sandra przypomniała sobie słowa tej kobiety. *Ludzie wyobrażają sobie, że takim tragediom towarzyszą zawsze jakieś wyjątkowe okoliczności. Tymczasem najgorsze rzeczy dzieją się właśnie tak, zwyczajnie.*

Marcus zaczął się rozglądać. Popielniczki w zlewozmywaku obok jedyne talerza i szklanki. Filiżanka do kawy. Gąbka na krawędzi ceramicznego blatu, na którym widać było żółte smugi pozostawione przez papierosy. Radio na komódce. Zegar na ścianie. Małe szczegóły skromnego życia, jakie wiecie wielu innych. Ale te przedmioty były współnikami. Ukrywały straszliwy sekret Matilde. Słuchały jej słów wypowiedzianych w ciszy. Były świadkami jej myśli.

Penitencjariusz wyliczył w myśli ofiary tej kobiety. Biskup Gorda, uduszony na odległość za pomocą obroży rozkoszy.

Zabawkarz, zjedzony żywcem przez muchy. Porywacz Tobiego, nagrywany, podczas gdy zmuszano go do wypicia sody kaustycznej. Crespi, zadławiony przez popiół. Alchemik, powieszony głową do dołu.

A poza tym ja, dodał w myśli Marcus.

Miałem umrzeć w Tullianum, ale do tego nie doszło. Nie wiedział, jak to traktować. Czy dopisało mu szczęście? Nie, szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Gdyby los odegrał w tej historii jakąś pozytywną rolę, to Marcus zachowałby w pamięci to, co się wydarzyło.

Gdyby nie moja amnezja, Rzym zostałby uratowany.

– Chyba powinniśmy zacząć tam – zaproponowała Sandra, wskazując drzwi do sypialni.

Marcus poszedł za nią.

W pomieszczeniu stały dwa pojedyncze łóżka. W jednym sypiała Matilde, drugie pozostało nietknięte od czasu zaginięcia Tobiego. Nad wezgłowiec tego drugiego wisiał plakat z drużyną Roma. Po dziewięciu latach niektórzy z zawodników zakończyli już karierę, inni zmienili barwy klubowe, a kilku po prostu się zestarzało. Nic nie oddaje w sposób bardziej oczywisty tego, jak upływ czasu odbija się na sportowcach, niż plakat z piłkarzami, pomyślała Sandra. Pamiętała jeszcze podróż do Izraela, w którą zabrał ją jej mąż David, żeby obejrzała jego dom rodzinny. W jego pokoiku znajdowało się zdjęcie drużyny Manchester United. Przyglądając się po kolei piłkarzom, David uświadomił sobie, że wszyscy oni, gdy robiono to zdjęcie, byli młodsi niż on w tym momencie.

– Daj mi ten wykaz, proszę. – Marcus wyciągnął do niej rękę. Chciał rzucić okiem na listę elementów śledztwa.

– Masz jakiś pomysł? – spytała Sandra.

– Nie – przyznał.

Usiedli oboje na łóżku Tobiego i razem przyjrzeni się liście. Penitencjariusz zaczął wykreślać wskazówki, które nie były już potrzebne.

*Sposób zadawania śmierci: dawne sposoby torturowania.*

*Białe tenisówki (Marcus i biskup Gorda).*

*Czarna hostia (narkoman).*

*Wytatuowane niebieskie kółko: Kościół Zaćmienia Księżyca.*

*Poświęcanie niewinnych ofiar.*

*Zaciemnienie miasta – papież Leon X.*

*Tajemniczy notatnik.*

*Tobi Frai.*

*Element przypadkowy: chwilowy zanik pamięci u Marcusa.*

– Powinniśmy dodać do listy Matilde Frai – powiedziała przygnębionym tonem Sandra. – Daliśmy się wyprowadzić w pole, ponieważ kiedyś była zakonnicą. A wiadomo, nikomu nie przyszłoby na myśl, że Boża służebnica może być zdolna do zabijania w tak okrutny sposób.

Tymczasem Marcus koncentrował się na liście. Starał się domyślić, czy istnieje jakiś związek między notatnikiem, Tobim i amnezją.

– Prowadziłem notatnik – mruknął pod nosem. – To dziwne, bo doskonale wiem, że nie powinienem tego robić. Jak wiesz, penitencjariusze nigdy niczego nie notowali, żeby nie zostawiać śladów. Dlaczego więc postanowiłem podjąć takie ryzyko? A przede wszystkim – gdzie się podział ten dziennik?

– Pewnie ukryłeś go w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Ale z jakiego powodu? – To było frustrujące. – Wygląda to tak, jakbym przewidział tę amnezję i chciał przesłać sobie podpowiedzi. Nawet na tych wyrwanych stronicach, które znaleźliśmy, były wskazówki, w jakim kierunku poprowadzić śledztwo.

– Nie można przewidzieć amnezji – odparła Sandra, żeby go uspokoić.

– Masz rację, nie można.

Marcus odetchnął głęboko. Podniósł wzrok na ścianę przed sobą, na której wisiał dyplom magisterski z literatury starożytnej

i filologii z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem Matilde. Mimo ukończenia studiów jedynym zajęciem, jakie znalazła, było sprzątanie. Ale dlaczego ta sprawa tak bardzo go dręczyła?

– Musimy przeszukać to mieszkanie – rzucił. – Zabieramy się do roboty.

Zaczęli otwierać szuflady, wyrzucać ich zawartość na łóżko i przeglądać je w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby rozjaśnić im w głowach. Marcus postanowił zajrzeć także do wnętrza materaców. Rozpruwał je i zaglądał do środka, ale niczego nie znalazł. Potem przyszła kolej na szafę wnękową. Była przedzielona przegrodą. Po jednej stronie znajdowały się jeszcze ubranka Tobiego, po drugiej rzeczy jego matki. Matilde nie miała wielu strojów. Cztery letnie sukienki, dwie na zimę, spodnie i kilka sweterków. Sandra zwróciła jednak uwagę na brązowy pokrowiec upchnięty w jednym z kątów. Sięgnęła po niego i przyjrzała mu się. Potem pociągnęła za suwak błyskawiczny, żeby zobaczyć, co kryje się w środku.

Znajdował się w nim habit zakonnicy.

Już miała go włożyć z powrotem, ale zauważyła dziwną minę Marcusa. Był wyraźnie zaniepokojony.

– To niemożliwe – powiedział, wyjmując habit z jej rąk.

Sandra nie miała pojęcia, co go tak wzburzyło.

Marcus trzymał habit w rękach i wpatrywał się w nakrycie głowy z czarnym welonem osłaniającym twarz. Matilde Frai nie była zwykłą zakonnica. Była wdową po Chrystusie.

Gdy dotarł do klasztoru z klauzurą na skraju zagajnika, nie musiał pukać. Drewniane drzwi były otwarte.

Wszedł do starego kamiennego korytarza i zobaczył pierwsze ciało. Podeszedł do leżącej na podłodze zakonnicy. Miała poderżnięte gardło, przesłonięte czarnym welonem zakrywającym twarz.

Jakieś ostre narzędzie, pewnie brzeszczot piłki do metalu, pomyślał. W jaki sposób Cornelius Van Buren zdołał je zdobyć?

Świece, które oświetlały to wnętrze – i to od czasów, kiedy nikt nawet nie słyszał jeszcze o odcięciu prądu w Rzymie – pogasły. Penitencjariusz musiał oświetlać sobie drogę latarką. Odnosił wrażenie, że korzystając z tego nowoczesnego przedmiotu, profanuje wolę zachowania łączności z dawnymi czasami w miejscu, w którym od wieków nic się nie zmieniło. Następne zwłoki znalazł na schodach. Rozpoznał wdowę po Chrystusie noszącą czarne trzewiki zasznurowane skromnie aż po łydki. Ale co się stało z pozostałymi jedenastoma? Nie przypuszczał, żeby któraś zdołała się uratować przed furią bestii, którą tak długo trzymano zamkniętą w klatce.

Gdy w końcu stanął przed otwartą celą, wciąż liczył na to, że znajdzie w niej pozbawione życia ciało starego seryjnego zabójcy. Żywił absurdalną nadzieję, że ten być może popełnił samobójstwo. Tymczasem Cornelius Van Buren po prostu uciekł. Nie wiadomo dokąd.

Walizka z męskimi ubraniami i brzytwą, pomyślał natychmiast. Matilde Frai miała na niego czekać po drugiej stronie murów Watykanu, za bastionami, które przetrzymywały

go jako więźnia przez bardzo długie dwadzieścia trzy lata. Świat zewnętrzny nigdy nie dowiedział się o istnieniu Corneliusa. A teraz ten potwór był wolny.

– Wolny i niebezpieczny – szepnął do siebie Marcus.

Van Buren nie uciekł jednak bez pożegnania. Zostawił mu coś na pryczy. Prezent. Inkunabuł Pliniusza Starszego, który Marcus wyniósł tej nocy z Biblioteki Angelica.

Skórzana okładka starego manuskryptu była rozdarta.

To w niej został ukryty brzeszczot, pomyślał Marcus. Mimo że Matilde Frai zajmowała się sprzątaniem, miała dyplom z literatury i filologii. To ona umieściła ostre narzędzie w tej księdze.

Jakim głupkiem się okazałem! – wyrzucał sobie penitencjariusz.

Między pierwszymi stronicami inkunabułu znajdował się list, napisany własnoręcznie przez Corneliusa.

*Mój drogi Marcusie,*

*czuję, że powinienem wytłumaczyć się przed Tobą. Nie tylko dlatego, że odegrałeś, choć bezwiednie, decydującą rolę w moich planach. Ale przede wszystkim z tej prostej przyczyny, że bez względu na to, czy mi uwierzysz, czy nie, w ciągu ostatnich lat bardzo Cię polubiłem.*

*W chwili gdy zamknięto mnie w tym więzieniu, zrozumiałem z mrozącą krew w żyłach pewnością, że nigdy stąd nie wyjdę. Pewnego dnia umrę i pogrzebią mnie na małym cmentarzu za klasztorem, gdzie wdowy po Chrystusie składają szczątki zmarłych siostrzyczek. Na moim grobie umieszczono by płytę bez imienia. I nikt nie poznałby nigdy historii człowieka pogrzebanego pod tym kamieniem.*

*Ta myśl towarzyszyła mi przez długie lata. I był to najbardziej nieznośny aspekt mojego uwięzienia.*

*Dlatego spróbuj wyobrazić sobie, jak się poczułem, gdy stanęła przede mną młoda nowicjuszka. Była pełna życia*



*i przenikała ją najczystsza wiara. Lecz właśnie wiara jest najsilniejszym składnikiem egzystencji i to na niej oparłem swój plan ucieczki.*

*Powierzono jej zadanie przynoszenia mi pożywienia. Dzięki temu przychodziła do mnie raz dziennie. Próbowałem z nią rozmawiać, ale ona przestrzegła ślubu milczenia. Wreszcie któregoś dnia wspomniałem jej o inkunabule Pliniusza Starszego i – o dziwo! – zza czarnej zasłony doszła mi odpowiedź.*

*Krótkie zdanie, które jednak wystarczyło. Matilde powiedziała mi szeptem: „Znam tę księgę”.*

*Rozpoczął się cierpliwy dialog, złożony ze słów kradzionych z wielkim trudem. Zdradzę Ci tu w sekrecie, że nigdy jej nie oszukałem. W końcu moja szczerość przekonała ją, że będzie najlepiej, jeśli poprowadzi dalej swoją misję w rzeczywistym świecie. Porzuciła habit zakonny i na moją prośbę przywróciła do życia starodawną sektę Kościoła Zaćmienia Księżyca.*

*Była tak oddana sprawie, że udało jej się przekonać pewnego biskupa, który nie mógł się oprzeć brudnym pokusom. Producenta perwersyjnych zabawek. Bułgarskiego księcia ze złamanym sercem i zamięłowaniem do chemii. A także, jak wiesz, wielu innych. Wśród nich znaleźli się też handlarz narkotyków i komisarz policji.*

*Moja kapłanka połączyła ich jednym symbolem – wytatuowanym niebieskim kółkiem. I zrobiła to tylko po to, żeby zwrócić mi wolność.*

*Potrzebowaliśmy jednak zaćmienia Księżyca.*

*Trzeba było na to wielu lat. Czekanie było długie i ciężkie. Aż tu pewnego dnia objawił się boski znak: wyłączenie prądu.*

*Wiem, że będziesz teraz zadawał sobie pytanie, jaką rolę odegrało w tym wszystkim zaginięcie małego chłopca. Nie chcę pozbawiać Cię radości, jaką da Ci samodzielne odkrycie*

*powodu, dla którego Tobi musiał zostać więźniem, dokładnie tak jak ja.*

*Mogę ci jednak wyjawić, że myśl o porwaniu go podsunął mi Leon X.*

*Przed ogłoszeniem bulli, w której nakazywał, żeby Rzym „nigdy nigdy nigdy” nie pogrążył się w ciemnościach, miał znamieny sen: przyśniła mu się jego własna śmierć. A to, że zmarł dziewięć dni później, budziło wiele wątpliwości i podejrzeń. A tak naprawdę ten szesnastowieczny papież, jak wszyscy władcy, padł ofiarą paranoi. Zwykli ludzie po prostu boją się śmierci. Władcy, niestety, nie cieszą się tym przywilejem.*

*Największym strachem napętnia ich myśl, że mogliby umrzeć pozbawieni władzy.*

*Ale teraz muszę już się z Tobą pożegnać, mój przyjacielu. Podróż, jaka mnie czeka, będzie długa, a ja nawet nie mam pewności, że w końcu ją odbędę. Lecz obawy, które teraz wypełniają mi serce, są także niewiarygodnie przyjemne. Zapomniałem już, jak bardzo nieprzewidywalna może być ludzka egzystencja. Tam, na wolności, czekają na mnie przeszkody i kłopoty, czuję się jednak szczęśliwy, ponieważ w gruncie rzeczy z nich składa się życie każdej istoty ludzkiej.*

*Jeśli chodzi o nas dwóch, nadal będę myślał o Tobie z ojcowską czułością. Wiem, że będziesz mnie szukał, więc jest możliwe, że jeszcze się zobaczymy. Pozwólmy, żeby zdecydowało o tym przeznaczenie.*

*A tymczasem spodziewam się, że odzyskasz pamięć o tym, co przydarzyło Ci się wczoraj w nocy.*

*>Twój  
Cornelius Van Buren*

Marcus zamknął inkunabuł i usiadł na pryczy. Był wykończony odniesioną porażką. Nie mógłby opowiedzieć o tym

wszystkim Sandrze, nie wyjawiając jej, że Watykan od dwudziestu trzech lat przetrzymywał jako więźnia ludzką bestię.

Uciekł z mieszkania Matilde Frai bez słowa wyjaśnienia, ponieważ miał nadzieję, że zdąży powstrzymać na czas Corneliusa. Niestety, seryjny zabójca był szybszy od niego.

Marcusa uderzyły dwie rzeczy w jego liście. Pierwszą było umieszczone na końcu życzenie, żeby odzyskał pamięć. Z jakiego powodu zająłem się tym śledztwem? Po raz nie wiadomo który zadał sobie to pytanie i jeszcze raz rzucił przekleństwo pod swoim adresem.

*Największym strachem napętnia ich myśl, że mogliby umrzeć pozbawieni władzy, powtórzył w myślach, przypominając sobie drugi fragment listu, który go zastanawiał.*

Przypomniał sobie słowo, które umierający Crespi napisał na ścianie.

*Szantaż.*

I nagle wszystko stało się jasne.

*Pięćdziesiąt siedem minut do świtu*

Zastał go przed wielkim kominkiem z różowego trawertynu. Dokładnie w tym samym miejscu, na którym stał, gdy widzieli się po raz ostatni, prawie dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Tylko że teraz kardynał nie usłyszał kroków penitencjariusza, gdy ten wchodził do apartamentu w nadbudówce pałacu z pięknym widokiem na Fori Imperiali. Gdy Erriaga zauważył jego obecność, pobladł. Jakby właśnie zobaczył trupa. Marcus nie domyślał się nawet, jak bliskie prawdy jest to porównanie. Nie wiedział, że kardynał poznał zawartość notatnika – spowiedź umierającego.

– To wasza eminencja polecił mi wszcząć śledztwo – powiedział Marcus. – Powierzył mi sprawę zniknięcia Tobiego Frai, ale ja niestety zapomniałem o tym.

– Czy to nie lepiej dla wszystkich? – odparł spokojnie wysoki purpurat.

– Kiedy otrzymałem to zlecenie? – spytał penitencjariusz.

– Kilka tygodni temu.

Myśl, że utracił wspomnienia z tak wielu dni, wstrząsnęła Marcusem.

– Z jakiego powodu? Jaki interes eminencja mógł mieć w znalezieniu chłopca, który zaginął przed dziewięciu laty?

Erriaga westchnął.

– Gdy próbowałem wczoraj znaleźć cię na twoim poddaszu przy via dei Serpenti, podczas oczekiwania na twój powrót do domu znalazłem pod poduszką na twoim łóżku czarno-białe

zdjęcie... Ona nie wie, że ją fotografujesz; można się tego domyślić z jej spojrzenia. Ale to zdjęcie opowiada wiele prawdziwych rzeczy. Nie mogąc jej dotknąć jako mężczyzna, zadowolasz się tym, że muska ją promień światła, który potem wraca do ciebie, żeby się utrwalić na błonie fotograficznej. – Kardynał zamilkł na chwilę i westchnął znowu. – Jestem przekonany, że nie uważasz, że twoje uczucie to grzech, coś, z czego trzeba się wyświadczyć i otrzymać przebaczenie od Boga.

– To prawda, już nie – przyznał penitencjariusz.

– W takim razie jesteś w stanie mnie zrozumieć.

Marcus zauważył, że Erriaga ściska w dłoni notes.

– Kto by się domyślił, że ta młoda nowicjuszka została przysłana przez podłego mordercę, żeby mnie oczarować? – ciągnął kardynał.

– To wasza eminencja jest ojcem. – Choć Marcus wiedział już o tym, czuł, że musi powiedzieć to głośno właśnie teraz, w tym pokoju. – Przez dziewięć lat Van Buren próbował szantażować waszą eminencję, wykorzystując w tym celu chłopca.

– A tymczasem przygotowywał swoją ucieczkę. – Do kardynała dotarła już wieść o rzezi w klasztorze. – Odwrócił moją uwagę i zrobił to bardzo zręcznie, okazując wiele sprytu.

– Wiedział, że wasza eminencja się nie podda, dobrze znał eminencję.

– Prawdopodobnie tak. – Kardynał uśmiechnął się, ale tylko przelotnie.

– Co jest w tym notesie, księżę kardynale? – spytał stanowczym tonem Marcus.

Erriaga wlepił w niego wzrok.

– Twoja pamięć.

Te słowa wstrząsnęły Marcusem.

– Mam prawo to wiedzieć – rzucił.

– Opisałeś w nim swój grzech i zostawiłeś go na klęczniku konfesjonału. – Kardynał pomachał notesem. – To co zostało przedstawione na tych stronicach, osądził Trybunał Duszy.

– Jaki grzech popełniłem? Proszę mi powiedzieć.

Kardynał posłał mu współczujące spojrzenie.

– Wierz mi, nie spodobałoby ci się to, co tu jest napisane.

Marcus poczuł, że do oczu napływają mu gorące łzy. Wywołała je złość, ale również zmęczenie i frustracja.

– Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy udało mi się uratować życie temu chłopcu.

Erriaga kiwnął głową i penitencjariusz się rozplakał.

– Jeśli upadnę ja, upadnie też Trybunał Dusz – oświadczył nieoczekiwanie kardynał. – Adwokat Diabła nie może mieć plam na swojej przeszłości.

– Co eminencja ma na myśli? – spytał Marcus, patrząc mu w oczy.

– Że obaj jesteśmy grzesznikami i zasługujemy na potępienie. Ale jesteśmy też niezbędni dla Kościoła. Co by się stało, gdybyśmy z powodu ludzkich słabości zostali zmuszeni do porzucenia naszych obowiązków? Co by się stało, gdybyśmy przestali czuwać i walczyć ze złem? Mamy do wykonania pewne zadania, nie możemy pozwolić sobie na prośby o przebaczenie.

Prawda dotarła w końcu do Marcusa. Poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

– *Największym strachem napętnia ich myśl, że mogliby umrzeć pozbawieni władzy* – zacytował słowa Van Burena.

Ale kardynał jeszcze nie skończył.

– Zaprowadziłeś chłopca w bezpieczne miejsce, potem zostawiłeś go samego, ale przyrzekłeś, że wkrótce ktoś po niego przyjdzie.

– Dlaczego miałbym zrobić coś takiego?

– Ponieważ wiedziałeś, że musisz umrzeć.

– I napisałem to w notatniku, tak? Wyjawiłem w nim, gdzie ukryłem Tobiego Frai. A potem pozostawiłem notatnik w konfesjonale, mając pewność, że informacja o tym dotrze do eminencji... ojca chłopca.

– Dałeś mi możliwość uratowania mojego jedyne go syna – potwierdził Erriaga. – I dziękuję ci za to. Postąpiłeś bardzo

szlachetnie.

Marcus zobaczył, że kardynał znowu podchodzi do kominka z różowego trawertynu i wlepia wzrok w płomienie.

– Ale wasza eminencja tego nie zrobi, prawda? Nie pójdzie, żeby uratować krew ze swojej krwi...

– Pewne grzechy muszą pozostać tajemnicą – odparł kardynał, wpatrując się w notes. – Pewne grzechy nie mogą zostać wybaczone. – Po czym rzucił go w ogień.

ŚWIT



Słońce już wzeszło, ale do końca przerwy w dostawie prądu zostało jeszcze dwadzieścia pięć minut.

Vitali stał na środku sali operacyjnej Mrowiska; tym razem również trzymał papierowy kubek i popijał chłodną wodę.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wydarzyło się mnóstwo rzeczy.

Do miasta wkroczyło wojsko i zajęło historyczne centrum. Specjalne jednostki przystąpiły do ratowania ludzi z błota, które wylało się z Tybru. Pododdział policji udał się do dzielnicy EUR, gdzie przeprowadził obławę w parku rozrywki i aresztował około pięćdziesięciu osób. Stróże prawa rozpoczęli polowanie na sprawców zamieszek na ulicach miasta. Doszło do setek zatrzymań, ale naprawianie sytuacji, jak to określił komendant Alberti, jeszcze się nie zakończyło.

Wciąż nie udało się policzyć ofiar śmiertelnych. Wiadomo było tylko, że straty są poważne. Ale mogło pójść gorzej, pomyślał inspektor. Życie utraciło nie tylko wielu cywilów, lecz także przedstawiciele sił porządkowych. Mnóstwo niewinnych osób, zbyt wiele dzieci.

Powody były dwa.

Wyłączenie prądu i gwałtowne burze stworzyły jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne warunki. Gdyby wydarzyło się tylko jedno z tych nieszczęść, prawdopodobnie nie pociągnęłoby to za sobą tak wielkich strat w ludziach i zniszczeń.

Należało też wziąć pod uwagę inny aspekt. Zbiorową histerię, która dotknęła wszystkich – ludzi mających zarówno złe, jak i dobre intencje. Pozbawieni nagle podstawowego dobra, jakim jest energia elektryczna, poczuli się zagubieni, skazani na osamotnienie. Wielu zareagowało w sposób irracjonalny.

Mrok zmienia percepcję rzeczywistości, pomyślał Vitali. Jak w przypadku małych dzieci. W dzień ich pokoiki są miejscem

beztroskich zabaw. Noc zamienia je w królestwo cieni, przed którymi mogą uciec tylko w jeden sposób – chowając się pod kołdrą.

Jak przewidywał, śmierć dopadła większość ofiar nie na ulicach, ale we wnętrzu ich mieszkań. Z nastaniem ciemności dały o sobie znać zadawnione nieporozumienia między znajomymi, uspięne przez całe lata urazy w rodzinach czy domowa nienawiść, wszystko, co mogło być powodem do krwawej zemsty. I chociaż przerwę w dostawie prądu zapowiedziano z pewnym wyprzedzeniem, byli też tacy, którzy umarli na zawał w windzie. Na myśl o tym Vitali pokręcił głową; wkurzali go tacy ludzie. Przekłęte głupki, za parę minut odzyskacie ten wasz internet, pomyślał. Dzięki temu będziecie mogli znowu skarżyć się na wszystko na jakimś pieprzonym portalu społecznościowym – przede wszystkim na waszą egzystencję nikomu niepotrzebnych nieudaczników. On sam też był wściekły, ale tylko dlatego, że tej nocy stracił swoje wspaniałe brązowe mokasyny.

Jeszcze parę minut i wszystko wróci do normalności. Przynajmniej do następnej przerwy w dostawie prądu lub kolejnej niosącej powódź burzy. Vitali był pewien, że ludzie szybko o wszystkim zapomną; ta noc nikogo niczego nie nauczy. Może z wyjątkiem umarłych.

Inspektor Vitali włożył rękę do kieszeni i wyjął kartkę, na której znajdował się profesjonalnie wykonany portret pamięciowy, narysowany według jego sugestii i oddający rysy pewnej twarzy.

– Marcus – mruknął pod nosem, tak żeby nikt z obecnych tego nie usłyszał. Potem wypił ostatni łyk chłodnej wody i zgniótł kubek. W końcu, żeby niepotrzebnie nie pogłębiać kosmicznego chaosu, cisnął go do specjalnego kosza na papier przeznaczony do recyklingu.

\* \* \*

Powiedział jej, żeby udała się na via dei Serpenti i tam zaczekała na niego. Zastał ją siedzącą na podeście, opartą plecami o drzwi.

– Powódź zniszczyła moje mieszkanie na Trastevere – powiedziała. – Nie mam już gdzie iść.

Marcus ujął ją za rękę, pomógł jej wstać i oboje weszli do małego pomieszczenia.

Otwarta walizka na podłodze. Krzesło. Legowisko w jednym z rogów, z pościelą i kocami w nieładzie. Nie dał jej czasu na mówienie. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. To był ich drugi pocałunek.

– Poniosłem klęskę – powiedział.

– Nie szkodzi – rzuciła Sandra i zaczęła go rozbierać.

Marcus poszedł jej śladem. Widywał ją już nagą za każdym razem, gdy wchodził za nią do hotelu, gdzie wyciągnięta na łóżku oddawała się nieznanym mężczyznom i kobietom. Mimo to poczuł dziwny dreszcz, pieszcząc jej ciało. Położyli się na łóżku, nie przestając szukać się wargami. W panującej w pokoju ciszy słychać było tylko przyspieszone pożądaniami oddechy. Marcus położył rękę na jej nodze i powoli otworzył sobie drogę do niej. Kiedy w nią wszedł, nie była na to jeszcze gotowa i jęknęła. Ale już po chwili zgrała z nim ruchy swojego ciała. Przywarł ustami do jej drobnych piersi i zaczął je całować; nie mógł się nimi nasycić. W końcu ona to przerwała i zaczęła okrywać pocałunkami jego piersi. Poddał się tym pieszczotom i zamknął oczy, gubiąc się w zapamiętaniu własnych zmysłów. Sandra zorientowała się, że jego podniecenie sięga zenitu, usiadła na nim i zaczęła się gwałtowniej poruszać. Już po chwili poczuła nasienie rozlewające się w jej wnętrzu i osunęła się, szukając schronienia w zagłębieniu jego szyi. Oboje dyszeli ciężko, upojeni rozkoszą. Nie patrzyli sobie w oczy, ale wiedzieli, że jedno należy do drugiego.

Zasnęli, przytuleni do siebie.

\* \* \*

Sandra obudziła się pierwsza. Nie wiedziała, ile spała, ale zobaczyła, że znowu panują ciemności. Podniosła się, starając się zrobić to spokojnie i cicho, żeby nie zakłócić snu Marcusowi. Wyrzała na zewnątrz. Mansardowe okno wychodziło na rzymskie dachy, miasto znowu było oświetlone.

Nie wiadomo, dlaczego przypomniał się jej David. Gdyby z powodu jego przedwczesnej śmierci nie została młodą wdową, teraz nie byłoby jej tutaj. I nie doświadczyłaby tej nowej pogody w sercu. Pewnie coś jest w myśli, że życie wymaga zniszczenia, żeby mogło toczyć się dalej. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby jej mąż był ciągle wśród żywych. Być może odkryliby, że nie pasują do siebie, czego wcześniej nawet nie podejrzewali, albo każde zaczęłoby iść w swoją stronę, co skończyłoby się rozwodem. Albo stałoby się coś jeszcze gorszego – byłiby ciągle razem, wiedząc, że ich miłość dawno się skończyła.

Ludzka egzystencja to łańcuch wydarzeń, pomyślała Sandra, i jeśli człowiek nie nauczy się akceptować tych bolesnych, nie otrzyma w zamian rekompensaty w postaci chwil szczęścia. Dowodem na to był fakt, że David nie żył, a ona nie cierpiała już z powodu jego śmierci.

I w tym momencie wydało się jej, że światła Rzymu płoną tylko dla niej.

Stojąc przed oknem, poczuła, że jest jej zimno. Zrobiła parę kroków, żeby podnieść z podłogi bluzę. Uniosła ją do ramion, żeby ją włożyć, i w tym momencie Marcus obrócił się na posłaniu, pokazując jej plecy.

Stała jak wryta.

Marcus otworzył oczy i ją zobaczył.

– *Ciao*. – Uśmiechnął się do niej.

Ale ona nie odwzajemniła mu się tym samym i wciąż milczała.

Marcus uświadomił sobie, że coś nie gra.

– O co chodzi? – spytał.

Wyciągnęła rękę, coś nią wskazując. Zaczęła się trząść.

Nie rozumiał jej zachowania, ale próbował się domyślić, co dostrzegła na jego prawym ramieniu, że tak się przeraziła. I zobaczył wytatuowane niebieskie kółko. W tym momencie zrozumiał wszystko, chociaż nadal niczego sobie nie przypominał. I ta prawda zmroziła mu krew w żyłach.

Matilde Frai nie miała nic wspólnego z zabójstwami i torturami. To było jego dzieło.

Biskup Gorda. Zabawkarz. Dłoń w rękawiczce, która na filmie z komórki najpierw wkładała do ust handlarza narkotyków czarną hostię, a potem wlewała do nich sodę kaustyczną. Pułapka z popiołem w mieszkaniu przy via del Governo Vecchio celowo zastawiona na Crespiego. Wiszący pod sufitem Alchemik miał na nogach jego buty.

Wszystkie ślady prowadzą do mnie – i tylko do mnie.

Erriaga powiedział, że kilka tygodni wcześniej powierzył mu śledztwo w sprawie małego chłopca, który zaginął dziewięć lat wcześniej. Nie dostarczył mu wyjaśnień, podał tylko imię i nazwisko – Tobi Frai. Być może kardynał miał dość szantaży ze strony Van Burena. Marcusowi udało się odnaleźć chłopca i ukryć go w bezpiecznym miejscu. Aby jednak to osiągnąć, musiał zabić kilka osób. Na jego liście brakowało tylko jednego imienia, Władcy Ciemności.

To ja umieściłem zdjęcie Sandry w pamięci komórki, którą potem porzuciłem w taksówce. Chciałem wmieszać ją w sprawę, żeby odkryła to, co zrobiłem.

Po zabraniu Tobiego z pałacu Alchemika zapisał wszystko w notatniku z myślą o pozostawieniu go w konfesjonale, bo wiedział, że wtedy zostanie on dostarczony Erriadze. Potem udał się do Zabawkarza i z jego willi zadzwonił do Matilde Frai, umożliwiając jej usłyszenie głosu lalki z twarzą jej synka. Musiał wywołać jej reakcję, żeby doprowadziła Sandrę do samego Władcy Ciemności. W tym momencie jego zadanie się skończyło: mógł udać się tam, gdzie postanowił umrzeć. Do więzienia Tullianum.

Najpierw złożyłem ubrania i umieściłem na nich białe tenisówki, ponieważ chciałem, by pomyślano, że z własnej woli opuściłem się do Tullianum, nagi i zakuty w kajdanki. Kluczyk od kajdanek ulokowałem w miejscu, z którego, jak mi się wydawało, nigdy go nie wydostanę: we własnym żołądku. A wszystko to zrobiłem, żeby się ukarać za zadawanie okrutnej śmierci, za spowodowanie cierpień moich ofiar.

*Znajdź Tobiego Frai.*

To polecenie nie było skierowane do mnie, ale do Sandry.

*Kiedy znajdziesz moje ciało, będziesz zadawać sobie pytanie, dlaczego to zrobiłem. Ale zrozumiesz to, gdy już znajdziesz chłopczyka. On jest odpowiedzią i przyczyną, dla której umarłem w tym miejscu.*

Również inne kartki wyrwane z notatnika przeznaczone były dla niej – ta z jej imieniem w wannie, w której zmarł Zabawkarz, oraz ta z numerami teczek w archiwum spraw niewyjaśnionych. Aby mogła podążyć tropem przelanej przez niego krwi.

Sandra wpatrywała się w niego, nie mogąc powstrzymać łez.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Spuścił wzrok.

– Ponieważ jedynym sposobem uratowania tego chłopca było stanie się jednym z nich. – Teraz uświadomił to sobie. Prawdopodobnie jednak Tobi Frai stracił już życie w miejscu, w którym go ukrył, a on niepotrzebnie sprzedał duszę Władcy Ciemności. – To przez captagon – powiedział. Przed opuszczeniem się do lochu więzienia Tullianum spożył czarną hostię. To dlatego niczego nie pamiętał. Substancja halucynogenna obudziła na nowo dawną amnezję, chociaż tym razem pozostawiła mu przynajmniej pamięć o tym, kim jest.

Erriaga miał rację. Grzech, który powierzył notatnikowi przed zejściem do Tullianum, żeby tam umrzeć, był zbyt wielki i zbyt ciężki. Lepiej było nie zrozumieć prawdy, nie wiedzieć o niczym. Zapomnieć.

Anomalie, pomyślał Marcus.

– I co teraz zrobimy? – spytała Sandra, oczekując, że on jednym słowem odsunie ten koszmar. – Co będzie z nami?

– *Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. Jestem strażnikiem pilnującym tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje... Jestem łowcą cieni. Moim zadaniem jest zagnać to coś z powrotem do świata ciemności.*

## *Trzydzieści trzy dni po zaciemnieniu*

Blade wiosenne słońce osuszało ulice z wilgoci.

Centrum Rzymu było placem budowy. Nowe ruiny dołączyły do starożytnych, ale już rozpoczęła się odbudowa.

Wiele ulic wciąż było nieprzejezdnych, mogły kursować tylko upoważnione do tego pojazdy. Wśród nich znalazło się czarne audi z tablicą rejestracyjną Watykanu. Podczas gdy luksusowa limuzyna przemierzała Fori Imperiali, zza jej przyciemnionych szyb kardynał Erriaga podziwiał przeobrażenie Rzymu.

Niedawny kataklizm na zawsze zmienił panoramę miasta, ale przyniósł też pewne pozytywne skutki. Na przykład zanotowano wyraźne zwiększenie liczby nawróceń. Wiele osób, które w tamtych godzinach poddały się rozpacz, zwróciło się ku wierze katolickiej. Dowodem na to było powiększenie liczby datków pieniężnych przeznaczonych na cele dobroczynne. A skoro Erriaga nie sądził, że zasługuje na raj, to aby pocieszyć się jakoś po tej tragedii, podarował sobie nowy krucyfiks wysadzany brylantami i ametystami, który znakomicie pasował do purpury jego jedwabnej sutanny.

– Czy wasza eminencja życzy sobie, żebym podkreślił klimatyzację? – zapytał kierowca.

– Wystarczy tak, jak jest, dziękuję – odparł kardynał, który w tym momencie cieszył się pieśczętą ciepłych promieni słońca.

Niebawem zostawili za plecami miasto i wjechali w wiejskie okolice. Tylko przyroda umiała wykorzystać intensywne opady deszczu w zeszłym miesiącu. Teraz rozkwitała bujnie, rozsiewając intensywne zapachy.

Erriaga był w pogodnym nastroju, podczas gdy powinien odczuwać niepokój. Od czasu ucieczki Corneliusa Van Burena świat stał się mniej bezpieczny. Nie wiadomo, ilu ludzi zapłaciło



już życiem tylko za to, że napotkało go na swojej drodze. Powinien zająć się nim penitencjariusz Marcus, ale kardynał nie miał wiadomości o nim od dnia wyłączenia prądu. Kiedy to, pod bezsilnym spojrzeniem Marcusa, rzucił w ogień notatnik z jego spowiedzią.

– Eminencjo, jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca.

Kardynał spojrział na wiejską zagrodę na szczycie wzgórza i po chwili samochód zatrzymał się na podwórzu. Kierowca wysiadł, żeby otworzyć mu drzwi, i purpurat postawił ręcznie wykonane angielskie buty na zakurzonej żwirze.

Dwie siostry zakonne wyszły mu naprzeciw.

– Witamy waszą eminencję – powiedziały jednocześnie.

Szybkim ruchem ręki kardynał pobłogosławił ich pochylone głowy.

– Dopilnowałyście wszystkiego?

– Tak, wasza eminencjo. Zgodnie z życzeniami waszej eminencji.

– Dobrze – pochwalił je. – Prowadźcie do środka.

Wszedł za zakonnice do wnętrza domu. Z kuchni dochodził zapach zupy. Erriadze przyszło na myśl, że są miejsca, z których tego rodzaju aromaty nie ulatniają się nigdy. Wspięli się po schodach na pierwsze piętro i krótkim korytarzem siostry poprowadziły go do pustego pokoju.

– Stąd jest najlepszy widok, wasza eminencjo – zapewniła go jedna z zakonnicek.

Erriaga podszedł prosto do okna i otworzył je, żeby to zweryfikować. Rzeczywiście, otwierał się z niego widok na położoną niżej dolinę, pełną winnic i pastwisk. Ale to nie ten pejzaż interesował kardynała.

Poniżej widać było boisko z udeptaną ziemią. Rywalizowały na nim dwie chłopięce drużyny biegające za piłką.

– Jak się miewają nasze sierotki? – spytał. – Są posłuszne? Uczą się? Dopisuje im apetyt?

– Tak – potwierdziła siostra. – Czują się dobrze.

Kardynał kiwnął z zadowoleniem głową.

– Cieszę się.

Nie mogąc prosić o informacje na temat tego jednego chłopca, który go interesował, zadowolił się ogólnymi zapewnieniami dotyczącymi wszystkich. W rzeczywistości nie znał nawet rysów jego twarzy i nie wiedział, czy jest podobny do chłopczyka ze zdjęcia, które przed dziewięciu laty ukazało się w gazetach.

– Pokazał się może znowu człowiek z blizną na skroni?

– Nie, wasza eminencjo. Nie było go od tamtej nocy.

Erriaga zamknął okno. Zobaczył wystarczająco wiele.

– Będę tu wracał – obiecał, ruszając do wyjścia.

## Od autora

Pewne znane w całym świecie przysłowie, którego autor pozostaje anonimowy, mówi, że Rzymu nie zbudowano w ciągu jednego dnia.

Mimo to odkryłem, że do zniszczenia go potrzeba znacznie mniej czasu.

Zawsze wiedziałem o tym, że co jakiś czas Rzym ulegał różnorodnym zniszczeniom. Najślawniejszą z katastrof, jakie spotkały to miasto, był pożar, który miał je strawić z woli cesarza Nerona, ale jest to historyczny fałsz. Częściej dochodziło do dewastacji, za które odpowiedzialność ponosi Tyber.

W każdym razie pomysł tej powieści przyszedł mi do głowy dziewiętnastego lutego 2015 roku, gdy z okazji meczu piłki nożnej między rzymską Romą i Feyenoordem holenderscy chuligani (niech będą przeklęci!) w ciągu kilku minut zdewastowali piazza di Spagna, nieodwracalnie niszcząc fontannę La Barcaccia.

Następnego dnia, wciąż jeszcze wściekły i oburzony, usiadłem w gabinecie mojego dawnego profesora Massima Parisiego i spytałem go naiwnie, w jaki sposób mógłbym zniszczyć Wieczne Miasto w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny. Profesor wcale się nie zmieszał i odparł: „To proste, wystarczy, żebyś wywołał deszcz trwający dwa dni bez przerwy i spowodował awarię jednej z elektrowni. W ciągu kilku godzin zapanuje tu chaos”. Potem poświęcił całe popołudnie na wyjaśnienie mi katastrofalnych skutków, jakie tego rodzaju banalny zbieg wydarzeń wywarłby na życie każdego mieszkańca Rzymu.

Potrzebowałem jednak jeszcze co najmniej roku badań mających na celu zgłębienie, czy coś takiego byłoby możliwe, oraz przewidzenie krótkoterminowych skutków podobnej katastrofy. Musiałem skorzystać z konsultacji kilku ekspertów – a niektórzy z nich byli prawdziwymi autorytetami w swoich specjalnościach – żeby otrzymać w końcu wynik. Geolodzy, archeolodzy, inżynierowie, urbaniści i meteorolodzy zabawiali się, podsuwając mi własne wersje tego rodzaju apokalipsy. Musiałem nauczyć się wielu rzeczy, o których nie miałem pojęcia (i nigdy nie sądziłem, że wiedza o nich będzie mi do czegoś potrzebna!).

Ostatecznie jednak naprawdę byłem w stanie zniszczyć Rzym.

Muszę przyznać, że pisząc tę książkę, czułem się jak negatywny bohater jakiegoś komiksu. Jeśli chodzi o captagon dodany do mojego jak najbardziej osobistego planu unicestwienia miasta, to zawdzięczam ten pomysł Marcie Serafini i jej nader pouczającemu artykułowi, który ukazał się w „Corriere della Sera”.

Ponadto winien jestem wdzięczność włoskiej policji, która w ciągu wielu lat nigdy nie odmówiła mi porad i wsparcia. W tym przypadku, oprócz przedstawienia mi planów zapewnienia bezpieczeństwa przewidzianych na wypadek tego rodzaju klęski, jej funkcjonariusze okazali dość cierpliwości, by odpowiedzieć na wszystkie moje absurdalne pytania.

Ponieważ pragnąłem, żeby ta powieść oddawała poczucie zagubienia i klaustrofobii, postanowiłem przyjąć ofertę Francesca Orfino, który zaofiarował się posłużyć mi za przewodnika po podziemiach Rzymu. Patrycjuszowska willa, do której trafili Marcus i Sandra, istnieje rzeczywiście, a pełne szczęścia spojrzenia dwojga małżonków i właścicieli domu do dzisiaj kryją się w głębokich ciemnościach.

Jak zwykle, nie mogę zapomnieć o wkładzie mojego przyjaciela, ojca Jonathana, który zainspirował mnie do stworzenia sagi o penitencjariuszach.

Szczególnie serdeczne podziękowania składam Penitencjarii Apostolskiej – prawdziwemu Trybunałowi Dusz – i wszystkim osobom, które od stuleci pracują nad zachowaniem cennego archiwum grzechów. Ich poznanie i umożliwienie mi wstępu do Kancelarii Watykańskiej było przywilejem, o którym nigdy nie zapomnę.

Donato Carrisi

# Podziękowania

Pragnę złożyć podziękowania następującym osobom:

Stefano Mauri, wydawca – i przyjaciel. A wraz z nim wszyscy wydawcy, którzy publikują moje książki na całym świecie.

Fabrizio Cocco, Giuseppe Strazzeri, Raffaella Roncato, Elena Pavanetto, Giuseppe Somenzi, Graziella Cerutti, Alessia Ugolotti i przemiła Cristina Foschini. Dziękuję Wam za pasję, jaką wkładacie w swoją pracę.

Andrew Nurnberg, Sarah Nundy, Barbara Barbieri, Giulia Bernabè i nadzwyczajne współpracowniczki agencji w Londynie.

Tiffany Gassouk, Anais Bakobza, Ailah Ahmed.

Ta powieść powstała również dzięki czasami bezwiednemu wkładowi mojej wielkiej rodziny oraz przyjaciół „od zawsze” i osób, z którymi przyjaźnię się od niedawna. Muszę też wspomnieć o wsparciu ze strony tych, których określam mianem „wiecznie obecnych”, to znaczy ludzi, którzy są w stanie zmienić moje życie tylko dlatego, że po prostu są. Wymienianie ich nazwisk wydaje mi się zbyteczne, bo te osoby doskonale wiedzą, jak bardzo je kocham.